

REMIGIUSZ MRÓZ



HORYZONT ZDARZEŃ

PARABELLUM



INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

REMIGIUSZ MRÓZ



Parabellum

tom II

Horyzont zdarzeń

H O R Y Z O N T Z D A R Z E Ń – minimalna, niezbędna prędkość, jaką musi posiadać obiekt, by opuścić pole grawitacyjne ciała niebieskiego. W przypadku czarnej dziury nawet prędkość światła jest niewystarczająca.

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Stopnie wojskowe w Wehrmachcie i SS](#)

[Część I](#)

[Część II](#)

[Przypisy](#)

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: EWA CIEŚLAK
Mapy: MICHAŁ SZWAGULIŃSKI
Projekt okładki: MAGDALENA ZAWADZKA
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Remigiusz Mróz, 2014
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2014
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-64185-60-1

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

STOPNIE W WEHRMACHCIE I SS W LATACH 1934–1940

Wehrmacht	SS	polski odpowiednik
	Szeregowi	
Schütze	SS-Anwärter, SS-Mann	szeregowy, strzelec
Gefrejter	SS-Sturmmann	starszy szeregowy
Obergefreiter	SS-Rottenführer	kapral
	Podoficerowie	
Unteroffizier	SS-Unterscharführer	plutonowy
Unterfeldwebel	SS-Scharführer	sierżant
Feldwebel	SS-Oberscharführer	starszy sierżant
Oberfeldwebel	SS-Hauptscharführer (SS-Stabsscharführer)	sierżant sztabowy
	Oficerowie młodszy	
Leutnant	SS-Untersturmführer	podporucznik
Oberleutnant	SS-Obersturmführer	porucznik
Hauptmann	SS-Hauptsturmführer	kapitan
	Oficerowie starszy	
Major	SS-Sturmbannführer	major
Oberstleutnant	SS-Obersturmbannführer	podpułkownik
Oberst	SS-Standartenführer	pułkownik
(brak odpowiednika)	SS-Oberführer	pułkownik liniowy/brygadier
	Generalowie	
Generalmajor	SS-Brigadeführer	generał brygady
Generalleutnant	SS-Gruppenführer	generał dywizji
General	SS-Obergruppenführer	generał broni
Generalfeldmarschall	SS-Reichsführer (Heinrich Himmler)	marszałek



*Cum tacent, clamant.
– Milcząc, wołają.*

MAREK TULIUSZ CYCERON

POSEN, OBECNIE W RZESZY, 1 PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Do kwatery Gestapo weszła dwudziestopięcioletnia, ładna dziewczyna o kasztanowych włosach i skórze trochę zbyt śniadej jak na porę roku ubogą w promienie słoneczne.

Wkraczała do budynku, znanego jeszcze miesiąc wcześniej jako Dom Żołnierza, z duszą na ramieniu. W ciągu kilku ostatnich dni rozeszły się plotki, które mówiły o sali tortur, znajdującej się w piwnicy. Podobno działały się tam makabryczne rzeczy, a funkcjonariusze Gestapo nie znali litości w trakcie prowadzenia dochodzeń.

Dom Żołnierza został oddany do użytku w marcu tego roku. Służył jako ośrodek kulturalny, choć jeszcze częściej – rozrywkowy. Posiadał ogromne audytorium z balkonami po obu stronach i dwukondygnacyjną widownię, na której mieściło się siedemset osób.

Od dwunastego września budynek znajdował się w rękach Gestapo. Większa część przesłuchiwanym nie wychodziła z niego żywa, a nieliczni szczęśliwcy nie byli w stanie opuścić go o własnych siłach.

Dziewczyna natomiast z własnej woli weszła do paszczy lwa. Nie była przekonana, czy robi dobrze, ale przestrzegała otrzymanych wskazówek, więc miała nadzieję, że nic jej nie grozi.

– Czego? – od niechcienia zapytał siedzący przy wejściu strażnik.

– Nazywam się Aleksandra Knoll.

– No i?

– Byłam umówiona.

Wartownik wstał i obszedł ją, po czym dokładnie zmierzył wzrokiem jej apetyczną sylwetkę.

– Z kim?

– Z *SS-Sturmbannführerem*.

– Aha – odparł zduszonym głosem, po czym znów usiadł na krześle i dodał:

– Zmywaj się stąd.

Aleksandra czuła, jak potęguje się jej strach.

– Byłam umówiona, proszę sprawdzić.

Z wyraźnym niezadowoleniem otworzył jakiś notatnik i zaczął kartkować strony. Nie miał

najmniejszej ochoty kiwnąć palcem, ale jeśli na dziewczynę naprawdę czeka sturmbannführer, lepiej to sprawdzić, niż później pluć sobie w brodę.

Po chwili podniósł brwi i powiedział:

– Rzeczywiście. Proszę zostawić tutaj wszystkie swoje rzeczy, łącznie z płaszczem.

Wykonała polecenie, po czym została poprowadzona do tymczasowego biura, które zajmował oczekujący na nią człowiek.

– Witam, pani Aleksandro. Cieszę się, że tak szybko pani dotarła.

– *Heil Hitler, Herr Sturmbannführer.*

– Zapomniała pani o „SS”. *SS-Sturmbannführer.*

– Przepraszam najmocniej.

Oficer SD, służby bezpieczeństwa SS, zaprosił pannę Knoll, by usiadła w jednym z wygodnych foteli, po czym odezwał się szorstkim głosem:

– To, co przedstawiła mi pani w trakcie rozmowy telefonicznej, brzmi dosyć wiarygodnie.

– Bo to prawda, choć przyznaję to z przykrością. Ma pan może papierosa?

– Tak, tak. Już podaję.

Sturmbannführer sięgnął do szuflady i wyjął papierośnicę, choć robił to z niechęcią. Ta Polka, a może nawet Żydówka, nie zasługiwała na takie względy. Chciał jednak, by poczuła się bezpiecznie i swobodnie, więc musiał stwarzać wrażenie przyjaznego.

– Niech pani opowiada wszystko od początku. Proszę nie pominąć żadnego szczegółu.

– Tak, proszę pana – odparła posłusznie, a Niemiec był zadowolony, że połknęła haczyk.

Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, zapewne domyśliłaby się, że po tej miłej rozmowie trafi do piwnicy, gdzie albo po prostu pozbędzie się jej jakiś niezainteresowany sprawą gestapowiec, albo zostanie przesłuchana, by wydobyć z niej jak najwięcej informacji.

– Na początek proszę powiedzieć, czy są świadkowie?

– Owszem, jeden albo dwóch.

– Dobrze, do rzeczy w takim razie.

Kiedy Knoll zaczęła relacjonować sturmbannführerowi swoje przeżycia, początkowo zaczęła się poważnie niepokoić, jednak szybko dostrzegł okazję, którą w przyszłości mógłby wykorzystać.

Wysłuchał jej uważnie, choć od pewnego momentu było to dla niego straszliwie męczące, po czym wstał i powiedział:

– Dziękuję. A korzystając z okazji, chciałbym o coś zapytać.

– Tak? Proszę pytać.

– Jakie pogłoski krążą po mieście o tym, co się dzieje w tym budynku?

– Słyszałam to i owo, nic godnego uwagi. Trudno coś wywnioskować z tego, co mówią ludzie.

– No tak.

Oficer SD zrobił pauzę, po czym dodał:

– To będziesz miała okazję przekonać się sama.

Aleksandra nie zdążyła nawet zareagować na tę informację, kiedy Heller kopnął w jej fotel, który wraz z kobietą przewrócił się do tyłu. Słyszając huk, do pokoju wpadło dwóch

funkcjonariuszy. Na rozkaz sturmbannführera zabrali Knoll do piwnicy.

Rüdiger Heller podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer ratusza w Rawitschu.

Wciąż nie mógł uwierzyć, jak porządny i przykładowy kapitan Wehrmachtu mógł współżyć z tą brudną Żydówką.

Nikt nie odbierał telefonu.

Rawitsch, obecnie w Rzeszy,
początek października 1939 roku

Christian otworzył oczy i pierwszym, co ujrzał, był spód swojej skrytki na broń. Przez dłuższą chwilę nie mógł zebrać myśli. W końcu uprzytomnił sobie, że tkwi związany w pozycji embrionalnej pod swoim mahoniowym biurkiem.

„Gina” – pomyślał z bólem serca. Przyłożyła mu w tył głowy prawdopodobnie popielniczką, którą wcześniej zostawił na parapecie okna. Zaklął w duchu i stwierdził, że powinien być bardziej uważny.

Zaczął kołysać się w lewo i prawo, aż w końcu wytoczył się spod biurka. Na jego blacie niemiłosiernie głośno brzęczał telefon i nie chciał przestać. Ktoś usilnie starał się z nim skontaktować, ale Leitnera zupełnie to nie obchodziło – choć uparcie dzwoniący telefon działał mu na nerwy.

Pamiętał, że na skraju blatu leżał nożyk do papieru, więc chcąc go strącić na podłogę, zaczął kopać w biurko. Niestety, jego wysiłki spęły na niczym. Nie słyszał nawet, by nożyk się przesunął. Domyślił się, że zabrała go Gina z Gottwinem.

Poświęcił na myśli o nich dłuższą chwilę, kiedy leżał bokiem na podłodze, z zaklejonymi ustami i związanymi kończynami. Patrząc na całą sytuację ze swojej obecnej perspektywy, nie mógł nadziwić się, jakim cudem tej kobiecie udało się go tak zwieść. Jego, Christiana Leitnera, który nigdy nie był podatny na urok żadnej niewiasty z wyjątkiem swojej żony. Zagryzł mocno zęby i przeklął swoją nieoczekiwaną słabość do dziennikarki. Poprzysiął sobie, że choćby cały świat zmierzał ku końcowi, zrobi wszystko, by odnaleźć tę kobietę.

Odgłosy kopania w biurko najwyraźniej zaciekały strażnika, gdyż wszedł bez pukania do biura Leitnera. Kiedy zobaczył dowódcę skrupowanego na podłodze, rzucił się w jego stronę.

Po chwili Christian był wolny. Odnotował, że brakuje jego pistoletu oraz sztyletu żołnierskiego.

– *Herr Hauptmann*, wszystko w porządku? – spytał wartownik.

– Ogłosić alarm. Gina Henckel von Donnersmarck i Gottwin Stöxen mają zostać natychmiast ujęci. – Leitner zbył jego troskę.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Żywi – dodał, gdy żołnierz opuszczał jego biuro.

Otworzył zamykane na klucz drzwiczki w szafie i wyciągnął zapasową broń, mausera C96, pistolet pamiętający wielką wojnę^[1].

Kilkakrotnie dotknął potylicy i stwierdził, że nie miał krwawiącej rany, ale na wszelki wypadek każe się zbadać lekarzowi najprędzej, jak to będzie możliwe. Zabrał płaszcz i skierował się szybkim krokiem schodami w dół.

W ratuszu trwała już mobilizacja żołnierzy. Któryś z zastępców kapitana najwyraźniej wydał

rozkaz, by przeszukać wszystkie pomieszczenia w budynku. Christian uznał to za mało pożyteczne, choć nie mógł wykluczyć, że przebiegła Gina mogła ukryć się ze swoim towarzyszem w gmachu, sądząc, że Leitner będzie szukał ich wszędzie, tylko nie pod własnym nosem. Na myśl o niej jego umysł wypełnił się sprzecznymi myślami. Obiecał sobie, że nigdy w towarzystwie kobiety, która go pociąga, nie opuści gardy i będzie czujny na wszelkie przejawy manipulacji. Mimowolnie z zakamarków jego umysłu wychyliła się myśl o Mateuszu Katnerze i Heinlem, który najprawdopodobniej zrobił Polaka w podpalenie, a zwiedziony tym Leitner pozbawił Katnera życia. „Popełniałem błąd za błędem” – pomyślał. Kiwnął głową na trzech żołnierzy, w tym stojącego na warcie kaprała. W ich eskorcie wyszedł na dziedziniec ratusza.

– Marvin... – zaczął, gdy zobaczył, że przyjaciel biegnie w jego stronę.

– Próbowałem się do ciebie... do pana dobić w sprawie Heinlego, Giny i... tego drugiego, no wiesz – Rodemeyer był tak zdyszany, że nie potrafił sklecić zdania.

– Uspokój się. O co chodzi?

– Ten fotograf, Wendt.

– Tak? – spytał Leitner, rozglądając się dookoła. Poświęcał leutnantowi jedynie połowiczną uwagę, gdyż starał się domyślić, dokąd Gina mogła uciec. Pomyślał o lesie, w którym czasem odbywał biegi lub spacerował i szybko wydał rozkaz trzem żołnierzom, by się tam udali.

– Posłuchaj – Rodemeyer upomniał się o jego uwagę.

– Słucham, Marvin, mów.

– To Torsten Blankenburg.

– Co takiego?

– Nie wierzę, że wcześniej nie skojarzyłem jego twarzy. Wprawdzie ostatni raz widziałem go z siedem lat temu, ale przecież ta morda jest tak charakterystyczna!

– Jak to możliwe, Marvin? Przecież ten człowiek nie żyje – odparł kapitan, wreszcie skupiony na słowach przyjaciela.

– Nie wiem, może upozorował swoją śmierć.

Christian przez chwilę się zastanawiał, rozglądając machinalnie na wszystkie strony.

– Jeśli to rzeczywiście on, nie dziwi mnie profesjonalizm, z jakim dokonał morderstwa.

– Musimy go dorwać, Leiner.

– Teraz to niewykonalne. Pewnie jest już kilkadziesiąt kilometrów stąd. Skup się na Ginie i Gottwinie, choć wątpię, by to były ich prawdziwe imiona.

Narzeczeni zaczęli biec, gdy tylko usłyszeli dochodzący od strony Rawicza dźwięk syreny alarmowej. Był ledwie słyszalny, jednak w ich obecnej sytuacji nadmiar ostrożności był wysoce wskazany. Chcieli jak najszybciej oddalić się od miasta w kierunku zachodnim, kontynuując swój pierwotny plan.

Po piętnastu minutach biegu Maria była tak wyczerpana, że złapała Staszka za ramię i dała mu znak, by się zatrzymał. Wziął ją na ręce i wszedł głębiej w las. Protestowała, ale zbył to milczeniem, wszystkie siły przeznaczając na dotarcie w miejsce, które uzna za bezpieczne. Musiał w duchu przyznać, że mimo dobrej kondycji brak mu sił, by nieść ukochaną. Kiedy tylko znów mogła spokojnie nabrać powietrza do płuc, zeskoczyła z jego rąk i spokojniejszym już krokiem ruszyli w dalszą drogę. Niedługo potem dotarli do jeziora otoczonego zewsząd drzewami i schowali się niedaleko brzegu.

– Co my teraz zrobimy? Christian zaraz roześle listy gończe, nigdy nie przejdziemy przez Rzeszę – powiedziała Maria, poprawiając włosy, koszmarnie zwichrzone podczas przedzierania się przez las.

– Nasze tożsamości też są spalone.

– Masz jakiś pomysł?

Wgapiając się ze sfrustrowaną miną w spokojną taflę jeziora, Staszek pokręcił przecząco głową.

– W takim razie idziemy dalej.

– Zawrócić nie możemy. Oddalmy się od Rawicza, a potem będziemy myśleć.

Kiwnęła głową. Wypalili po papierosie i ruszyli w dalszą drogę, tym razem już wolniej. Nie słyszeli odgłosów pogoni. Wszystko wskazywało na to, że udało im się uciec wystarczająco daleko, zanim ktoś odnalazł Leitnera.

Od momentu, kiedy Christian zaproponował Zaniewskiemu papierosa, ten gotował się w środku ze złości, przeklinając swoją lekkomyślność. Próbował wmówić sobie, że był to odruch bezwarunkowy. Chwila dekoncentracji. Pokręcił głową, gdyż nie przekonała go własna argumentacja – zwyczajnie nawalił na całej linii i będzie musiał się z tym pogodzić.

Popatrzył na błyszczący na ręce Marii pierścionek zaręczynowy. Wydał na niego wszystkie zaoszczędzone pieniądze i zaciągnął kredyt u ojca. Przed chwilą, gdy siedzieli pod drzewem, ukochana założyła go z powrotem na palec. Był to jedyny miły akcent podczas ich ucieczki z miasta...

Niespodziewanie wyszli z lasu na nieduże pole. Na horyzoncie widniały wiejskie zabudowania.

– Gdzie mógł pójść Holzer? – zapytała Maria, zwracając głowę w stronę narzeczonego.

– Prosto do piekła, zapewne.

– Barani łeb – szepnęła i szturchnęła go w ramię.

– Nie wiem, może w głąb Rzeszy? Może na północ, w stronę morza?

– A może siedzi w Rawiczu i z jakiegoś strychu obserwuje akcję poszukiwawczą, którą zarządził Christian.

Staszek nie mógł nie zauważyć, że zawsze mówiła o niemieckim oficerze, używając jego imienia, a ton jej głosu zdradzał sympatię, która jemu wydawała się zupełnie irracjonalna i nieuzasadniona.

– Niewykluczone. Ale wspominałaś, że kiedyś robił jakieś interesy w Niemczech, więc może ma tam kontakty.

– Może. Ale teraz najchętniej podziękowałabym mu za zabicie Heinlego, a jednocześnie walnęła prosto w nos za bagno, w którym nas zostawił.

Kiwnął głową, po czym wskazał na krzywy, zrobiony z patyka i deski znak drogowy, stojący tuż przy wiejskiej drodze.

– „Wehrse”.

– „Wiiize” – poprawiła go Maria.

– Jeden grzyb. Proponuję ominąć tę wieś szerokim łukiem.

– Staszek... Dlaczego ten napis jest po niemiecku?

Ponownie rzucił okiem na drogowy znak. Wyglądał, jakby stał tutaj od dobrych kilku lat.

Drewno było zniszczone, a napis słabo czytelny. Oboje popatrzyli na siebie i stwierdzili, że musieli przekroczyć dawną granicę Polski z Rzeszą. Wkraczali do legowiska nazistowskiej bestii.

**JABŁONOWA, OBECNIE W ZSRR,
POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU**

Osmund Kremmer przechadzał się po szopie, która stała się dla niego namacalnym dowodem na to, że bezpowrotnie stracił swój dom w Beniowej. Zastanawiał się nad tym czy hitlerowcy zajęli dworek i urządzili sobie w nim kwaterę, czy też zrabowali go doszczętnie i spalili. Dla czystej zabawy.

- O czym pan tak myśli, panie Kremmer? – spytał Broniek.
- Snuję rozważania nad naszym losem, szanowny panie sierżancie.
- To niech pan podziękuje Bogu, bo mamy wyjątkowe szczęście – rzucił Chwieduszek.
- Ma zacny chorąży na myśli kapitana Obelta, któremu fortuna nie sprzyja?
- A kogo innego, co?

Stary ziemianin przyjął zatroskaną minę, a Zaniewski popatrzył na ojca Rufina i zapytał:

- Twój syn nadal będzie w stanie przekazywać nam informacje?
- Tego pewnie nie wie nawet on sam. Ostatnie, co przekazał majorowi Mikorskiemu, to że zabierają kapitana do któregoś oflagu i że Blankenburg nie jest z tego powodu zadowolony. Rufin podsłuchał, jak ten potwór szeptał do swojego ulubionego podoficera, że taki rozkaz przyszedł z góry.

- Gdyby mógł, pewnie zakatowałby go w tym zamku – odparł warszawiak, a Kremmer spytał:
- Oflag? Cóż to takiego?
- *Offizierslager*, obóz jeniecki dla oficerów – odparł Zaniewski.
- Przeżyje tam? – spytał Kiljan.
- Na pewno będzie miał lepsze warunki niż w celi Blankenburga.

Chwieduszek wstał i skierował się do wyjścia. Na odchodnym rzucił:

- Nie rozumiem, jak ten chłopak mógł się, kurwa, pomylić. Miał jedno proste zadanie do wykonania.

Ojciec Rufina popatrzył na chorążego ze złością, ale Broniek położył mu rękę na ramieniu i pokręcił głową, więc mężczyzna dał spokój.

Po stracie majora, Chwieduszek był spośród nich najwyższy stopniem, choć nie był nawet oficerem. Nadal stojąc w progu, powiedział:

- Sierżancie, szeregowy, przygotować się jutro do wymarszu. Reszta niech robi, co chce.

Popatrzyli po sobie, a Kiljan spytał:

- Dokąd idziemy, chorąży? Nigdy nie znajdziemy kapitana.
- I dlatego nie będziemy go szukać. Musi poradzić sobie sam. Wiem, że da radę. My idziemy na północ.

Oczy warszawiaka zapłonęły nadzieją, a gdy popatrzył na Chwieduszkę, ten porozumiewawczo kiwnął głową.

Kiedy zapadł zmrok, obaj zasiedli na skraju wsi, z dala od innych członków GOR-u, który miał rozpaść się niedługo po swoich narodzinach. Dłuższy czas spędzili w zupełnej ciszy. Obaj jej potrzebowali, by poukładać myśli.

– Dziękuję – odezwał się w końcu Zaniewski.

– Niby za co?

– Idziemy do Baranowicz, prawda?

– Tak. Ale nie masz za co dziękować, furiacie. Nie robię tego dla ciebie. Ty i Kiljan będziecie moją obstawą.

Bronek uśmiechnął się i pokiwał głową. Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował towarzysza.

– Mam swoje – chorąży zrobił dłuższą pauzę, po czym zmienił zdanie i wziął jednego.

– Myślisz, że uda nam się tam dostać?

– O co ty mnie w ogóle pytasz, Zaniewski? Skąd mam wiedzieć?

Nastała chwila ciszy, po czym odezwał się młodzieniec:

– Zostawiamy tu Kremmera?

– Może zabrać swoje stare dupsko z nami, jeśli życie mu niemiłe.

– Może nam się przydać.

– Jako środek nasenny.

– Widziałeś, jak cisnął granatem między tych motocyklistów?

Chwieduszko roześmiał się – chyba po raz pierwszy warszawiak widział, jak starszy podoficer się śmieje. Wprawdzie szybko się zmytygował i przybrał właściwą sobie minę, ale jakaś granica w ich relacjach została przekroczona.

– Skąd ty w ogóle jesteś, Zaniewski?

Bronek namyślał się zastanawiająco długo, po czym odparł:

– Duszą z Warszawy, ciałem obecnie z Jabłonowej, a sercem z Baranowicz.

– Jakie to, kurwa, głębokie – skwitował Chwieduszko, szeroko otwierając oczy.

Kiedy sierżant położył się na sienniku, który codziennie starała się poprawiać kobieta użyczająca im szopy, przywołał w myślach sytuację mającą miejsce przed wojną w „Szai”. Wspominał ją teraz z uśmiechem, choć wtedy nie należała do najprzyjemniejszych.

Zajął z Maniurą stolik, który najczęściej okupowali, i wyczekiwał momentu, gdy podejdzie do nich Aniela. Jej szef, Janusz, coraz częściej pozwalał jej brać wolne, wiedząc, że Bronek niedługo wyjeżdża, by patrolować wschodnią granicę. Dlatego Zaniewski, choć nigdy nie miał okazji rozmawiać z tym człowiekiem, żywił do niego sympatię. Poza tym, jako szef traktował Anielę i resztę pracowników po przyjacielsku, a czasem otaczał opieką niczym młodszych członków rodziny.

Tamtego wieczoru podeszła do jego stolika i tradycyjnie zapytała:

– Piwko dla starszego sierżanta? – po czym pocałowała go i z uśmiechem posłała całusa Maniurze.

– Poproszę, przyszła pani starsza sierżantowo – odparł nomen omen, rozanielony, a jego świeżo upieczona narzeczona udała się na zaplecze, by poprosić Janusza o wolny wieczór. Nie była pewna czy go dostanie, bo ruch w „Szai” był duży, ale szef zgodził się, choć najpierw wygłosił krótki wykład o tym, jak będzie nadrabiała godziny po wyjeździe ukochanego.

– Ale sobie ustrzelił gąskę – powiedział Wacek.

– Zabierz się lepiej do organizowania piwa, bo moja gaska nie może usługiwać takim dwóm gburom jak my – odparł Broniek ze śmiechem.

– A zabiorę. Jak mnie na świadka weźmie.

– Maniura, ile razy mam ci powtarzać? Biorę brata.

– Ja jestem jego bratem tak samo, tylko nie z krwi.

– Idziesz po to piwo?

– Jak weźmie na świadka.

Zaniewski pokręcił głową.

– Wezmę cię na świadka morderstwa. A ofiarą będziesz ty sam.

– To może wziąć brata ze krwi na ojca chrzestnego, o. A mnie, brata broni, na...

– Nie odpuszczisz, co?

– Prędeż Bełt założy koloratkę i zatknie lufę swojego karabinu kwiatkiem, niż odpuszczę ja.

Mówiąc to, Maniura wstał i podszedł do jednej z kelnerek. Broniek zabrał przepelnioną popielniczkę ze stolika obok, postawił przed sobą i zapalił papierosa. W tym samym czasie przy innym stoliku usiadł Chwieduszko i wbił wzrok w starszego sierżanta.

Aniela wróciła i odgarnęła z czoła kosmyk rudych włosów. Zaniewski spoglądał na tę prozaiczną czynność z zachwytem, jakby obserwował damę w najbardziej wykwintnej warszawskiej restauracji.

– No, co słychować? – spytała wesoło, po czym bez ostrzeżenia wyrwała papierosa z ręki narzeczonego i zgasła go z impetem. Ten chwycił paczkę, by wyciągnąć następnego, ale szybko mu ją zabrała i schowała w kieszeni.

– Miałem dziś kolejną rundę nienawiści z tym tam. – Delikatnie kiwnął głową w stronę Chwieduszki.

– Chorąży to taki miły człowiek, nie wiem, czemu musicie się ciągle kłócić – powiedziała, tym razem bez wschodniego akcentu.

– Bo zazdrosny – wtrącił Wacek, który usiadł, stawiając dwa piwa.

Broniek popatrzył na niego spode łba, więc grubawy sierżant wstał i poszedł po trzecie piwo.

W tym czasie do stolika podszedł chwiejnym krokiem Chwieduszko. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pozwolił sobie na przyjęcie sporej dawki alkoholu. Wcześniej tego wieczoru udał się na ławkę w parku i otworzył butelkę wódki. Miał ochotę zalać się w trupa, bo dowiedział się, że cholerny Zaniewski poprosił Anielę o rękę, a ona przyjęła oświadczyzny z radością.

– Co się, kurwa, gapisz? – powiedział nieco bełkotliwie do warszawiaka.

– Chorąży! – odezwała się Aniela. – Nie przystoi podoficerowi tak się zwracać do drugiego.

– Przepraszam, że... że w obecności damy – zdołał odpowiedzieć.

Zaniewski popatrzył na niego, z trudem opanowując narastający gniew.

– Długo nam tu będziesz truć? – spytał.

– Odzywaj się odpowiednio do... – chorąży beknął – ...wyższego stopniem.

– Idź w cholerę.

Chwieduszko zamachnął się, chcąc otwartą dłońią trafić młodzieńca w głowę, ale ten spokojnie zrobił unik, wskutek czego podpity mężczyzna zakręcił się wokół własnej osi i padł na

siedzących obok żołnierzy. Zaczęli głośno rechotać, ale postawili chorążego na nogi, licząc na ciąg dalszy. Chwieduszcze głowa kiwała się delikatnie i wyglądał, jakby miał zaraz upaść ponownie, tym razem bez niczyjej pomocy.

Zrobił krok w kierunku Bronka, a ten wstał od stolika, nie mając zamiaru dłużej znosić zaczepki.

Między nimi jak spod ziemi wyrosła Aniela, która stanęła tak, by móc obydwu powstrzymać dłońmi, które położyła na ich klatkach piersiowych. Na twarzy chorążego zarysował się pijacki uśmiech – wszystko wskazywało na to, że podoficer niezbyt orientuje się, co się wokół niego dzieje.

Zaniewski kiwnął na kilku żołnierzy, którzy byli od niego niżsi stopniem:

– Odprowadzić chorążego na poligon.

Chwieduszek bełkotał coś pod nosem i protestował, choć nikt z zebranych nie mógł zrozumieć, co mówi. W końcu opadł z sił i z na wpół zamkniętymi powiekami pozwolił się wyprowadzić z „Szai”.

Następnego dnia niewiele pamiętał z ostatniej nocy. Wiedział, że spotkało go jakieś upokorzenie i że związane było z cholernym warszawiakiem, ale nic więcej nie mógł sobie przypomnieć. Ostatni raz upił się tak pięć lat temu, na weselu dalekiego kuzyna.

Tamtego ranka w Baranowiczach, gdy obudził się z przeraźliwym bólem głowy, obiecał sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, już nigdy więcej nie wypije aż tyle – standardowe przyrzeczenie na kacu. Po drugie, zatruje życie pieprzonemu Zaniewskiemu tak, że ten będzie miał go dosyć.

RAWITSCH, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Kiedy szeregowy, którego zadaniem było pilnowanie drzwi do gabinetu, przyniósł nowy nóż do papieru, Christian długo obracał go w rękach. „Nie tylko to mi zabrałaś, Gino” – pomyślał, po czym położył nożyk na biurku. Wstał i zajął pozycję przy oknie, trwając w postawie zasadniczej, jak gdyby znajdował się przed obliczem samego Wodza. Pokręcił głową i stwierdził, że musi zamówić zasłony.

Otworzył zamykane na klucz drzwiczki wysokiej szafy i wyciągnął czarny, galowy mundur SS oraz sztylet tej formacji z napisem *Meine Ehre heißt Treue*. Stwierdził, że najwyższy czas przymierzyć uniform, zanim odpowie na zaproszenie Hellera. Przez chwilę zastanawiał się, co podkusiło oficera SD, by wysłać mu mundur wzoru z trzydziestego czwartego roku – w takich Leitner od lat nie widywał członków SS. Stwierdził, że może to przypomnienie, że jego kariera nie jest jeszcze przesądzona, a uniform ma posłużyć jedynie celom ceremonialnym podczas balu w Posen. Jeszcze raz przeczytał kartkę wetkniętą w kieszeń marynarki mundurowej. Bal organizowany jest przez Arthura Greisera, który odpowiadał za rządy cywilne w mieście, a niegdyś był prezydentem Wolnego Miasta Gdańska.

Christian sporo słyszał o tym człowieku i nie darzył go sympatią. Wydawał mu się prostakiem i pieniaczem. Kilkanaście lat temu próbował wyrzucić z domów wszystkich mieszkańców Gdańska, którzy nie byli Niemcami. Leitner uznał to za bezcelowe, wynikające ze ślepej nienawiści działanie. Sam na jego miejscu nie zrażałby do siebie Polaków, tylko zachęcałby ich do pracy, z której owoce mogłaby czerpać niemiecka ludność. W czasie pokoju trzeba było uprawiać przemyślaną politykę manipulacji, by teraz, po wybuchu wojny, Polacy chętnie poddali

się rządowi niemieckim. Zamiast tego, kierowano się wyłącznie celami propagandowymi i rasowymi, wskutek czego Rzesza Wielkoniemiecka napotkała wzmożony opór i – przynajmniej ekonomicznie – traciła.

Westchnął i przymierzył jasnobrązową koszulę. Zawiązał czarny krawat i naciągnął spodnie w takim samym kolorze, po czym stanął przed lustrem. Po chwili rozległ się dzwonek telefonu, więc niespiesznie podniósł słuchawkę.

– Leitner, słucham?

– *Heil Hitler, Herr Hauptmann. SS-Sturmbannführer* Rüdiger Heller z tej strony.

– *Heil Hitler*. W jakiej sprawie pan dzwoni?

– Tonie pan w problemach, kapitanie.

Christian dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Co ma pan na myśli?

– Chociażby to, że wypuścił pan z rąk Torstena Blankenburga.

Kapitan zaczął zastanawiać się, jakim cudem w przeciągu jednego dnia ta wiadomość dotarła do Hellera w Posen. Wiedziało o niej tylko kilku żołnierzy, nie licząc jego i Marvina Rodemeyera, który z całą pewnością nie był w kontakcie z SD, Gestapo czy skąd ten Heller był.

– Gdybym wiedział, że to on, pozbawiłbym go życia w ułamku sekundy.

– No tak, jestem pewien.

Sturmbannführer wypowiedział parę niezrozumiałych słów. Leitner domyślił się, że tamten zasłania dłonią słuchawkę i mówi do kogoś innego. Czekał bez słowa na dalszy ciąg.

– Jest pan tam? – spytał w końcu Heller. – Przepraszam, musiałem coś załatwić.

– Nie ma problemu.

– Słuchaj, Christian. – Kapitan z niezadowoleniem przyjął fakt, że wysoki rangą oficer SD zdecydował się najwyraźniej na nieformalną rozmowę, przechodząc na „ty”. Nie odezwał się, więc jego rozmówca kontynuował:

– Była u mnie kobieta, Alexandra Knoll. Żydówka.

Heller urwał, więc Christian stwierdził, że teraz nadszedł czas, by on coś powiedział. Mimo to trwał w milczeniu.

– Znane jest ci to nazwisko?

– Nie.

– To interesujące. Widzisz, ona twierdzi, że wielokrotnie się z nią spotykałeś.

– Nie znam kobiety o takim nazwisku.

– Mówi, że utrzymywaliście stałe kontakty seksualne. Opisała mi dokładnie twoje biuro, jego wyposażenie i wnętrze ratusza. Wszystko jest zgodne z prawdą.

– To brednie, *Herr Sturmbannführer*, nigdy nie dotknąłem innej kobiety niż moja żona.

– Oczywiście, oczywiście – odparł tamten, rozbawiony, po czym dodał:

– Johanna jest tak piękna, że trudno oderwać od niej wzrok, nieprawdaż?

Leitner przez chwilę nie odpowiadał, zastanawiając się, skąd funkcjonariusz SD zna imię jego żony.

– Tak. To musi być prowokacja, domagam się wszczęcia oficjalnego śledztwa.

– Oj.

– Słucham?

– Obawiam się, Christian, że to byłoby dla ciebie nieciekawe rozwiązanie. Jej historia jest dosyć wiarygodna, zresztą ma świadków.

– Jakich świadków? Przecież...

– Tego nie wiem, nie zdążyłem zapytać – przerwał mu rozbawionym głosem oficer z Posen.

– Skoro nie będzie śledztwa, to co pan zamierza z tą sprawą zrobić? Chciałbym, by została wyjaśniona – ton kapitana zrobił się bardziej agresywny, a Heller po drugiej stronie linii westchnął głośno i nabrał powietrza w płuca, by jego głos zabrzmiał bardziej dobitnie:

– Słuchaj, masz przesrane. Rozumiesz? Pierdoliłeś Żydówkę. Wiesz, co grozi Aryjczykowi za kontakty seksualne z podludźmi?

Leitner milczał, a złość się w nim wzbierała coraz bardziej. Nie trawił ludzi, którzy są na tyle głupi, by nie odróżniać propagandy od prawdziwej polityki.

– Tak – odparł krótko tonem tak osobliwym, że Hellera zmroziło, dlatego kontynuował już bardziej uprzejmie:

– To znaczy, miałbyś przesrane, gdyby nie ja. Ta Żydówka zdechła z mojej ręki. Wyrządziłem ci wielką przysługę i masz u mnie dług wdzięczności. Mam nadzieję, że to jasne.

– Tak jest, *Herr Sturmbannführer*.

„Co jest takiego w jego tonie, że człowiek zaczyna się bać?” – pomyślał oficer SD i ucieszył się, że rozmawia z zarządcą Rawitscha przez telefon, nie widząc świdrującego duszę spojrzenia kapitana. Odchrząknął, po czym powiedział:

– Nie przyzwyczajaj się do insygniów na kołnierzu. Zostaniesz zdegradowany do stopnia *SS-Obersturmführera*.

– Rozumiem – powiedział Leitner, wiedząc, że jest to odpowiednik porucznika w Wehrmachcie.

– Pakuj się.

– Otrzymałem rozkaz przybycia do Posen dopiero pojutrze.

– Otrzymujesz właśnie nowy. Pakuj się i przyjeżdżaj najszybciej, jak to możliwe.

– Tak jest – odparł i odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź Hellera.

Wstał od biurka i założył resztę nowego munduru: czarną marynarkę z czerwoną opaską ze swastyką na lewym przedramieniu oraz czapkę oficerską ze srebrnym niemieckim orłem na przodzie. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze, dynamicznie się odwrócił i wściekłym ruchem strącił telefon z biurka. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Nie wchodzić – powiedział donośnym głosem.

Ocenił stan aparatu, po czym znów umieścił go na biurku. Pożałował tego wybuchu emocji.

Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Przysłać do mnie leutnanta Rodemeyera.

Marvin całkiem szybko zjawił się w jego biurze.

– *Heil...* – zaczął i urwał, widząc Christiana siedzącego za biurkiem w pełnym umundurowaniu galowym SS. Czarny jak śmierć mundur podkreślał surowość oblicza oficera.

– Siadaj – kapitan rzucił krótko.

– Pasuje ci.

– Daruj sobie przytyki. Wyjeżdżam do Posen, będziesz dowodził pod moją nieobecność.

- Tak jest, *Herr Hauptmann* – odparł Marvin, delikatnie się uśmiechając.
 - Już niedługo. Od jutra zapewne *SS-Obersturmführer*.
 - Degradują cię? Dlaczego? – Przyjaciół otworzył szeroko oczy. Był niebywale zaskoczony taką informacją. Od kiedy Leitner powiedział mu o przeniesieniu do SS, był przekonany, że ten dostanie awans. Tymczasem stało się coś zupełnie odwrotnego.
 - Za wypuszczenie z garści Blankenburga, pewnie też ucieczkę dwójki ludzi sprzed mojego nosa, którzy mogliby pomóc w jego ujęciu.
 - Przecież to nie twoja wina.
 - Oni widzą to nieco inaczej. Dodatkowo pojawiła się jakaś Żydówka, która twierdzi, że odbywałem z nią stosunki seksualne – odparł Christian i zrelacjonował mu wszystko, co mówił Heller.
 - Nie rozumiem. Komu zależałoby na twojej kompromitacji?
- Marvin chwilę się zastanawiał, podczas gdy Leitner wodził wzrokiem po książkach, które dwa dni wcześniej oglądał Gottwin.
- Heinle? – spytał Rodemeyer.
 - Najprawdopodobniej. Teraz w każdym razie już się tego nie dowiemy.
- Rozmawiali jeszcze chwilę o Hellerze i jego wiedzy na temat Johanny, po czym Christian zakończył:
- Słuchaj, Marvin, masz zdobyć wszystkie informacje o Blankenburgu, jakie są dostępne. Wszystkie. To jest twój priorytet, gdy mnie nie będzie. Dzwonić wszędzie, gdzie się da, żądać wysłania dokumentów.
 - Tak jest.
 - Gdyby ktoś miał opory, powiedz, że działasz z rozkazu *sturmbannführera* Rüdigera Hellera z *Sicherheitsdienst*.

Okolice wsi Neu Wiersenwitz, Rzesza,
początek października 1939 roku

Staszek rozłożył mapę na mchu i przesuwiał po niej palcem. Maria stała obok i kręciła nosem. Jej narzeczony miał wiele pozytywnych cech, które czyniły z niego cudownego człowieka i świetnego kandydata na męża. Niestety, nie zaliczała się do nich umiejętność orientacji w terenie.

- Chyba musimy skręcić na południe, czyli... – przerwał i zaczął rozglądać się po okolicy, mrużąc oczy, jakby to miało nadać jego twarzy bardziej skupiony wyraz.
 - Tam. – Wskazała ręką. – Nie rozumiem tylko, po co chcesz iść na południe?
- Przechyliła się przez jego ramię i wskazała palcem jakiś punkt.
- Tu jesteśmy – oznajmiła.
 - Hmmm – odparł, zdezorientowany.
 - Musimy iść na zachód, do tego punktu: Lübchen. Minęliśmy już, dzięki twoim wybitnym umiejętnościom przewodnika, jeden dworzec, więc proponuję iść do następnego, zamiast zawracać.
 - Myślisz, że jest tam dworzec kolejowy? Wygląda na miejsce, gdzie diabeł mówi *gute Nacht*.
 - Tory ją przecinają. Pociąg się zatrzyma, jak nas zobaczy. Chodź, to koło dziesięciu

kilometrów.

- Prędej ja nauczę się niemieckiego, niż pociąg zatrzyma się dla dwójki obdarcuchów.
- To wskoczmy do wagonu towarowego. *Kein problem.*

Kiedy Staszek przyjął pełną dezaprobaty minę, zlustrowała go wzrokiem i oceniła jego ubiór. Od Rawicza dzieliło ich dwadzieścia parę kilometrów, które przeszli głównie lasami i polami. Musieli też pokonać rzekę opisaną na mapie jako Bartsch, a po polsku nazywającą się Barycz. W rzeczywistości okazała się nie rzeką, a trudną do przebycia bagnistą przeszkodą.

W rezultacie ich ubrania nie nadawały się do użytku, a już z całą pewnością nie wyglądali w nich na porządnym obywateli Rzeszy. Maria stwierdziła na początku ucieczki, że jeśli będą wyglądać dostatecznie dobrze, to po przekroczeniu dawnej granicy nikt nie powinien zainteresować się nimi na tyle, by prosić o dokumenty. Dlatego starali się utrzymać ubrania w dobrym stanie, ale okazało się to niemożliwe. A już taplanie się w błotach Baryczy zrobiło z nich prawdziwych brudasów i obdartusów.

Do Lübchen nie prowadziła żadna bezpośrednia droga. Musieli przemierzyć gęsty las, by znaleźć się we wsi.

Największym problemem jednak było to, co zrobią gdy tam dotrą i okaże się, że na transport kolejną nie mają co liczyć. Po drodze do Lübchen zahaczyli o punkt oznaczony na mapie jako Eichkretscham, który znajdował się w samym środku lasu. Jego nazwa napisana była pochyłą czcionką, więc nie wiedzieli czy to wieś, czy naturalny punkt orientacyjny. Kiedy tam dotarli, okazało się, że nie różni się niczym od otaczających go terenów. Usiedli pod drzewami, by zrobić sobie przerwę.

Staszek wyciągnął lugera, którego zabrał z biura Leitnera, a Maria spojrzała na narzeczonego z miną, jakby patrzyła na niemowlę trzymające w rękach rozprawę filozoficzną.

- Wymyśliłeś, co zamierzasz z tym zrobić?
- Możemy dzięki niemu zdobyć jakieś ubrania albo trochę marek.
- O tak, patrz, wokół ubrań i pieniędzy jest w bród. A to pierwsza ofiara twojego zbójnictwa.
- Uśmiechnęła się i wskazała na wiewiórkę, która przyglądała się dwójce intruzów.
- Przyjdzie moment, że będziemy musieli wybierać między moralnością a własnym bezpieczeństwem – odparł.
- Oby tak się nie stało.
- Nie mówię, że użyjemy broni, ale na jej widok ludzie mogą okazać się bardziej skłonni, by oddać nam swoje rzeczy.
- Co ty wygadujesz? Chcesz, żebyśmy zachowywali się jak pospolici złodzieje?

Opuścił głowę i wzruszył rękoma. Zaczął przyglądać się pistoletowi i stwierdził, że ten model wygląda po prostu ohydnie. W porównaniu z polskim visem, który budził szacunek już samym wyglądem, luger sprawiał wrażenie nieudanej zabawki na wodę. Cienka lufa i magazynek sterczący pod kątem nie sprawiały solidnego wrażenia. Staszek nie znał się na broni, ale bez wahania oddałby lugera za cokolwiek choćby przypominającego colta.

Ojciec kilkakrotnie zabierał jego i Bronka do podwarszawskich lasów, by nauczyć synów strzelać. Staszek przypominał sobie pierwszą taką wycieczkę, która była dla niego zwykłą stratą czasu.

Z niechęcią wysłuchiwał frazesów, że „mężczyzna musi umieć posługiwać się bronią”, a już

szczególnie, gdy „na Ojczyznę z dwóch stron czyhają śliniące się hieny”. Broniek patrzył na ojca z uwielbieniem, ale młodszy z braci tylko przestępował z nogi na nogę, czekając na powrót do Warszawy.

Władysław Zaniewski był dumnym posiadaczem remingtona 51, który nie był tanim pistoletem. Pierwszeństwo w strzelaniu, z racji wieku, zawsze miał Broniek, więc ojciec wręczał mu broń, a syn wystrzeliwał cały magazynek. I szeroko się przy tym uśmiechał. Szybko nauczył się trafiać w cel. Staszce natomiast trzeba było niemal siłą wciskać pistolet do ręki, a na dodatek mozolnie, wciąż na nowo tłumaczyć technikę strzelania. Siedząc teraz w lesie na terenach Rzeszy, młodzieniec żałował, że nie słuchał ojca uważniej.

Maria zauważyła, że narzeczony odfrunął myślami daleko w czasie i przestrzeni, bo nie udzielił odpowiedzi na jej pytanie. Uśmiechnęła się w duchu i stwierdziła, że kiedy patrzy na zamyślonego Staszka, czuje niebywały wewnętrzny spokój. Kiedy uznała, że czas ruszać dalej, szturchnęła go w ramię i powiedziała:

– No i nie ma tu nic ciekawego. Może nazwa jest zapisana pochyłym pismem, bo Niemcy planują coś tu wybudować.

– Ciekawe – odparł, wyrwany z rozmyślań.

– Co takiego chodziło ci po głowie?

– Nic szczególnego. Myślałem o tym, jak ohydny jest ten pistolet.

Popatrzyła na broń i uśmiechnęła się.

– Czy ja wiem? Pistolet jak pistolet.

O zachodzie słońca dotarli do Lübchen. Na obrzeżu wsi zastali niewielki punkt przeładunkowy, najprawdopodobniej węgla kamiennego, gdyż wokół widzieli rozrzucone małe bryłki.

Usiedli na krótkim, kamiennym podejściu przy torach, a Staszek wyciągnął zgniecioną paczkę salemów gold i wyjął z niej dwa papierosy. Maria popatrzyła na niego z rezygnacją.

– Miałeś swoje papierosy, ale musiałeś skorzystać z propozycji Christiana?

Wzruszył ramionami i odparł:

– Lepiej zastanów się, czy idziemy do wsi czy czekamy tutaj na pociąg.

– Myślę, że powinniśmy czekać.

– Może przyjechać za godzinę albo za tydzień, a tyle tutaj nie wysiedzimy.

– We wsi też nie mamy czego szukać. Od razu wywołamy sensację.

– To zostaniemy tutaj do jutra, a jeśli nic nie przyjedzie, pójdziemy dalej na piechotę.

Maria przypomniała sobie odciski i gangliona, których nabawiła się podczas ich długiego marszu z Warszawy na zachód. Z niepokojem stwierdziła, że przecież wtedy miała na nogach buty bardziej odpowiednie do długiej wędrówki. Teraz nosiła niewygodne pantofle, które kupiła w jedynym czynnym sklepie w Rawiczu, by prezentować się dobrze jako Gina Henckel von Donnersmarck.

Spędzili noc niedaleko torów, ukryci za ścianą lasu. Było im potwornie zimno, mimo że mocno przytulili się do siebie. Nie byli przygotowani na październikowe temperatury. Uciekając z miasta, nie wrócili do kwatery po ciepłe ubrania. Wzięli tylko płaszcze, które mieli podczas wizyty w biurze Leitnera. Ledwo nadawały się na wieczorne przechadzki po mieście, a co dopiero mówić o spaniu w lesie.

Marię obudziło w środku nocy wycie jakiegoś zwierzęcia. Zerwała się, myśląc, że to wilk, więc zaczęła nerwowo się rozglądać. Nie zauważyła żadnego ruchu, ale przez mleczną ścianę mgły trudno było cokolwiek zobaczyć. Przeszły ją ciarki, gdy obserwowała powolny ruch białego oparu, który z niezrozumiałych powodów budził w niej przeszywający lęk.

Staszek też się rozbudził i przez chwilę wyglądał, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Popatrzył na nią i spytał:

- Nie możesz spać? – Po czym przytulił ją mocniej.
- Coś wyło w lesie.
- Nie przejmuj się tym, mamy szkaradnego lugera – odparł cicho.
- Z którego żadne z nas nie umie strzelać.
- Nie gadaj, śpij.

Jabłonowa, początek października 1939 roku

Ojciec Rufina popatrzył na czterech mężczyzn, którzy najwyraźniej mieli nierówno pod sufitem. A może po prostu chcieli popełnić samobójstwo. Prezentowali się osobliwie. Młody sierżant, dość przystojny i o pewnym sobie wyrazie twarzy, starszy człowiek, który wyglądał, jakby znalazł się tu z innej bajki, młokos bez trzech palców u jednej ręki i podstarzały chorąży, który usilnie starał się zakręcić swoje wąsy do góry, by nadać twarzy poważniejszego wyglądu.

– Wprawdzie uszczuplicie grono Gwardii Obrony Rzeczypospolitej o czterech cennych ludzi, ale życzę wam szczęścia i powodzenia w drodze do celu.

Zgromadzeni przed szopą pozostali żołnierze GOR-u zaczęli ścisnąć im ręce i klepać po plecach.

– Zostajecie tutaj? – spytał Bronek.

Ojciec Rufina kiwnął głową i powiedział:

– I tak nie mamy dokąd wracać. Poza tym, są tu jeszcze Niemcy, na których warto zapolować. Nie mówią o Ukraińcach.

– Bądźcie ostrożni, teraz będzie was szukał każdy oddział Wehrmachtu – stwierdził Chwieduszko.

– Wolę spróbować szczęścia tutaj, niż z wami w tej samobójczej misji. Po co w ogóle idziecie na północ?

– Załatwić niedokończone sprawy – odparł z uśmiechem Bronek.

– W takim razie uważajcie na siebie. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

– Mam taką nadzieję – odparł chorąży bez przekonania.

Wsiedli do półciężarówki CWS-T1, z której nie tak dawno temu wyciągnął ich oddział Mikorskiego. Gdy odjeżdżali, Kremmer wychylił się z paki i wesoło pomachał gorowcom.

– Ubiją ich w ciągu kilku dni – odezwał się chorąży do Zaniewskiego, który prowadził samochód.

– Może nie. Mają dobrą kryjówkę i świetnie znają okolicę. Poza tym, pewnie na żadnej niemieckiej mapie nie figuruje taka wioszczyna jak Jabłonowa.

– Zaczynasz przekonywać mnie, że warto zawrócić i siedzieć tam na dupie?

– Nie wierzę, żebym miał aż taki wpływ na ciebie.

Chorąży popatrzył na niego, prawie się uśmiechając.

– Ależ rzuca! – rozległ się krzyk Kremmera, kiedy podskakiwali na wertepach „kurzowej” drogi, jak określał takie trakty stary ziemianin. Chwilę później Kiljan wykonał akrobatyczną sztuczkę, próbując przez małe okienko włożyć głowę do kabiny.

– Sierzancie, nie da się jakoś spokojniej? Na pace tak nami rzuca, że zaraz świat znów zobaczy zupę, jaką dostaliśmy na odchodne z Jabłonowej.

– Siedź spokojnie i nie narzekaj, szeregowy – rozkazał Zaniewski, a Chwieduszko dodał:

– Wolisz iść na piechotę?

Roman skrzywił się i cofnął głowę.

– Nie zmieniamy się z nimi do samych Baranowicz – entuzjastycznym tonem oznajmił chorąży, a Broniek uśmiechnął się, unosząc lewy kącik ust.

Chwieduszko, obserwując drogę, pomyślał, że po raz pierwszy w życiu może powiedzieć, iż czuje się dobrze w towarzystwie jakiegokolwiek grupy ludzi. Nawet pośród rodziny nigdy nie mógł znaleźć swojego miejsca. Już w dzieciństwie wiecznie kłócił się z innymi. Nie wynikało to z jego złej woli, a raczej nieumiejętności zachowywania się w sposób akceptowalny społecznie.

– Jak Obelt – odezwał się.

– Co?

– Obelt uśmiechał się tak jak ty – smutno odparł chorąży, orientując się szybko, że mimowolnie użył czasu przeszłego.

Broniek przywołał w myślach obraz kapitana i stwierdził, że faktycznie tak było. Chyba nieświadomie przejął tę minę dowódcy, choć nie gościła często na jego obliczu.

– Myślisz, że on żyje? – spytał.

– Na pewno – Chwieduszko zrobił pauzę, jakby zastanawiał się nad własnymi słowami. W końcu dodał, już pewniejszym głosem: – Na pewno. Rufin w ostatniej rozmowie z Mikorskim mówił, że kapitan nie zdradził im niczego. Będą go dalej przesłuchiwać.

– Ale już nie w naszej sprawie.

– Pewnie nie. Nami najwyraźniej zajmowało się SS.

Obaj poczuli satysfakcję, że Niemcy za punkt honoru postawili sobie ujęcie grupy, która rozbiła ich dwie jednostki.

– A teraz czmychnęli z podkulonymi ogonami na zachód. Mamy spokój – powiedział warszawiak.

– Przynajmniej ze strony Niemców. Ale jak dorwą nas Rusczy, też będziemy mieli przesrane.

Wprawdzie cała ich czwórka nosiła cywilne ubrania, ale na pace, oprócz Kremmera i Kiljana, znajdowała się broń. Zgromadzony przez nich arsenał składał się przede wszystkim z niemieckiego sprzętu, zdobytego na einsatzgrupie w Beniowej. Jeśli zostaną skontrolowani przez sowieckich żołnierzy, nijak nie zdołają wytłumaczyć przewożenia takiej ilości broni. Zresztą, z pewnością nawet jeden pistolet wystarczyłby, by znaleźli się w następnym transporcie do obozów jenieckich lub na Sybir.

Tymczasem Obelt przeżywał swą podróż znacznie gorzej niż Kiljan czy Kremmer. Hitlerowcy transportowali go w ciężarówce razem z kilkunastoma innymi oficerami Wojska Polskiego. Jechali bussing-nagiem 454, który był cywilnym samochodem, pospiesznie zaadaptowanym do roli nieopancerzonego transportera wojskowego. Kapitan obserwował wyjeżdżające z zamku

w Lesku samochody i stwierdził, że Niemcom przydałoby się trochę konsekwencji w doborze taboru. Co pojazd, to z innej parafii.

Cieszył się, że został oddany w ręce Wehrmachtu, regularnego wojska, w którym, z tego co widział, status jeńca miał jakieś znaczenie. Teraz Blankenburg ani żaden inny esesman nie powinien stanąć na jego drodze, choć nie mógł mieć pewności, czy w oflagu nie spotka kolejnego psychopaty. Rzesza zdawała się obfitować w takowych.

Choć były wyjątki. Jeszcze w zamku Klaas, ładując go do auta, wcisnął mu do ręki kawałek niemieckiej kiełbasy i gazę nasączoną wodą. Równocześnie Obelt zauważył, że jest obserwowany przez Rufina, który dzień wcześniej zapowiedział mu akcję gorowców. Kiedy opuszczono planekę paki, kapitan natychmiast przyłożył gazę do ust i wycisnął z niej wodę. Ledwie jednak potem zaczął łapczywie pochłaniać kiełbasę, planekę znów się uniosła i na pakę wrzucono kolejnego jeńca.

– Czemu ta świnia to żre? – spytał stojący niedaleko Blankenburg.

– Nie wiem, *Herr Obersturmführer*.

Oprawca wyrwał Obeltowi z ręki kiełbasę i rzucił ją na ziemię. Ten patrzył za nią smutnym wzrokiem, a potem odwrócił się, by nie oglądać oficera SD, ale ten złapał go za kołnierz i wyciągnął z ciężarówki.

– Dokąd jedzie ten transport? – spytał Klaasa.

– Osterode.

– W takim razie zaszła pomyłka. Właduj go do tamtego wozu. – Blankenburg wskazał na bussing-naga.

– Słucham? Nie takie dostaliśmy rozkazy.

Obersturmführer popatrzył na podoficera zawiedzionym wzrokiem.

– Słuchaj, Alex – podniósł głos, po czym kontynuował już spokojniej: – Dostaliśmy rozkaz wysłania go do oflagu i tak zrobimy. Pojedzie do Murnau.

– Dlaczego?

– Bo w papierach jako miejsce przeznaczenia tego psa figuruje Osterode. Jeśli zaś jacyś brudni Polacy dorwą się do tych dokumentów, będą go szukać w Osterode, a nie w Murnau, rozumiesz?

– Rozumiem, *Herr Obersturmführer*.

– To świetnie. Teraz ładuj tego kundla na pakę.

Blankenburg marzył, by dostać więcej czasu na zajmowanie się więźniem. Pół nocy spędził na wymyślaniu skomplikowanych i okrutnych tortur, których mógłby użyć dla przezwyciężenia oporu pierwszego człowieka, którego nie zdołał złamać. Zastanawiał się, czy trafił mu się taki wybitny żołnierz, czy też może Polacy są tacy z natury.

Kiedy Alexander Klaas podniósł Obelta, Blankenburg niespodziewanie wyjął sztylet i ugodził jeńca między żebra. Gdyby nawet młody esesman miał czas zareagować, i tak nie zrobiłby nic, by zapobiec ciosowi. Wiedział co prawda o rozkazie wprost z Berlina, który nakazywał umieszczenie tego człowieka w oflagu żywego, ale nie śmiałyby sprzeciwić się dowódcy.

Polak otworzył oczy ze zdumienia. „Ty skurwielu, po tym wszystkim jeszcze ci mało” – pomyślał, po czym odgiął głowę maksymalnie do tyłu, by po chwili z impetem wystrzelić nią do przodu, trafiając prosto w zęby Blankenburga. Ten nie zdążył zrobić uniku.

Obersturmführer otarł krew i popatrzył na jeńca wściekłym wzrokiem. Schował sztylet, po czym mocno przytknął palec wskazujący do rany, którą nim zadał.

– To na pamiątkę. Przeżyj, jeśli jesteś na tyle silny. Zdechnij, jeśli jesteś gównem, za jakie cię mam.

Kiedy Obelt został wrzucony do samochodu, wydawało mu się, że zawył z bólu i dał swojemu oprawcy wyczekiwaną satysfakcję. W rzeczywistości wydał tylko cichy pomruk, usłyszany jedynie przez siedzącego tuż obok człowieka.

Podniósł wzrok i zobaczył jakiegoś porucznika, który wstał i z pomocą dwóch innych żołnierzy podniósł kapitana, po czym posadził go na wolnym miejscu. Kiedy samochód ruszył, zabezpieczyli jego ranę czyjąś onucą.

Początkowo milczeli, ale szybko zaczęli wymieniać się swoimi doświadczeniami z przesłuchań. Z ich relacji Obelt zrozumiał, że miał wyjątkowego pecha, trafiając w ręce SS.

Po upływie kilkunastu minut, podczas których samochód nieprzerwanie i nieznośnie podskakiwał na nierównościach terenu, kapitan zaczął odczuwać dotkliwy ból rany zadanej przez Blankenburga. Powoli też tracił nadzieję na odbicie z rąk Niemców, gdyż z każdą chwilą przybywało w kolumnie samochodów, także opancerzonych. Stwierdził, że najlepszą okazją na atak był moment wyjazdu z zamku. Właśnie wtedy rozległ się pojedynczy strzał, potem włączyły się inne karabiny. W przeciągu minuty gdzieś w oddali rozpętało się istne piekło.

Polski oficer złapał się za głowę w geście rozpaczony. Resztki jego dawnej kompanii nie miały cienia szansy w starciu z licznymi hitlerowcami. Nie zdołali nawet zbliżyć się do jego ciężarówki, więc pewnie sami stali się jeńcami. Albo gorzej. Po chwili namysłu doszedł jednak do wniosku, że może być inaczej: jego ludzie pomylili pojazdy i uderzyli na inny.

W drodze do Murnau miał dużo czasu, aby przypatrzeć się upchniętym obok niego oficerom. Naliczył aż siedemnastu, podczas gdy miejsca było dla najwyżej dziesięciu osób. Oceniał, że spośród tych, którzy przeżyli niemieckie przesłuchania, jest w zdecydowanie najgorszym stanie. Czuł na sobie zaniepokojone spojrzenia i przypuszczał, że nikomu nie uśmiecha się podróż z trupem. Z tego powodu, lub z dobroci serca, pewien porucznik podzielił się z nim odrobiną wody i pajdą chleba.

Kiedy Niemcy zarządziли postój, pogonili skrzepowanych polskich oficerów na pobliskie pole, gdzie sugestywnymi gestami nakazali im opróżnić pęcherze. Miał to być chyba żart, jako że jeńcy mieli ręce związane za plecami. Stali więc chwilę w szeregu, po czym bez słowa wrócili do samochodu.

Obelt został w ciężarówce. Nie miał siły na wykonanie najmniejszego ruchu, nie mówiąc już o długiej podróży, jaką wydawało mu się wyjście z ciężarówki. Sporo wysiłku kosztowało go nawet obrócenie głowy, by mógł nacieszyć oczy widokiem błękitnego nieba, którego podczas pobytu w leskiej piwnicy nie spodziewał się już zobaczyć.

Postanowił, że nie umrze. Choćby sam święty Piotr zapraszał go gestem dłoni do przekroczenia bram nieba, nie umrze od ciosu nożem parszywego Johanna Blankenburga.

– Dobrze się pan czuje, kapitanie? – spytał go sąsiad, który wcześniej podzielił się z nim skromnym zapasem wody i chleba.

– Mniej więcej tak, jak wyglądam.

– Porucznik Czesław Zmitkiewicz – przedstawił się tamten.

Obelt kiwnął głową. Rozmówca był mniej więcej w jego wieku, ale chyba zaczął już łyseć,

gdyż ogolił sobie całą głowę. Miał mocno ciosane rysy twarzy i niezwykle cienkie brwi.

– To też pamiątka po Blankenburgu? – zapytał, wskazując na bliznę na policzku Obelta. Kapitan nadal musiał się zastanawiać, ilekroć ktoś wskazywał na jego twarz i pytał, skąd „to” się wzięło. Rzadko przeglądał się lustrze i zdążył zapomnieć o pamiątce z pierwszego września.

– Nie, po ostrzale Luftwaffe. A co słyszał pan o Blankenburgu?

– Niewiele, panie kapitanie. Same plotki. Podobno to skurwysyn.

– Ludzie, którzy je głoszą, nie mijają się z prawdą – odparł Obelt głosem pełnym nienawiści.

BERLIN, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Człowiek z siwą brodą właśnie odbierał od młodego żołnierza dokumenty, kiedy zadzwonił telefon stojący na wielkim biurku. Starzec pożegnał adiutanta niedbałym hitlerowskim pozdrowieniem, po czym, powłócząc nogą i podpierając się laską, dotarł do biurka i usiadł na krześle. Wszyscy, którzy do niego dzwoniли, wiedzieli, że nim odbierze, może minąć dłuższa chwila. Siwy człowiek jeszcze ją przeciągnął, zatrzymując wzrok na portrecie Wodza – a zarazem swego długoletniego przyjaciela.

– Cerber – powiedział wreszcie do słuchawki zachrypniętym głosem.

– *Christophskräuter* – odparł Johann Blankenburg.

– Raportuj.

– Nie udało mi się niczego wyciągnąć z tego Polaka.

– Co takiego?

– Okazał się twardszy, niż sądziłem.

– Użyłeś wszystkich metod, które polecałem?

– Tylko tych najbardziej dotkliwych. Na więcej nie było czasu.

Blankenburg potarł czoło w oczekiwaniu na odpowiedź, ale cisza była długa i przejmująca. Wreszcie na drugim końcu linii usłyszał głośnie westchnięcie, co było sygnałem, że może kontynuować.

– Zgodnie z rozkazem wysłałem go do oflagu.

Po raz kolejny obersturmführer nie dostał odpowiedzi. Usłyszał delikatny szelest kartek, co świadczyło o tym, że Cerber właśnie przegląda jakieś materiały.

– Jakie są dalsze rozkazy?

– Pojedziesz do Rawitscha.

– Tak jest.

– Nie pytasz, w jakim celu?

– Nigdy nie pytam. Wiem, że rozkazy czekają na miejscu.

Stary człowiek kiwnął głową, po czym pomyślał, że może powinien nauczyć się komunikować za pomocą słów, a nie gestów i wymownego milczenia. Przynajmniej z ludźmi, których darzy choćby odrobiną sympatii.

– I to w tobie cenię. Ale tym razem musisz o czymś wiedzieć.

– Słucham.

– Wysłałam cię tam, bo kapitanowi Wehrmachtu, niejakiemu Leitnerowi, udało się

zidentyfikować kogoś, na kim nam zależy.

– Tak?

– Torstena.

Johann Blankenburg otworzył szeroko oczy i wbił je w widok za oknem. Nie wiedział, na co patrzy, nie widział drzew ani nieboskłonu. Czuł tylko, że myśli o przeszłości zaraz rozerwą mu czaszkę.

– Jak... jak to możliwe?

– To właśnie masz ustalić. Torsten podróżował razem z dwojgiem ludźmi: Giną Henckel von Donnersmarck i Gottwinem Stöxenem. Oboje uciekli z miasta.

– A Torsten?

– On też zniknął. O wszystkim poinformuje cię na miejscu Leitner.

– Tak jest. Czy ci ludzie działają w jakiejś zorganizowanej siatce?

– Przypuszczam, że tak. Obezwładnili kapitana Wehrmachtu i uciekli z miasta pełnego żołnierzy. Torsten zaś zabił kilku.

– Rozumiem.

– Masz podążać każdym tropem i znaleźć Torstena. Oficer z Rawitscha poprosił Berlin o wszystkie dokumenty na jego temat. Wysłałem to, co nie jest utajnione. A to, co jest, otrzymasz jak najszybciej do rąk własnych.

– Tak jest.

– Zrób użytek z tego Leitnera, został wcielony do SS. Ma być twoim zastępcą i prawą ręką.

„Tego mi do szczęścia potrzeba. Idioty z Wehrmachtu, który będzie kręcił nosem tylko dlatego, że jeszcze niedawno nosił inny mundur”.

– Oczywiście.

– Jeszcze jedno – powiedział starzec, po czym nastąpiła nienaturalnie długa przerwa. Najwyraźniej zajął się czym innym. Blankenburg odczekał dwie minuty i już chciał się odezwać, gdy usłyszał w słuchawce:

– Nie muszę chyba dodawać, że przejmujesz tam dowodzenie. Cywilne i wojskowe.

Siwy człowiek odłożył słuchawkę, gdyż powiedział wszystko, co miał do przekazania. Obersturmführer uśmiechnął się do siebie, po czym kilka razy potrząsnął głową.

„Czy to możliwe? Naprawdę dostałem drugą szansę?”. Gdy wreszcie w to uwierzył, zaczął planować zemstę za to, co spotkało go z rąk Torstena wiele lat temu.

PROVINZ SCHLESSEN, RZESZA, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Staszek i Maria po ciężkiej nocy spędzonej przy składnicy kolejowej czekali na przyjazd czegokolwiek, co potrafiło toczyć się po torach. Pięć godzin chodzenia wzdłuż stacji przeładunkowej ostudziło ich zapał do tego stopnia, że dziewczyna usiadła i zwiesiła głowę między kolanami.

– Chodźmy stąd – powiedziała zrezygnowanym głosem.

– Wreszcie – odparł z ulgą. Miał serdecznie dosyć czekania na zbawienie, które mogło równie

dobrze okazać się przekleństwem.

– To dokąd teraz, panie narzeczony?

– Może na południe, pani narzeczona?

– Mnie pasuje.

– Znajdziemy sobie dyliżans do obrabowania, zajmiemy hacjendę, a potem spłodzimy gromadkę dzieci, które będą pracować na polu, aby nas utrzymać.

– Trzymaj fantazję na wodzy – odparła, machając ręką w zachęcie do marszu.

Postanowili udać się na południe, równoległe do koryta płynącej nieco na zachód od nich Odry. Obmyli twarze w chłodnej wodzie, ale nadal sprawiali wrażenie dwójki włóczęgów. Po dwóch godzinach dotarli do miejscowości oznaczonej na mapie jako Köben. Była znacznie większa niż napotkane do tej pory i musiał się w niej znajdować kościół, więc Maria stwierdziła, że właśnie z tego powodu powinni się tam udać.

– Jesteś pewna? – zapytał Staszek.

– Tak. Chyba że wpadłeś na bardziej genialny pomysł.

– W życiu... – odparł i podniósł otwarte dłonie. – Ale nie jestem pewien, czy jakikolwiek duchowny znajdzie w sobie dość chrześcijańskiej miłości, żeby nam pomóc. W końcu są tu same Szwabry.

– Albo idziemy do jakiegoś kościoła, albo wracamy na tory, wybieraj. Jeśli gdziekolwiek możemy liczyć na pomoc, to tylko u duchownych, udając bezdomnych czy...

– Nie musimy zbytnio udawać.

– Mamy dom, barani łbie. Jest tylko chwilowo okupowany.

– W porządku, naczelna optymistko Rzeczypospolitej – odparł po chwili milczenia.

Ruszyli w kierunku cmentarza, który rozciągał się na obrzeżach niewielkiego miasta. Przy bramie znajdowała się tablica z napisem *Eingang in Ruhe*.

– Wejście... wejście... Cholera, nie wiem – próbował przetłumaczyć Staszek.

– „Wejście w spokój”.

– Całkiem mądre. Jak na Niemców.

Maria kiwnęła głową. Udali się na drugi kraniec cmentarza. Położony był na wzgórzu, więc z tej pozycji mogli dobrze obejrzeć Köben.

Ludzie niespiesznie kręcili się po rynku, którego głównymi atrakcjami były dwa hotele, taka sama liczba kościołów oraz ratusz i kawiarnia. Panoramę uzupełniały liczne kamienice o dachach krytych bordowymi dachówkami. Po prostu spokojne miasteczko.

Ale poza rynkiem Köben sprawiało odmienne wrażenie – dynamicznie rozwijającego się ośrodka. Widzieli wiele nowoczesnych domków jednorodzinnych i jeszcze więcej zagród, które usytuowane były długimi rzędami wzdłuż głównej drogi.

Właśnie tą drogą podążała para Polaków. Staszek, zachwycony miasteczkiem, stwierdził, że mógłby tutaj żyć... gdyby tylko miejscowi nie mówili po niemiecku.

– Ci ludzie nawet nie wiedzą, że gdzieś na wschodzie toczy się walka o być albo nie być innego narodu... – powiedziała szeptem Maria i zawiesiła głos.

Zatrzymali się przy usytuowanym jeszcze przed pierwszymi zabudowaniami niezbyt okazałym pomniku, upamiętniającym pochodzących z okolicy żołnierzy niemieckich, którzy polegli w czasie wielkiej wojny. Staszek stwierdził, że kiedy Francja i Wielka Brytania wreszcie

kiwną palcem w sprawie Polski, będzie trzeba wielką wojnę jakoś inaczej nazywać, na przykład pierwszą wielką wojną, a obecną – drugą.

Pomnik wykuty był w kamieniu, miał kształt prostopadłościanu, a jego bryłę wieńczył leżący orzeł. Wokół ustawione zostały mniejsze prostopadłościany, połączone prętami, a wszystko otoczono gęstym żywopłotem.

Wędrowcy stwierdzili, że było to najlepsze miejsce w okolicy na kryjówkę, a jednocześnie obserwowanie, co dzieje się w mieście.

Maria zaczęła przeglądać nazwiska poległych.

– Jaworski, M. zginął w czternastym – przeczytała.

– No proszę, nasi byli nawet w ówczesnej niemieckiej armii cesarskiej.

– Dziwne.

– Jeśli się nad tym zastanowić, raczej nie – odparł przekornie, a Maria popatrzyła na niego z dezaprobatą, ale uśmiechając się. Odpowiedział spojrzeniem pełnym miłości i stwierdził, że mało kto potrafi przybierać tak dziwne miny, jak jego narzeczona. – Zastanów się. Na tych terenach raz jest Polska, raz Niemcy. Ludzie mieszą się między sobą od tylu wieków, że trudno teraz stwierdzić, w kim płynie jaka krew. Poza tym, wątpię, by większość ludzi obchodziło, w jakim państwie żyją.

– Tak, obchodzi ich tylko własne podwórko, plony, spokojne życie.

– No właśnie. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy nawet dziś spotkali tu ludzi mówiących po polsku. – Uśmiechnął się.

Maria zaczęła obserwować rozpościerający się w dole rynek i stwierdziła, że mieszkańcy Köben muszą być dumni ze swojego miasteczka. Wszędzie widziała gazony z kolorowymi kwiatami lub gęste żywopłoty, ale uwagę zwracały przede wszystkim ciągi lip o koronach poprycinanych w kształt kuli. Sam ratusz natomiast prezentował się nader skromnie, co było jasnym sygnałem, że w Köben pieniądze łoży się na domy mieszkańców, a nie na biura urzędników.

Wzięła narzeczonego za rękę i zapytała:

– Idziemy?

Ten najpierw popatrzył na nią, a następnie na swoje podarte nogawki i nienadające się do użytku buty. Westchnął i zapytał pompatycznym tonem:

– Do której ze świątyń?

Maria wskazała palcem budynek w północnej części rynku, wyróżniający się spośród innych kształtem. Zbudowano go na planie kwadratu, a jego narożniki zostały ścięte. Wieńczyła go okazała kopuła.

– Tam zapewne nas przyjmą, nawet obdartych.

– Co to jest? Nie wygląda mi na kościół – spytał, mrużąc oczy i starając się przyjrzeć budynkowi.

– Zbór.

– Co?

– W zasadzie to nie zbór.

– Aha. To wszystko już wiem, dzięki.

– Kościół protestancki. My mówimy o czymś takim „zbór”, ale oni nie.

- Bardzo interesujące, naprawdę – odparł ironicznie, za co otrzymał kuksańca.
 - Nie ociągaj się, chodź.
 - Palisz się do tego, jakbyśmy mieli być tam powitani co najmniej wystawną ucztą. A na dobrą sprawę, pewnie zakablują nas na najbliższym posterunku policji.
 - Nie liczę na cuda, barani łbie, ale może przynajmniej pozwolą nam umyć się i najeść. Może dadzą jakieś ciuchy...
 - Mhm – mruknął Staszek i dał się poprowadzić za rękę.
- Zapukali do drzwi usytuowanych z boku budynku, aby nie pokazywać się na rynku, gdyż zwróciliby uwagę swymi zabrudzonymi i podartymi ubraniami. Wcześniej minęli jedyny kościół katolicki w okolicy, a raczej jego ruiny. Mimo że najwyraźniej nie dominowało tu wyznanie rzymskie, Staszek zaczął podzielać optymizm narzeczonej. Wszak każdy duchowny powinien zadbać o potrzebujących... A przynajmniej tak Zaniewskiemu się wydawało.
- Na pukanie nikt nie odpowiadał, więc Maria nacisnęła klamkę, delikatnie popchnęła drzwi i powoli zajrzała do środka. Nikogo. Wydało jej się dziwne, że drzwi nie są zamknięte, ale szybko zreflektowała się, że złodzieje nie mieliby tu czego szukać.
- Wnętrze było ascetyczne i w niczym nie przypominało katolickich świątyń, które przy różnych okazjach zwiedzała. Ilekroć znalazła się w którejś z nich, czuła przejmującą, grobową i ciężką atmosferę, więc wołała je podziwiać od zewnątrz..
- W przestronnym pomieszczeniu, przeznaczonym na spotkania i nabożeństwa lokalnej wspólnoty, rozbrzmiał ciepły i przyjazny głos:
- Witajcie.
- Narzeczeni odwrócili się i zobaczyli kobietę czyszczącą płamę pod jedną z ławek.
- Jestem żoną tutejszego pastora – dodała po niemiecku, kiedy młodzi ukłonili jej się w geście powitania.
- Staszek oczywiście nie zrozumiał ani słowa, ale nie to go martwiło – zaczął obawiać się, że tutejsza wspólnota należy do Niemieckich Chrześcijan, pronazistowskiego ruchu wyznań protestanckich, który szerzył rasizm, skrajny nacjonalizm i otwarcie deklarował „oczyszczenie” chrześcijaństwa z żydowskich naleciałości. Nawet flaga ruchu: czerwona, z białym okręgiem, w który wpisano krzyż, a w niego – małą swastykę, mówiła o sympatiach wyznawców tego Kościoła. „Czysty absurd” – stwierdził Staszek, myśląc o poziomie zmanipulowania niemieckiego społeczeństwa przez hitlerowców.
- Bardzo nam miło. Gina Henckel von Donnersmarck. – przedstawiła się Maria, po czym wskazała na swojego towarzysza i dodała: – Gottwin Stöxen.
 - Rebecca Kupke – poważnie odparła kobieta, a Staszek natychmiast się odwrócił, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Marii udało się opanować, ale żona pastora musiała coś zauważyć i zdaje się, że była przyzwyczajona do podobnych reakcji.
 - Polacy – stwierdziła.
 - Ależ nie, jesteśmy Austriakami.
- Kobieta pokręciła głową z wyrazem rezygnacji.

Marvin nie zmienił absolutnie niczego w biurze Leitnera podczas jego nieobecności. Nie pokusił się nawet o to, by przesunąć pióro czy plik czystych kartek na biurku. Z niemałym rozbawieniem odnotował fakt, który zauważył już wtedy, gdy Christian mieszkał u jego rodziny we Frankfurcie: wszystkie kartki były ułożone równo, by żadna nie wystawała ani o milimetr. Na dodatek musiały znajdować się w takim miejscu, by leżeć równolegle do brzegu blatu.

Dostrzegał też wiele innych przejawów skrajnego pedantyzmu, a może raczej dążenia do perfekcji. Znając tę oraz inne cechy charakteru Leitnera, był pewien, że jest on świadom, iż rodzina Rodemeyerów to Żydzi. A jego – być może najbliższy – przyjaciel z czasów studiów zakłada od czasu do czasu jarmużkę i ukradkiem udaje się do synagogi. Tyle że w ich rodzinnym domu, a szczególnie gdy przebywał tam Christian czy inni Niemcy, nie poruszało się sprawy korzeni Rodemeyerów. A że mieszkali we Frankfurcie od niedawna, nikt ze znajomych ani sąsiadów nie był świadom ich niearyjskiego pochodzenia.

„Żyd w Wehrmachcie” – ilekroć Marvin o tym myślał, chciało mu się śmiać. Nie obawiał się zupełnie niczego, gdyż nie czuł, że przekracza jakąś barierę, która oddzielała zakazany mu świat od dozwolonego. Nie był zresztą jedynym Żydem, który przywdziewał mundur niemieckiego wojskowego. Niektórzy, ku jego zaskoczeniu, robili to nawet z nieskrywanym entuzjazmem. Jego główną motywacją było zapewnienie bezpieczeństwa rodzinie. Wyszedł z założenia, że mundur je zagwarantuje, choć niejednokrotnie palił go w skórę.

Podczas rozmów z jednym z żydowskich znajomych usłyszał nawet, iż gdyby nie antysemityzm Hitlera, nazizm byłby idealnym sposobem na rozwiązanie większości problemów Niemiec. Rodemeyer był niezwykle uważny w kontaktach z „nawróconymi” na aryjskość Żydami, jako że niektórzy byli wręcz zaślepieni ideologią faszystowską i uważali się za największych patriotów III Rzeszy.

W przekonaniu Marvina, Christian musiał wiedzieć, że są Żydami, tyle że nieobnoszącymi się ze swoją wiarą i pochodzeniem. Rodemeyer traktował go zawsze jako przesadnego służbistę i wielbiciela Hitlera, ale zdawał też sobie sprawę, że Leitner jest inteligentnym człowiekiem. Może właśnie jego racjonalizm – a nie przyjaźń odczuwana do Marvina – sprawiły, że nie podzielił się z nikim swoimi przemyśleniami na temat Rodemeyerów.

– Wejść – powiedział podporucznik, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Siedział przy biurku Leitnera, choć w miejscu przeznaczonym dla gości – wolał nie zajmować tego, które należało do gospodarza. Odłożył na bok dzisiejsze wydanie „*Rawitscher Zeitung*” i stwierdził, że gazeta prezentuje żenująco niski poziom, skupiając się na prostackim opisywaniu wzrostu międzynarodowej pozycji Rzeszy po „zdobyciu przestrzeni życiowej na wschodzie”.

– Witaj, Marwinie – usłyszał dobrze znany, chłodny głos.

Wciąż nie mógł przyzwyczać się do widoku przyjaciela w mundurze z insygniami SS – stylizowanymi na runy mające nawiązywać do starogermańskiej spuścizny niemieckiego narodu. Zwykłemu człowiekowi przypominały raczej dwie błyskawice i Rodemeyer stwierdził, że jest to może nawet bardziej wymowna interpretacja. Nie mógł nie zauważyć, że Leitner wyjechał w czarnym uniformie, a wrócił w szarym, ozdobionym innymi dystynkcjami.

– *Heil Hitler, Herr Hauptmann.* – Marvin wstał, głośno stuknął butami i wyciągnął rękę, prężąc się w hitlerowskim pozdrowieniu.

– *SS-Obersturmführer* – poprawił go Christian i opadł wyczerpany na swoje krzesło.

„Więc jednak ta banda idiotów go zdegradowała” – pomyślał Rodemeyer.

– Ciężka podróż?

– Podróż była wytchnieniem, Marvin. – świeżo upieczony porucznik SS zrobił pauzę, otwierając papierośnicę od Johanny i częstując przyjaciela papierosem, po czym kontynuował: – Katorgą było natomiast przesiadywanie w gronie tych... No cóż.

Rodemeyer kiwnął głową.

– Heller jest kompletnie zafiksowany na punkcie propagandy Goebbelsa, która ma docierać do szarych mas, a nie do pozornie wyedukowanych członków SS. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem, Christian – odparł z niezwykle szerokim uśmiechem przyjaciel.

– Widzisz w tym coś śmiesznego, prawda?

– Tylko to, że nie powinienes już protestować, gdy przy żołnierzach będę ci mówił po imieniu.

Leitner wstał i zajął miejsce przy oknie. Podczas zaledwie jednego balu SS w Posen nasalutował się więcej niż w trakcie całej swojej kariery w wojsku. Nie podobała mu się większość ludzi, którzy zostali zaproszeni. Nie mógł też rozróżnić gestapowców z Tajnej Policji Państwowej od funkcjonariuszy SD, czyli Służby Bezpieczeństwa. Zresztą, organizacyjnie struktury te były tak pomieszane, że może i oni sami nie wiedzieli, do czego przynależą. Dodatkowo obie formacje podporządkowane były RSHA, Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy, nad którym czuwał jeden człowiek, Reinhard Heydrich. On z kolei wręcz uosabiał sytuację galimatiasu strukturalnego między różnymi komórkami SS i policji – najpierw szef SD, potem Gestapo, a na koniec zwierzchnik instytucji postawionej ponad obiema tymi strukturami. Poplątanie nie do ogarnięcia umysłem normalnego człowieka. W praktyce zaś wszystkie ważne funkcje w Gestapo pełnili wysocy oficerowie SD, więc to, co na papierze było od siebie oddzielone, zostało połączone przez czynnik ludzki.

Leitner musiał spędzić dwie godziny przy stoliku sturmbannführera Rüdigera Hellera i jego świty, by zacząć rozumieć zawiłości obecnej struktury niemieckiego wymiaru ścigania i służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Rzeszy. W końcu odpuścił sobie, kiedy zauważył, że gestapowcy chodzą w mundurach SS, a na rękawach mają dodatkowo insygnia SD.

Został ciepło przyjęty w szeregach najbardziej zaufanej formacji Hitlera i był zadowolony, kiedy okazało się, że kilku z obecnych na balu wysoko postawionych funkcjonariuszy SS od dawna obserwowało jego poczynania i wygłaszane opinie. Był to jedyny względnie miły akcent tego wieczoru. Mimo że zaproszeni goście mówili o nim bardzo pochlebnie, nie czuł sympatii wobec większości tych ludzi. Wydawali się albo karierowiczami, albo osobami zaślepionymi ideologią, którą powinni rozumieć i propagować w społeczeństwie, okazało się jednak, że sami byli wprost porażeni jej blaskiem. Prowadziło to do niemożności racjonalnego działania, a w efekcie nie znajdowało akceptacji Christiana.

Szczególnie sympatyczny wydał mu się pewien starszy człowiek z siwą brodą. Podszedł do Leitnera, kiedy ten uzupełniał swoją szklanekę przy barze i z ponurą miną zastanawiał się, kiedy zobaczy Johannę i syna.

Starzec stwierdził, że zna przebieg służby Christiana oraz wie, co ten robił przed jej rozpoczęciem. Pogratulował mu przeniesienia do SS i zapewnił, że właśnie tam jest jego miejsce. Po wymianie kilku standardowych uwag na temat błyskawicznej wojny, człowiek z siwą brodą stwierdził, że Leitner przypomina mu siebie sprzed kilkudziesięciu lat.

Tajemniczy mężczyzna nie nosił żadnego munduru, jedynie czarną jak smoła marynarkę i także spodnie, wyprasowane w nienaganny kant. Jego jasnoniebieska koszula i czarny krawat

również sprawiały pozytywne wrażenie – świadczyły o konsekwencji i schludności.

Teraz Christian zastanawiał się, jak nazywał się tamten sympatyczny staruszek, ale stwierdził, że – o ile pamięć go nie myli – nie raczył się przedstawić. Choć na balu było tak wiele osób, że nawet gdyby to zrobił, zapewne trudno byłoby oficerowi je zapamiętać.

Innym pozytywnym akcentem przyjęcia był napis, wyhaftowany wielkimi literami na czerwonym płótnie, które zdobiło jedną ze ścian. Obersturmführer Leitner domyślił się, że przygotowanie haftu musiało być żmudne i niezwykle czasochłonne, efekt jednak robił wrażenie. Niecodzienną czcionką głosił: „Walczyć mogę tylko o coś, co miłuję, miłuję tylko to, co szanuję, szanuję tylko to, co rozumiem”. Christian bez najmniejszego problemu stwierdził, że cytat pochodzi z *Mein Kampf* Adolfa Hitlera. Znał tę książkę prawie na pamięć – prawie, bo z pominięciem fragmentów stanowiących oczywistą propagandę.

– Nigdy mi nie przeszkadzało, że przy innych mówisz do mnie po imieniu, Marvin, przecież jesteśmy przyjaciółmi. Po prostu muszę systematycznie budować taki obraz samego siebie wśród ludzi, by darzyli mnie szacunkiem.

Rodemeyer pokiwał głową, po czym postukał kilkakrotnie palcem wskazującym w plik dokumentów, które przyszły wczoraj. Ułożył je najstaranniej jak umiał, równolegle do boku biurka. Christian popatrzył na efekt jego pracy i delikatnie pokręcił głową, wzdychając.

– Co to? – spytał.

– Dane na temat Torstena Blankenburga, o które poprosiłem Berlin. Przyszły cholernie szybko. Za szybko, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Tylko tyle przysłali?

Leutnant rozłożył ręce, a Leitner zaczął pospiesznie przeglądać papiery. W końcu powiedział:

– Przecież tu są głównie wycinki prasowe.

– Też to zauważyłem.

– Nie ma dokumentacji ze śledztwa, oprócz kilku okólników.

– Przeczytałem to już. Streścić ci?

– Poproszę, nie pamiętam wszystkich szczegółów sprawy. Ale czekaj, skąd to przyszło?

– Departament V Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

– Kripo – stwierdził Leitner.

Marvin wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, dlaczego jedyne informacje pochodzą od *Kriminalpolizei*, Policji Kryminalnej, podczas gdy znacznie większą dokumentację musiały mieć inne służby.

GDZIEŚ NAD GÓRNYM DNIESTREM, OBECNIE ZSRR, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Roman Kiljan, zataczając się, dotarł do drzewa. Wreszcie oparł się o nie plecami i zjechał tyłkiem na miękki mech.

– Gdzie jesteśmy, sierżancie? Rzygać mi się chcę od tego telepania... Może teraz jakaś zmiana na pace?

Zaniewski zignorował drugie pytanie i skupił się na studiowaniu mapy i porównywaniu jej z terenami, które rozpościerały się przed jego oczami. W dzieciństwie nie radził sobie zbyt dobrze w zabawach na orientację. Jego brat również nie był uzdolniony w tym kierunku, choć

ojcu wystarczyło jedno spojrzenie na mapę, by ruszyć w teren.

Ale i tak Bronek radził sobie z mapą, którą cudem zdobyli w pobliskiej wiosce, o wiele lepiej niż Chwieduszko i Kiljan, został więc wyznaczony na pilota morderczej wyprawy. Właśnie przekroczyli rzekę i młody sierżant stwierdził, że może z dużą dozą pewności stwierdzić, gdzie się znajdują:

– W okolicach Rahatyna.

– Hm? – chorąży wydał z siebie jedynie pomruk. Wszyscy dobitnie odczuwali brak kapitana, który z pewnością pokierowałby ich grupą znacznie sprawniej.

– Przekroczyliśmy Dniestr. Tu, w górnym biegu, jest jeszcze dość wąski.

– Nasz własny Rubikon – wtrącił Kremmer, zadowolony z siebie, że adekwatnie do ich sytuacji przywołał słowa Juliusza Cezara. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, bo Kiljan siedział pod drzewem walcząc z mdłościami, a Chwieduszko z Bronkiem zajęci byli mapą. Westchnął więc i pozbierał trochę chrustu, po czym włożył go do plecaka. Podróżując z żołnierzami nauczył się, że często pora na nocleg wypada w środku pól lub pustkowi, gdzie brakuje opału na ognisko.

– Rohatyna? – spytał chorąży zrezygnowanym tonem.

– A może... No nie wiem, sam zobacz. Niewyraźnie napisane – odparł Bronek, bezwiednie nie używając nazwy rangi wyższego stopniem Chwieduszki. Ten nie zareagował.

– Pochodzi pan stąd, drogi panie chorąży? – spytał Kremmer.

– Z okolic.

Gdy Chwieduszko udzielał krótkich odpowiedzi i zaraz potem milkł, zazwyczaj znaczyło to, że sygnalizował koniec rozmowy. Teraz jednak sam stwierdził, że tak zżył się z tą niewielką grupą ludzi, że powinien podzielić się z nimi kilkoma informacjami o swoim życiu.

– Urodziłem się niedaleko – zaczął. – W obecnym... albo raczej byłym, tarnopolskiem. Znam trochę te tereny, bo przewędrowałem je za młodu, szukając pracy.

Bronek po raz pierwszy w życiu doświadczył, jakim gadułą potrafi być ten upierdliwy i opryskliwy chorąży. Bez końca wymieniał wszystkie miejscowości w tej części Kresów, w których był. A co gorsza, opisywał dokładnie, co tam robił, gdzie pracował i czy pracodawcy próbowali go oszukać. Zazwyczaj przedstawiał ich jako krwiożercze bestie. Zaniewski co chwila odpływał myślami, udając najlepiej, jak potrafił, że słucha opowieści. Natomiast bez zdziwienia odnotował, że Osmund Kremmer stara się nie uronić ani słowa z historii chorążego.

– I w Beresteczku jasno dał mi do zrozumienia, że w jego sklepie nie mogą...

– Czekał, gdzie? – wtrącił się Bronek, a Chwieduszko sprawiał wrażenie wirtuoza, któremu właśnie jakiś prostak przerwał wykonywanie mistrzowskiej arii.

– W Beresteczku.

Warszawiak wyciągnął z kieszeni pogniecioną kopertę z napisem: „Sołoniów (koło Beresteczka, jak nie będzie mógł znaleźć)” i pokazał chorążemu, a później podał innym.

– Cóż to za lokacja? – arystokratycznym tonem spytał ziemianin, kiedy reszta milcząco potakiwała głowami.

– Następnym celem naszej podróży, panie Kremmer – oświadczył sierżant tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wymienił spojrzenie z chorążym, który jako najstarszy stopniem miał prawo podjęcia ostatecznej decyzji. Nie zauważył na jego twarzy sprzeciwu.

- A czego będziemy tam szukać, prócz zwady z sowieckimi żołnierzami?
- Ruskich już dawno nie powinno tam być. Teraz pewnie obstawiają granicę niemiecką.
- Szanowny sierżancie, preferowałbym wiedzieć jednak, dokąd zmierzamy i w jakim celu.
- Musimy dostarczyć ten list. – Zaniewski podał ostatnie słowa Maniury staremu ziemianinowi, który wziął kopertę bez słowa i usadowił się obok Kiljana, pod modrzewiem. Po chwili energicznie wstał i oddalił się kawałek od grupy, wyraźnie wzruszony.
- Kim był ten człowiek? – spytał Bronka, gdy ten do niego podszedł. Pociągał nosem i odwracał od sierżanta głowę, w nadziei, że ten nie zauważy wilgoci w kącikach jego oczu.
- Dobrym przyjacielem, bratem niemal. I świadkiem na moim niedoszłym ślubie.
- Zacny pan nieomal stanął na ślubnym kobiercu? Nie spodziewałem się!
- To „nieomal” było dosyć duże.
- Rozumiem, że pan, jako mężczyzna, zawinił?
- Niestety, panie Kremmer. Miałem dziewczynę marzeń i zaprzepaściłem szansę, żeby z nią być. Dlatego teraz zmierzam na północ aby to naprawić.
- Ach tak. A raczy pan powiedzieć, w jaki sposób zginął ów wielce szanowny sierżant Maniura? – spytał ze smutkiem staruszek, oddając list.
- Pierwszego dnia wojny. Rozerwało go podczas nalotu Luftwaffe, kiedy broniliśmy granicy przed Słowakami.

Ziemianin sprawiał wrażenie, jakby na całym ciele poczuł ciarki. Zaniewski stwierdził, że ten człowiek powinien siedzieć przy kominku i pograżać się w lekturze wieczornej gazety, zamiast maszerować z grupką żołnierzy po kraju okupowanym przez dwie wrogie armie.

- Frapujące – powiedział w końcu starszy człowiek.
- Bronek kiwnął powoli głową i spytał:
- Panie Kremmer, co pan tu z nami robi?
- Maszeruję – odparł dziarsko Kremmer, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, jakby objaw samozadowolenia.
- To wiem, ale dlaczego nie ukryje się pan gdzieś i nie przeczeka wojny?
- Drogi panie sierżancie, nie mogę zostawić przyjaciół. To byłoby niegodne – mówiąc to, popatrzył na Chwieduszkę i Kiljana, a potem skierował wzrok z powrotem na Bronka. – Poza tym, gdzie mam się udać? Domu brak, innej rodziny niż wy również brak.

Sierżant objął poczciwego staruszka jedną ręką, a drugą postukał w jego klatkę piersiową, być może odrobinę zbyt mocno, bo Kremmer z trudem stłumił kasznięcie. Po chwili Chwieduszko dał sygnał do wyruszenia w drogę i wymownym spojrzeniem zasugerował Kiljanowi, że nie ma mowy, by zajął jego miejsce na siedzeniu pasażera.

Przemierzali kolejne kilometry na północ, jadąc drogą, która na mapie oznaczona była grubą, pomarańczową linią, w legendzie szumnie opisaną jako „szosa”. Dla Zaniewskiego, który prowadził wóz, było to jednak spore nadużycie tego słowa. Co więcej, powyżej miejsca, do którego dotarli, linia na mapie stawała się coraz cieńsza, czyli zaczęła odpowiadać oznaczeniu „ścieżka”. Nie wróżyło to niczego dobrego, ale nawet gdyby okazała się przejezdna, mieli inny kłopot.

Jakieś dziesięć kilometrów wcześniej zaczęła się kończyć benzyna. Na dodatek silnik „dusił się”, a żaden z nich nie znał się wystarczająco na mechanice, by zapobiec temu, co zgodnie

nazwali „zgonem samochodu”. Kiljan mamrotał coś o świecach i zatkanym dolocie, ale reszta zbyła jego uwagi.

– Dalej nie pojedzie – zawyrokował Broniek, gdy półciężarówka zgasła niedaleko wsi Płuhów. Opuścili auto i wyciągnąwszy z niego cały sprzęt, który byli w stanie zabrać ze sobą, zepchnęli je do przydrożnego rowu.

Kiedy pojazd się do niego wtaczał, oczom mężczyzn ukazał się przerażający widok. Dół wypełniony był dziesiątkami ciał. Polegli nosili mundury zarówno polskie, jak i rosyjskie. Wszystkich porzucono w dziwnych, nienaturalnych pozach.

Kiedy samochód runął obok trupów, uniosła się z nich chmara much. Po chwili do wędrowców dotarł też przejmujący smród śmierci. Kremmer błyskawicznie obrócił się na pięcie i zwymiotował na drogę. Reszta zakryła usta i nosy.

Broniek stwierdził po mundurach, że większość ludzi wrzuconych do rowu to Polacy z ich macierzystej formacji, Korpusu Ochrony Pogranicza.

Nagle kątem oka zauważył ruch. Momentalnie sięgnął do kabury, wyciągnął visa i wycelował. Chwieduszko też przygotował broń do strzału.

Teraz już wszyscy widzieli wyraźny ruch i nie ulegało wątpliwości, że ktoś ukrywał się pod ciałami.

Bronkowi nie mieściło się w głowie by ktoś mógł przeżyć najpierw walkę, a potem barbarzyński pochówek w przydrożnym rowie...

KÖBEN, PROVINZ SCHLESSEN, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Rebecca Kupke popatrzyła na Staszka i Marię, po czym głośno westchnęła i powiedziała po polsku, choć z wyraźnie zauważalnym niemieckim akcentem:

– Od dzieciństwa przebywam w towarzystwie Polaków. Wiem, że bawi was moje nazwisko.

Miała około czterdziestu lat i z czystym sumieniem można było powiedzieć, że nie grzeszyła urodą.

– Przepraszamy – odparł Staszek skruszonym tonem. Kiedy kobieta odezwała się po polsku, zauważył, że zrobiła to z uśmiechem, patrząc na nich przyjaźnie. Maria odniosła podobne wrażenie i od razu zarzuciła plan ułożony przed wejściem do zboru, by udawać Niemców, których wojna zastała na terytorium Polski. Uśmiechnęła się do Rebekki.

– Dziękujemy, że nie musimy kłamać. Maria Herensztad.

– Stanisław Zaniewski. Nie ma pani nic przeciwko Polakom? – spytał jej narzeczony, całując Niemkę w wyciągniętą dłoń.

– Kiedyś mieszkało tutaj wielu Polaków, mój drogi. Oni nazywali nasze miasto Chobień. Ale nie rozmawiajmy tutaj, jesteście przemarznięci. Chodźcie.

Rebecca poprowadziła ich przez kilka pomieszczeń parafialnych. Doszli do osobnego budynku mieszkalnego, który był połączony ze świątynią bezpośrednim przejściem. Wskazała dwa pokoje, w których mieszkała z mężem, pastorem zboru. Posadziła ich przy stole w części jadalnej, po czym oznajmiła, że wróci za moment z ciepłym jedzeniem i pićm.

– I co myślisz? – spytała Maria, gdy gospodyni wyszła.

– O pani Kupce? – powiedział Staszek i stłumił śmiech.

Narzeczona klepnęła go w ramię, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Wygląda na to, że jest w porządku.

– Więc i ty staraj się zrobić dobre wrażenie – powiedziała z przekornym wyrazem twarzy.

– Jak zawsze.

Siedzieli sami przez kilkanaście minut, wygrzewając się w ciepłe bijącym od piecyka stojącego obok wejścia do pokoju. Staszka zaczęły nachodzić myśli, iż kobieta robi tylko pozornie dobre wrażenie i w tej chwili zawiadamia policję o dwójce Polaków, którzy ni stąd, ni zowąd pojawili się w mieście.

Rozwiała jego obawy, gdy wróciła, niosąc wazę zupy, a po chwili doniosła dwa duże kubki wypełnione ciepłym mlekiem.

– Częstujcie się – powiedziała z uśmiechem, widząc, że para młodych ludzi już zabrała się do pochłaniania zupy. Od ucieczki z Rawicza, nie mieli w ustach niczego, co można by nazwać sycącym jedzeniem. Ciepła zupa, na dodatek jedzona w tak komfortowych warunkach, była spełnieniem ich najśmielszych marzeń.

– Co was tu sprowadza? – spytała Rebecca, gdy skończyli jeść i opróżnili białe, ceramiczne kubki.

– Udajemy się na zachód, do mojej rodziny.

– Herenstadt – zastanowiła się gospodyni, mrużąc oczy, po czym dodała: – Niemieckie nazwisko?

Maria czekała na ten moment, od kiedy kobieta zorientowała się, że są Polakami. Kwestią czasu było, kiedy zacznie delikatnie sondować, czy przypadkiem nie są ukrywającymi się Żydami. Sympatia wobec Polaków to jedno, a pomoc w ukrywaniu Żydów to drugie.

– Poniekąd. Mój ojciec jest Austriakiem – skłamała.

– O proszę, jaka ciekawa mieszanka krwi. Skąd pochodzi?

Staszek też poczuł, że jego narzeczona została poddana łagodnemu przesłuchaniu.

– Z Innsbrucka. Tam też mieszka i pracuje jako reporter w „Neue Stimme”.

– Nie kojarzę tej gazety, pewnie jakaś lokalna?

– Tak, choć na tyle duża, że udało mu się załatwić nam dokumenty, dzięki którym mieliśmy się do niego przedostać.

– Ach tak.

Maria kiwnęła głową, po czym dodała:

– Niestety, nasze papiery spłonęły i teraz niełatwo wytłumaczyć żołnierzom Wehrmachtu, że chcę razem z narzeczonym dotrzeć do ojca.

Rebecca westchnęła i dotknęła dłoni dziewczyny.

– Nie martw się, moja droga. Tutaj nie ma żadnych żołnierzy. Ale nie możecie tak się prezentować, bo zgarbie was pierwszy patrol policyjny. Wyglądacie jak bezdomni.

– W tej chwili, miła pani, jesteśmy – wtrącił Staszek, a narzeczona obdarzyła go wzrokiem pełnym dezaprobaty.

– A pan skąd pochodzi?

– Z Warszawy.

– O, to pech.

– Dlaczego?

– Słyszałam w radiu, że została zbombardowana. Gruzy na gruzach. Po tym, jak uciekły polskie władze, mieszkańcy stracili wolę walki. Szybko skapitulowali.

– To wszystko niemiecka propaganda – powiedział Zaniewski.

Marii zrobiło się gorąco, a młodzieniec wypatrywał reakcji kobiety. Narzeczona z pewnością sądziła, że ta uwaga mimowolnie wymknęła się z jego ust, on natomiast wypowiedział ją świadomie. Gospodyni zapewne pozwoli im zostać na noc, ale by mieć pewność, że nie obudzą się w kajdankach, musiał wysondować prawdziwe nastawienie kobiety.

– Myślę, że to prawda – odparła spokojnie.

– Możliwe. Ale przekonam się dopiero wtedy, gdy tam wrócę.

Wieczorem przedstawiła im męża, który zmówił modlitwę za ich dalszą podróż i pospiesznie udał się spać, zmęczony po ciężkim dniu. Rebecca umieściła Polaków na rozległym strychu, który wykorzystywano jako suszarnię. Dwie rodziny zamieszkujące dom parafialny nie trzymały tutaj żadnych starych sprzętów, więc narzeczeni mieli mnóstwo miejsca.

Kiedy ułożyli się na jednym kocu i przykryli drugim, rozległo się pukanie, a po chwili drzwi otworzyła Rebecca, niosąc okazałych rozmiarów pudło.

– Trzymaliśmy to dla rodzin ofiar wojny, których spodziewaliśmy się wielu. Ale wy jesteście w, być może, większej potrzebie. Macie tu ubrania i obuwie, wybierzcie, co tylko chcecie.

– Dziękujemy, pani Rebecco – powiedział Staszek i uśmiechnął się, a Maria dodała:

– Rатуje nam pani życie.

Kobieta, wyraźnie zadowolona z dobrego uczynku, opuściła ich i życzyła miłych snów.

Otworzyli pudło i zaczęli przeglądać rzeczy. Czuli się jak małe dzieci, które właśnie dostały przyzwolenie od dorosłych, by otworzyć prezenty leżące pod choinką i zaspokoić niedającą się znieść ciekawość. Jednak kiedy Maria wyciągnęła ubrania i układała je na podłodze, dopasowując poszczególne części garderoby, Staszek poczuł się niczym żebrak.

– Niezbyt to wykwintne, jak na twój styl – powiedziała, kiedy zauważyła jego minę.

– A mój styl jest wykwintny? Nie żartuj. Nie ja paraduję w wymyślnych kapeluszach po Moniuszki, kopcząc z finezją drogie jak cholera egipskie.

– Właśnie, zapaliłabym jednego.

Uśmiechnął się, wiedząc, że narzeczonej nie został ani jeden perfumowany papieros.

Maria długo przeglądała ubrania, po czym wreszcie podjęła decyzję. Z przyjemnością przeżywała tego typu dylematy. Pomyślała, że teraz w Warszawie jej koleżanki zapewne zastanawiają się jak przeżyć, a nie, jak się ubrać.

Założyła niebieski, prążkowany i podkreślający jej sylwetkę żakiet. Był lekko wypłowiały i nie pasował do jedynej w paczce nowoczesnej spódnicy w kolorze bordowym w białe paski. Popatrzyła na siebie i pokręciła głową.

– Ładnemu we wszystkim ładnie – powiedział Zaniewski.

– Wyglądam jak tania podróbka damy. To nie jest chyba odpowiedni strój, wezmę coś skromniejszego.

– Zostaw, jest dobrze. Mamy wyglądać normalnie, a sama wiesz, że Niemcy ubierają się dziwnie.

Staszek znalazł mocne buty, a z garderoby zmienił tylko spodnie, znajdując takie, które mniej więcej pasowały do jego starej marynarki, która jeszcze nadawała się do użytku.

Zasnęli uśmiechnięci, ciesząc się z pełnych żołądków.

Rano serdecznie podziękowali Rebecce, która wyposażyła ich w porządną, skórzany plecak, do którego zapakowała trochę suchego prowiantu i trzy pary skarpet. Staszek ucałował kobietę dwukrotnie w każdy policzek, a Maria przytuliła ją mocno na pożegnanie.

Dostali od niej także mapę Śląska i kilkadziesiąt marek. Wzbraniali się przed przyjęciem pieniędzy, choć zarówno oni, jak i żona pastora zdawali sobie sprawę, że czynią pozorny gest, bo w rzeczywistości dramatycznie potrzebują każdego grosza.

Opuszczali Köben, zachowując się jak zwyczajni obywatele niemieccy. Nie odmówili sobie spaceru urokliwym rynkiem i chwili odpoczynku na ławce pod okazałymi lipami, których korony zostały uformowane w kule. Zapalili po papierosie i delektowali się każdą sekundą wytchnienia. Oto dwójka Polaków, którzy wyrwali się ze szponów żołnierzy Wehrmachtu, siedzieli w niemieckim miasteczku, spokojnie strzepując popiół z papierosa na równo ułożoną kostkę brukową. Uśmiechnęli się do siebie, po czym ruszyli w stronę dworca.

RAWITSCH, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Rodemeyer wziął do ręki pierwszy z kilku wycinków gazetowych, jakie przysłało im berlińskie biuro Policji Kryminalnej. Rzucił okiem na fotografię twarzy Holzera i grobowym tonem odczytał nagłówek:

– „Torsten Blankenburg bestialsko morduje pięcioosobową rodzinę”. Mniejszym drukiem napisali: „Dzieci z powykręcانymi kończynami. Kobieta zgwałcona. Mężczyzna zmasakrowany”.

– Dziękuję, Marvin, znam szczegóły pierwszego głośnego morderstwa popełnionego przez tego człowieka.

– Miałem ci streścić doniesienia prasowe.

– A więc streść wszystko, robiąc syntezę całej jego działalności przestępczej.

– To rozkaz, poruczniku? – powiedział uszczypliwie Rodemeyer, kładąc nacisk na fakt, że przyjaciel już nie jest kapitanem.

– Tak, podporuczniku. Mogą mnie degradować do woli, byle bym zawsze był o jeden stopień wyżej od ciebie – odparł równie kąśliwie Leitner.

Leutnant wziął kartkę papieru ze starannie ułożonego stosu, niechcący naruszając jego harmonię. Christian natychmiast poprawił papiery, po czym odgiął się do tyłu na krześle. Czekał, a w tym czasie Rodemeyer przeglądał kolejne kartki i robił notatki. Po upływie paru minut odczytał:

– Statystyki przestępcze Torstena B., wykonane przez Marvina Rodemeyera, podporucznika Wehrmachtu.

– Skończ z żartami, Marvin, do rzeczy – rzucił od niechcienia Leitner, który przez ten czas zajmował się glansowaniem na błysk swoich nowych butów.

– W sumie, w przeciągu domniemanych trzech lat prowadzenia działalności przestępczej, ten

psychopata zamordował piętnaście osób. Każde z morderstw zostało dokonane z wyjątkowym okrucieństwem, często za pomocą przedmiotów, których przeznaczeniem niekoniecznie było wyrządzenie krzywdy.

– Na przykład? – zainteresował się Christian, a Rodemeyer zaczął przeglądać dokumenty. Po chwili znalazł odpowiedni przykład:

– Świecznik. Użył go, kiedy w wigilię dwudziestego dziewiątego roku dokonał morderstwa trójki ludzi opuszczających kawiarnię. Po co niósł ze sobą świecznik, wałęsając się wieczorem po ulicach, nie wiadomo.

– Może lubi wyzwania. Strzał w głowę czy pchnięcie nożem może mu się wydawać zbyt proste.

– No tak – odparł zamyślony podporucznik i dodał: – W naszym przypadku użył linki od motocykla.

– To akurat był pragmatyzm. Ciche narzędzie. Do tego umożliwiające zadanie Heinlemu koszmarnej cierpień. A to z kolei była zemsta za strzał, którym tamten prawie pozbawił go życia.

Marvin kiwnął głową i kontynuował:

– Zdecydowana większość morderstw popełniona została w okolicach Frankfurtu lub Offenbachu. Dwukrotnie jednak zabijał też w Breslau.

– Wiadomo coś o motywach w którejkolwiek ze spraw?

– Nic. Wątpię, żeby jemu w ogóle potrzebny był motyw.

– Zawsze jest, Marvin. Kiedy doszło do ostatniej zbrodni?

Rodemeyer znów potrzebował chwili, by dogrzebać się do odpowiedniej gazety.

– Jest wycinek ze „Schlesischen Zeitung”, datowany na piątego lutego, cztery lata temu. Dotyczy właśnie morderstw w Breslau. Te były ostatnie.

– Ostatnie, jakie powiązano z Blankenburgiem, bo wątpię, aby nagle sporządził. A teraz możemy do tego dodać mordy w Rawitschu.

Leutnant wstał, podszedł do drzwi i polecił strażnikowi, by przyniósł gorącą wodę. Sam nasypał trochę kawy do wysokiego dzbanka, po czym na biurku, na podstawkach, postawił filiżanki. Śnieżnobiałe z czerwonym paskiem dookoła i symbolem Rzeszy – orłem trzymającym swastykę. Cały zestaw Rosenthala prezentował się imponująco.

Kiedy szeregowy przyniósł wrzątek, Rodemeyer kazał mu zalać kawę, po czym własną posłodził i odłożył cukier, ale nie na biurko. Wiedział, że Leitner nie lubił, gdy „biała śmierć” znajdowała się w jego pobliżu.

Christian spokojnie upił łyk kawy firmy Dallmayr, kiedy jego kompan wyciągał paczkę papierosów marki Juno Josetti, stanowiących standardowy przydział żołnierza Wehrmachtu. Marvin posmakował znakomitej kawy – jakże odmiennej od wojskowej lury. Miał zamiar delektować się każdym łykiem, bo chodziły słuchy, że w najbliższym czasie kawa będzie w całej Rzeszy już tylko na kartki. Podporucznik mruknął:

– W SS przynajmniej dobre fajki będą ci dawać.

Christian popatrzył na niego bez wyrazu i odparł, przenosząc wzrok na resztę dokumentów dotyczących Holzera:

– Co jest w tych okólnikach?

– To, że Blankenburg posługiwał się też nazwiskami Heinrich Mohn, Wolfram Ostrowski, Udo Reuß, a ostatnio, w Breslau, ludzie znali go jako Erica Drenzlera. Zawsze stwarzał wiarygodną historię swojej postaci, a zazwyczaj też miał świetnie sfalszowane papiery.

– Intrygujące. Musi mieć jakieś kontakty z dobrymi fałszerzami.

– Może sam jest fałszerzem.

– Coś jeszcze? – spytał Leitner.

– Nic. Oprócz nazwiska oficera prowadzącego śledztwo.

– Tak?

– Najpierw *Oberwachmeister*^[2] Henrich Lackmann, a po przeniesieniu sprawy do Kripo brak informacji na temat oficera śledczego.

– Masz kontakt do tego Lackmanna?

– Tylko numer telefonu, pewnie już nieaktualny.

Christian podniósł słuchawkę, więc Rodemeyer podał mu numer.

– Wykręciłeś?

– Wykręciłem. Ale najwyraźniej nikomu nie spieszy się, żeby odebrać.

Kiedy Leitner włożył w kącik ust salema i sięgnął po zapalniczkę, rozległ się zachrypnięty i zmęczony głos po drugiej stronie linii:

– Lackmann, słucham?

– Witam, *Oberwachmeister*.

– Z tej strony *Obersturmführer* Christian Leitner. Telefonuję z Rawitscha.

„No tak, gestapowiec. Tylko oni mają tak pewny siebie ton głosu” – pomyślał policjant i głośno wypuścił powietrze prosto do słuchawki, co nie uszło uwagi Leitnera.

– *Heil Hitler*, w takim razie.

– *Heil Hitler* – odpowiedział Christian, po czym kontynuował jednym tchem: – Chciałbym uzyskać od pana informacje na temat Torstena Blankenburga.

W słuchawce zapadła cisza. Jego rozmówca najwyraźniej zastanawiał się, co odpowiedzieć, a to znaczyło, że jest w posiadaniu cennych informacji.

– Czemu interesuje się nim Gestapo?

– Nie jestem funkcjonariuszem Gestapo.

Policjant znów zamilkł, a Leitner zaczął się irytować. Kiedy zapalił trzymanego w kąciku ust papierosa, ponaglił rozmówcę:

– Poszukuję tego człowieka, gdyż zabił trzech żołnierzy Wehrmachtu. Miało to miejsce w Rawitschu, gdzie widziany był po raz ostatni.

– Zbiegł? To już go pan nie znajdzie.

– Panie Lackmann, nie interesuje mnie pańska opinia na temat sytuacji w Rawitschu. Chcę się dowiedzieć, czy jest pan w posiadaniu informacji, które mogą mi pomóc.

– Cóż. Ciężko powiedzieć.

– Będzie łatwiej, jeśli do pana drzwi zapukają funkcjonariusze SS? – chłodno zapytał oficer.

– Dobrze, dobrze. Ale nie pomogę panu zbytnio.

– Każda informacja jest cenna.

– Torsten Blankenburg jest w moim przekonaniu zwyrodnialcem, urodzonym przestępcą. Jeśli

ma pan akta jego sprawy, wie pan, że przesłuchiwałem go w związku z pierwszym morderstwem, które popełnił. Wtedy był jednym z wielu podejrzanych i nic nie wskazywało na to, że jest za nie odpowiedzialny.

– Wypuścił go pan?

– Tak, nie miałem podstaw do zatrzymania. Po prostu w momencie popełnienia przestępstwa był w okolicy. Wtedy nawet postawiliśmy zarzuty innej osobie.

– Jak się nazywała?

– Matthias Holzer. – Leitner zapisał to imię i nazwisko w notatniku.

– Ale to mało istotne – wtrącił Lackmann i kontynuował: – Na przesłuchaniu sprawiał wrażenie normalnego i ułożonego młodego mężczyzny. Zresztą rodzina Blankenburgów jest znana i szanowana w rodzinnym Offenbachu i okolicach. Wtedy nie dostrzegłem tego zwierzęcego błysku w jego oczach, który ujawnił się dopiero podczas naszego drugiego spotkania.

– Kiedy to było?

– Po drugim morderstwie. Badając miejsce zbrodni, wypatrzyłem go w okolicy i poznałem twarz, choć nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie poprzednio ją widziałem. Mimo to zawył mi w głowie alarm, rozumie pan.

– Tak.

– Kiedy tylko mnie zobaczył, zaczął uciekać, więc puściłem się za nim pędem. Nie wiedziałem wtedy, kim jest, ale widziałem, że boi się mnie.

– Dopadł go pan?

– Tak. I wtedy jego oczy zapłonęły. Był gotowy zrobić wszystko, by się uratować. Zwierzę. Instynkt samozachowawczy i zero myślenia, rozumie pan?

– Wydaje mi się, że tak.

– Gdybym przywiązał go do czegoś za rękę, w końcu by ją odgryzł. Taki typ człowieka.

– Kiedy pan słyszał o nim po raz ostatni?

– Dzwonili do mnie z Breslau, bym pomógł przy tamtejszych morderstwach. Cholerne Kripo, wie pan, najpierw odbiera mi sprawę, a potem prosi o pomoc. Sami też dostali po tyłku, a Torstenem zajęło się SS.

– Trafił pan tam na jakiś trop?

– Nie, choć kiedy skończyłem tracić tam czas i wracałem do Offenbachu, wydawało mi się, że w jednym z mijanych pociągów mignęła mi jego twarz. Ale nie jestem pewien. Może po prostu chciałem go zobaczyć. Nawet jeśli to był on, jechał w przeciwnym kierunku.

Kiedy Leitner konwersował z Lackmannem, rozległo się ciche pukanie do drzwi i Christian skinął na Rodemeyera, by ten je otworzył.

– Dokąd ten pociąg się kierował? W stronę Polski? – zapytał Leitner i zawiesił głos, patrząc na gościa, który wszedł do gabinetu. Stał przed nim wysoki człowiek o zawziętej twarzy i sztucznym uśmiechu. A to nie wróżyło niczego dobrego. Po wykonaniu hitlerowskiego pozdrowienia, które spotkało się z taką samą odpowiedzią ze strony Leitnera, przedstawił się:

– *Obersturmführer* Johann Blankenburg.

– *Obersturmführer* Christian Leitner – odparł gospodarz i wyciągnął niepewnie rękę. Marvin Rodemeyer komicznie przekrzywił głowę do przodu i szeroko rozwarł oczy. Nie mógł uwierzyć,

że usłyszał właśnie to, a nie inne nazwisko.

**OKOLICE PŁUHOWA, ZSRR,
POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU**

W tym samym momencie, gdy Broniek z Chwieduszką zaczęli zbliżać się do osoby ukrytej pod ciałami żołnierzy, rozległ się głośny krzyk. Wydał go dwudziestoletni chłopak w cywilnym ubraniu, który odepchnął przygniatające go ciało i wynurzył się ze stosu trupów. Najwyraźniej odór go nie oszołomił, gdyż puścił się szaleńczym pędem wzdłuż drogi, uciekając przed mężczyznami.

– Stój! Nic ci nie zrobimy! – krzyknął Zaniewski. Chłopak nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, a Broniek przez moment zastanawiał się, czy warto za nim biec, ale stwierdził, że nie mogli mu w żaden sposób pomóc, nie było więc sensu go zatrzymywać.

Chłopak jednak wpadł prosto na Kremmera, który wychodził zza krzaków, ocierając usta.

Wcześniej ziemianin ukrył się przed wzrokiem towarzyszy, gdyż nie mógł powstrzymać wymiotów. Widok ciał żołnierzy, którzy obejmowali się w śmiertelnym uścisku był przerażający, ale dopiero makabryczny pejzaż rozszarpanych nóg i rojących się od much flaków sprawił, że starszy pan musiał ulżyć żołądkowi.

Kiedy wpadł na niego chłopak, Kremmer właśnie otrząsał się z szoku spowodowanego bliską obecnością śmierci. Razem z uciekinierem padł na ziemię, wzniesając tuman kurzu. Poczł tępy ból w tyle głowy, po czym zrobiło mu się ciemno przed oczami. Kiedy je otworzył, stał nad nim Broniek i coś do niego mówił, ściskając mocno za ramię.

„Puśćcie mnie, panie sierżancie” – pomyślał ziemianin, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Obrócił głowę w bok i zobaczył, że Kiljan trzyma wrywającego się chłopaka.

– Ale przydzwonił – powiedział Broniek, patrząc na Kremmera.

– Ja przepraszam, nie chciałem. Puśćcie mnie, panowie, w niczym nie zawiniłem. Puśćcie mnie... – panicznie powtarzał chłopak.

– Spokojnie, młody – odparł Chwieduszek i, nachylając się nad nim, popatrzył mu głęboko w oczy. Schwytanego uderzyła nieprzyjemna woń, charakterystyczna dla ludzi, którzy od dawna się nie myli.

– Jesteśmy polskimi żołnierzami. Sierżant Zaniewski. A ty jak się nazywasz? – spokojnie spytał Broniek, podczas gdy młody szeregowy nadał trzymał chłopaka.

– Antoni Biszkiewicz, panie sierżancie. Ja tu nie robiłem nic złego.

– Puść go – rzucił chorąży w stronę Kiljana, po czym kazał mu zająć się ziemianinem. Roman stwierdził, że staruszek wraca do siebie, więc z uśmiechem poklepał go po ramieniu i cicho powiedział:

– Panie Kremmer, esesmani pana nie wykończyli, to i nie da się pan jakimś dzieciakowi.

– Zaiste, panie szysz... szeregowy – wymamrotał tamten w odpowiedzi.

Antoni patrzył ze strachem na obcych, którzy podawali się za żołnierzy, ale nie nosili mundurów. W tych dziwnych czasach trzeba było uważać na każdego. Zauważył też końcówkę lufy, wystającą ze sterty leżącego na poboczu sprzętu, przykrytego porwaną płachtą.

Zaniewski przeniósł wzrok z chłopaka na ciała. Antoni wiedział, że żołnierz szykuje się do

zadania pytania, dlaczego ukrywał się wśród ciał. Sam więc się odezwał, by pokazać dobrą wolę:

- Jestem zbieraczem.
- Że kim? – zapytał Bronek, unosząc lewą brew.
- Zbieraczem.

Chwieduszko głośno westchnął, po czym powiedział, podnosząc z ziemi paczkę papierosów, która wypadła Antoniemu:

- Co to znaczy, chłopcze?
- Myślałem, że to oczywiste. Zbieram wszystko, co da się zebrać z pola walki. Dopóki nie wrócą żołnierze, rzecz jasna. Wtedy daję nogę.
- Sza... szabrownik – z trudem wymamrotał Kremmer, który już stał, ale opierał się na ramieniu Kiljana.
- Różnie nas nazywają. Niekiedy nawet „hieny”, ale to mi nie przeszkadza.

Zapadła cisza, a potem żołnierze, jakby o czymś sobie przypominając, zajęli się innymi sprawami. Zaniewski i Chwieduszko zaczęli pakować rzeczy zdjęte z samochodu, a Kiljan podtrzymywał starszego pana, wbijając wzrok w ziemię. Jediną osobą zainteresowaną słowami chłopaka był Kremmer, więc obdzieracz trupów zwrócił się właśnie do niego:

– Ano, nie przeszkadza mi. Zbieram buty, ubrania, zegarki, raz ustrzeliłem złotą papierośnicę. I to pełną. Im się i tak nie przydadzą.

Popatrzył na rów śmierci. Początkowo nie chciał ruszać martwych, ale nie miał dużego wyboru, bo został sam podczas ucieczki z rodzicami na wschód. Kiedy trafili na ścianę żołnierzy Armii Czerwonej, wszyscy rozbiegli się w popłochu. A Rosjanie strzelali do nich jak do kaczek, śmiejąc się przy tym i udając, że przypadkowo naciskają spust. Wtedy właśnie Antoni po raz pierwszy pożałował, że uciekli przed Niemcami z rodzinnego Krakowa. Zdołał ukryć się w krzakach i pomyślał, że Wehrmacht na pewno okazałby się bardziej cywilizowany.

Kiedy czerwonoarmiści skończyli zabawę i odeszli, chłopak nie mógł odnaleźć rodziny. Zaczął błąkać się po okolicy. Brakowało mu podstawowych rzeczy, jak chociażby butów. A na polach bitew można było znaleźć porządne, wojskowe obuwie. Zaczął więc ściągać je martwym żołnierzom. Za pierwszym razem zwymiotował na czyjeś zwłoki, ale potem było już lepiej.

Kiedy skompletował pokaźny zestaw ubrań oraz plecak, by mieć je w czym nosić, zabrał się za inne rzeczy, które można było znaleźć przy żołnierzach. Zaczął nawet prowadzić skromny handel z napotykanymi we wsiach Rosjanami, sprzedając im wszystko, co wcześniej należało do ich towarzyszy. Ciał polskich żołnierzy nie rabował z niczego, co miało osobistą wartość. Za to martwym Rosjanom i Niemcom zabierał wszystko, włącznie z listami i zdjęciami najbliższych. I nie grał tu roli jego system wartości czy też odczucia patriotyczne. Antoni po prostu nie mógł znieść, gdy zabierał trupowi coś, czego treść mógł zrozumieć. Zabranie wruszającego listu czy zdjęcia pięknej dziewczyny z podpisem na odwrocie było dla niego nie do zniesienia, bo przypominało, że kradnie rzeczy, które kiedyś należały do żywego człowieka.

Antoni usiadł na poboczu i obserwował, co robią napotkani żołnierze w cywilu. Po upływie godziny spakowali do plecaków wszystko, co wcześniej ułożyli przy drodze. Mieli też cały stos broni w bardzo przyzwoitym stanie. Chłopakowi zaświeciły się oczy na myśl o tym, ile dostałby od Sowietów za taki arsenał.

– Ty, hiena – rzucił w jego kierunku Chwieduszko. Antoni, po miesiącu egzystowania na granicy moralności i w poczuciu ciągłego zagrożenia życia, nie widział niczego obraźliwego

w nazywaniu go hieną. – Którędy najbezpieczniej dojść do Beresteczka?

– Panie, ja nawet nie znam takiego miasta. Nietutejszy, choć już trochę okolicy poznałem.

– Brody? – rzucił zrezygnowany chorąży i narzucił plecak na grzbiet.

– O. to wiem. Najkrócej przez Złoczów i potem...

– „Najbezpieczniej”, mówiłem, głuchy jesteś?

Bronek popatrzył na Chwieduszkę i zaczął zastanawiać się nad wrednym usposobieniem człowieka, o którym jeszcze miesiąc temu z całą pewnością mógłby powiedzieć, że nie zostanie nigdy jego dobrym znajomym, co dopiero przyjacielem. Teraz łączyła ich silna, żołnierska więź.

– Najbezpieczniej... – powtórzył chłopak i zaczął się zastanawiać. Po chwili, mrużąc oczy, spytał:

– A ile dacie za taką informację? Wiem, gdzie są Ruscy, mogę was skierować między nich.

– Za brak informacji dajemy w ryj – oświadczył chorąży, obracając się raptownie w stronę Antoniego.

– Weź, co chcesz, z tego, co zostało z naszych zapasów. Jest tam trochę chlebaków, para wysokich butów i broń, której nie zdołamy udźwignąć. Mógłbyś rozdać ją w okolicznych wsiach, niech ludzie mają czym się bronić – powiedział Bronek. Grabiciel trupów kiwnął głową, przybierając taki wyraz twarzy, jakby dostał najważniejszy rozkaz w swoim życiu, choć w myślach zacierał ręce, widząc oczami wyobraźni, jak się obłowi. Chwieduszko spiorunował sierżanta wzrokiem, ale nie odezwał się, sądząc, że lekkomyślna propozycja padła wyłącznie jako zachęta do mówienia.

– Dobra. W prezencie dostaniecie jeszcze namiar na miłą kobitkę, która czymś was poczęstuje.

– Słucham – powiedział ochryplym głosem chorąży.

– Mapę dajcie. Bez niej wam nie pomogę.

Bronek otworzył mapnik ukryty pod swetrem i podał mapę Antoniemu. Ten tylko zerknął na nią i oddał Zaniewskiemu.

– Gównno. Dam wam lepszą.

Podszedł do ciała, pod którym wcześniej się ukrywał, i wyciągnął tobołek. Wydobył z niego pogiętą mapę, po czym rozłożył na ziemi i zaczął mówić, zanim Chwieduszko z Zaniewskim podeszli, by zobaczyć, co pokazuje.

– Walicie tędy prosto. Nic, że nie ma drogi narysowanej, ja tamtędy chodzę. Przechodźcie tę rzeczkę, a potem dalej w górę i jesteście w okolicy Podkamienia. Tam popytacie o wieś Palikrowy.

Bronek popatrzył na Chwieduszkę, a ten powiedział:

– Żarty sobie robisz?

– Nie, naprawdę tak się nazywa. Tam każdy wskaże wam, gdzie mieszka Cecylia. Powiedzcie, że ja was przysyłam.

Pokiwali głowami ze zrezygnowaniem. Obaj doszli do wniosku, że chłopak nieudolnie próbuje naciągnąć ich na niekorzystną transakcję, oferując nieprawdziwe informacje. Chwieduszko zabrał mu mapę, a Bronek wydał Kiljanowi i Kremmerowi rozkaz wymarszu.

Odchodząc, rzucił do Antoniego:

– Dbaj o siebie, młody.

PROVINZ SCHLESIEN,

PIERWSZA POŁOWA października 1939 ROKU

– Popraw spodnie.

Staszek, słysząc to, instynktownie złapał się za rozporek. Po chwili zrozumiał, że chodzi jej zapewne o pistolet, który schował za paskiem, na plecach. Nie rozumiał, jak ktokolwiek może z własnej woli nosić broń w tym miejscu. Zimny dotyk metalu był niezwykle nieprzyjemny. Nie mówiąc już o niewygodzie i w marszu, i przy siadaniu.

Paręnaście minut temu przekroczyli most na Odrze i znaleźli skromny dworzec. Nie było tam żadnego punktu, gdzie mogliby nabyć bilet, zresztą najwyraźniej przebiegające tu tory były wykorzystywane głównie przez składy towarowe.

Rebecca poleciła im poczekać na taki, który będzie nadciągał ze wschodu – wtedy bez przeszkód dotrą do Glogau, gdzie będą mogli kupić bilety i już całkiem legalnie ruszyć w dalszą drogę.

Po upływie godziny usłyszeli charakterystyczny stukot, zwiastujący nadciąganie pociągu. Ukryli się, by na wszelki wypadek nie pokazywać się maszyniście. Na horyzoncie zarysował się czarny parowóz firmy Orenstein & Koppel, wyraźnie starej daty, niespiesznie toczący się po wąskich torach.

Kiedy minęło ich kilka wagonów, wyrwali się pędem z kryjówki i wskoczyli na skład. Wysportowany Staszek nie miał z tym problemu, a potem pomógł wspiąć się narzeczonej. Znajdowali się w środkowej części taboru, pomiędzy dwoma wagonami. Zaniewskiemu po długich próbach udało się otworzyć zaplombowane drzwi jednego z nich i po chwili, wzajemnie się asekurując, trafili do wagonu, w którym przewożono w ogromnych pudłach tony korespondencji. Staszek otworzył jedno z nich, a po wyciągnięciu kilku listów stwierdził, że znajduje się tu poczta z frontu.

– Spalmy w cholerę te przechwałki, jak to zajmowali Polskę – powiedziała z uśmiechem Maria.

Odłożył listy na miejsce.

– Może znajdziemy jakiś od Leitnera, który żali się, że wypuścił trójkę Polaków z rąk – odparł z uśmiechem.

Maria zamyśliła się na dźwięk nazwiska Christiana. Podobnie jak jej narzeczony, tak i on fascynował ją swoim stoicyzmem i tym, co lubiła nazywać „precyzją w życiu”. Inni nazywali to pedantyzmem lub chorobliwą dbałością o szczegóły, ale Maria nie pojmowała tego tak jednoznacznie. Wielokrotnie obserwowała jego idealnie ułożone włosy, nad którymi musiał pracować cały ranek przed lustrem, czy też porządek w wydaniu ekstremalnym, który był obecny w jego gabinecie. Ten człowiek miał te same – zarówno pozytywne, jak i negatywne – cechy, co jej narzeczony, tyle że przerysowane. Leitner różnił się od niego tylko oczami, w których czaiło się jakieś pierwotne, choć ujarzmione szaleństwo.

Kiedy Christian był choć trochę niezadowolony, rozszerzał je nieznacznie, piorunując rozmówcę spojrzeniem, które wierciło dziurę w duszy. Maria sądziła, że niejedynemu człowiekowi musiał w takiej sytuacji już przygotowywać się na odparcie niekontrolowanego napadu

wściekłości, gdyż Leitner sprawiał wrażenie osoby zdolnej do wszystkiego. Młodszy z braci Zaniewskich zdecydowanie takiej cechy nie miał.

Przez moment myślała jeszcze o tym, jak, uciekając z Rawitscha, musieli zburzyć porządek życia Christiana. Szybko odrzuciła te myśli i zajęła się przeglądaniem listów z frontu.

– Prawem prywatności korespondencji nie obejmujesz Niemców? – spytał Staszek z uśmiechem.

– Nie zachowują się jak ludzie, więc nie będziemy ich jako takich traktować.

Kiwnął głową i dodał:

– Czytaj na głos.

Maria przeczytała mu parę listów, po czym zawiesiła głos, oglądając jeden z nich.

– Mój Boże.

– Co znalazłaś?

– List od Stanisława Krolla, pisany po polsku, do matki w miejscowości Rosenberg.

– Polak w Wehrmachcie, wielka mi rzecz.

– Ale jak on może...

– Pewnie nie „może”, tylko musi. Chłopak mieszka sobie spokojnie z matką w rodzinnym mieście, życie płynie jak gdyby nigdy nic, aż pewnego dnia dostaje rozkaz mobilizacji. Co z tego, że ma polskie pochodzenie? Jest obywatelem Rzeszy.

– Może masz rację... Ale i tak nie wiem, jak można strzelać do swoich.

– To już zupełnie inna kwestia. Co pisze?

– Uczestniczył w działaniach wojennych niedaleko Piotrkowa. Opisuje, jak był tłumaczem podczas przesłuchania polskiego pułkownika. Kiedy Niemcy chcieli wziąć jeńca na tortury, ten wyrwał pistolet jednemu z nich i strzelił sobie w głowę.

Staszek popatrzył na narzeczoną z niedowierzaniem, a ta zaciągnęła się przed chwilą zapalonym papierosem i kontynuowała:

– Tak pisze ten chłopak, choć może po prostu koloryzuje. W każdym razie potem mówi o tym, że dowódca delikatnie zasugerował mu, by nie podpisywał się polskim nazwiskiem, tylko je zniemczył.

– Pewnie stąd Kroll, a nie Król.

– Możliwe. Pisze dalej, że chciał zdezerterować, ale polskie siły cofają się w stronę Warszawy i nie ma do kogo uciekać. W plutonie ma ciężko, bo nie zna za dobrze niemieckiego. Pisze, że chce ściągnąć ten znienawidzony mundur i zakopać go jak najgłębiej w jakiejś dziurze w ziemi.

Zakleiła na powrót kopertę i schowała ją tam, gdzie była, dmuchając na szczęście, by dotarła do celu. Zauważyła to samo nazwisko na kolejnej kopercie, więc czym prędzej wzięła ją do ręki. Nosiła oficjalną pieczęć. Wyciągnęła pisany na maszynie list z odręcznym podpisem.

– Staszek.

– Tak?

– „Z największą przykrością zawiadamiam, iż pani syn, Stanisław, poległ w bohaterskim czynie na polu chwały, walcząc za honor i bezpieczeństwo Rzeszy, jej obywateli oraz Führera”.

Resztę trasy przemierzeli w milczeniu.

Widząc, że dojeżdżają do Glogau, wyskoczyli z wagonu. Przeszli spokojnie przez fragment

miasta i dotarli na dworzec, gdzie znaleźli okienko biletowe.

– Kiedy odjeżdża pociąg do Cottbus? – spytała Maria.

– Jutro, godzina druga dwadzieścia.

– Świetnie, poproszę dwa bilety.

Potem udali się do centrum miasta przez Polaków zwanego Głogowem. Przechadzając się starymi uliczkami, zauważyli, że z perspektywy tutejszych Niemców wojna z Polską była tak odległa, że aż nierealna. Wszędzie spokój i porządek, nigdzie nie widzieli wojskowych mundurów.

Skierowali się do kościoła, którego strzelista wieża przykuwała uwagę, górując nad okolicznymi zabudowaniami.

Kiedy dotarli pod mury świątyni, Staszek oznajmił, że wejdzie się pomodlić. Maria została na zewnątrz, czytając wmurowaną obok wejścia tablicę, która informowała, że ten kościół franciszkański został zbudowany w trzynastym wieku. Nie mogła oprzeć się pokusie i, zamknąwszy oczy, położyła dłoń na zimnym murze. Robiła tak, ilekroć zwiedzała średniowieczne zabytki. Były to jej osobiste podróże w czasie. Zamykała oczy i wyobrażała sobie, że stoi w tym samym miejscu, ale w czasach wznoszenia budowli. Teraz widziała architekta sprzed wieków, który przemierzył ścieżkę od zwykłego kamieniarza, przez czeladnika, aż po mistrza murarskiego. Dyrygował robotnikami, stojąc na niewielkim podwyższeniu.

Chwilowa ucieczka myślami w sferę abstrakcji spowodowała, że po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się spokojna. Staszek wyłonił się ze starych murów po kilku minutach, po czym oboje rozpoczęli poszukiwania miejsca do spania. W końcu dotarli na peryferie Glogau, gdzie znaleźli niewielką szopę. Ułożyli się całkiem wygodnie na sianie i przykryli kocami, mając nadzieję, że gospodarz nie będzie niczego tutaj szukać po nocy.

Na krótko przed czternastą następnego dnia siedzieli już na dworcowej ławce, oczekując pociągu. Byli pod wrażeniem tego, że są traktowani jak zwyczajni Niemcy, którzy wybierają się na wycieczkę.

Z pietyzmem trzymali w dłoniach bilety, które miały zapewnić im spokojną podróż do Cottbus. Tam mieli spędzić noc w oczekiwaniu na przesiadkę, a około południa ruszyć dalej, w kierunku granicy francusko-niemieckiej. Oboje czuli się bezpieczni.

Gdy Staszek poszedł szukać toalety, Maria wyciągnęła papierosa i rozsiadła się na ławce. Wiedziała, że zachowaniem i manierami prawdziwej damy, nieprzystającymi do skromnego ubioru od Rebekki, zwraca uwagę przechodzących obok ludzi, ale spowodowało to tylko uśmiech na jej twarzy.

– Gina Henckel von Donnersmarck? – usłyszała nieznajomy głos i gwałtownie odwróciła się w stronę człowieka, który posłużył się jej fałszywym nazwiskiem.

RAWITSCH, PIERWSZA POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Leitner podziękował rozmówcy i odłożył słuchawkę, po czym spojrzął niespodziewanemu gościowi w oczy. Wprawdzie nie skończył rozmowy z policjantem, ale stwierdził, że przed jego mahoniowym biurkiem pojawił się poważniejszy problem.

– Rodzina? – spytał.

– Od razu do rzeczy, to mi się podoba – odpowiedział z uśmiechem Blankenburg. Christian rzucił okiem na trójkę ludzi stojących za gościem, wskutek czego ten najwyraźniej uznał, że wypada przedstawić swoją świtę.

– *Scharführer* Alexander Klaas. Wanda, moja nałożnica. A to mój Żyd. Czyści buty i tłumaczy, kiedy trzeba – powiedział, wskazując wszystkich po kolei. Mówiąc o kobiecie, roześmiał się.

Leitner stwierdził, że ma do czynienia z wyjątkowym prostakiem. Ostentacyjnie westchnął i wymienił znaczące spojrzenia z Marvinem, którego po chwili przedstawił.

– Wracając do meritum – rzucił w kierunku Blankenburga, spokojnie siadając na swoim krześle.

– Tak, rodzina. Tyle musisz wiedzieć na chwilę obecną.

Christiana uderzyło, że ten człowiek ma czelność mówić do niego na „ty”, mimo że zamienili ze sobą dopiero dwa zdania. Oliwy do ognia dolewał fakt, że jeszcze niedawno stał wyżej w hierarchii oficerskiej od tego prostaka o twarzy psychopaty.

– Będę musiał wiedzieć o wiele więcej – odparł chłodno.

– Nie będziesz musiał – powiedział przybyły, kładąc na stole kopertę opatrzoną nazistowskim orłem oraz odpowiednią pieczętą z Berlina. „Znów od samego Himmlera?” – pomyślał ironicznie Leitner, przypominając sobie jedną z pierwszych nocy w Rawitschu, gdy dwójka gestapowców zabiła jednego z mieszkańców i zabrała jego dziecko. I rzeczywiście, w tym przypadku rozkaz również był podpisany przez samego Himmlera.

– Więc jak? Przejmuję dowodzenie w tej sprawie czy nie? – spytał uśmiechnięty Blankenburg.

– Zgodnie z rozkazem.

– Świetnie, świetnie – odrzekł oficer SD i zaczął rozglądać się po biurze, po czym dodał, omiatając wzrokiem wszystkich z wyjątkiem Leitnera: – Całkiem nieźle się tu urządzałeś, Christian. A tymczasem, musimy zostać sami.

Klaas, Wanda oraz Rufin zrozumieli rozkaz i obrócili się w stronę wyjścia.

– Tobie potrzeba wszystko na piśmie? – gość spytał Rodemeyera.

– Nie, *Obersturmführer*. Wystarczy słownie. Od mojego dowódcy.

– Odmaszerować – powiedział Christian, nie zdradzając zadowolenia, że Marvin zachował się tak, jak powinien.

– Tak jest – odparł Rodemeyer, głośno stuknął obcasami i wykonał hitlerowskie pozdrowienie. Powolnym krokiem opuścił gabinet i zamknął za sobą drzwi.

– Wreszcie sami. Słuchaj, Christian... – zaczął Blankenburg, siadając na krześle przed biurkiem.

– Ty słuchaj, Johann – przerwał mu Leitner, kładąc nacisk na imię. – Nie będziesz panoszył się w moim mieście, tym bardziej w moim gabinecie. Jasne?

– Chyba... – zaczął oficer SD, ale znów nie miał szansy na dokończenie myśli.

– Dostałeś dowodzenie nad sprawą Torstena. To jasne, ale spróbuj wejść z butami na mój teren, to gorzko tego pożałujesz.

– To wszystko?

– Nie. Chcę wiedzieć, co dokładnie zamierzasz tu robić.

– Oczywiście.

Christian popatrzył z dezaprobatą na mundur porucznika SD. Blankenburg najwyraźniej lubował się w nieregularnych ozdobach w kształcie trupiej czaszki. Leitnera kłuło w oczy prezentowane przez tego człowieka lekceważenie wytycznych odnośnie ubioru. Dodatkowo nosił nieprzepisowy model pistoletu, chyba belgijskiego browninga.

– Teraz ja ci coś powiem, Christian.

– Słucham – odparł gospodarz najbardziej grobowym tonem, jakim umiał.

– Skończ pierdolić.

Zarządca Rawitscha popatrzył na niego i pokręcił głową, po czym wstał i zajął miejsce przy oknie, obracając się do rozmówcy tyłem, gdy ten kontynuował:

– Mam rozkaz od Himmerla i gównu mnie obchodzisz ty i twoje miasto. Masz mi zapewnić wszelką pomoc albo zatroszczę się o to, by zarzuty tego żydowskiego ścierwa, które tu ruchałeś, ujrzały światło dzienne.

Johann obserwował plecy Leitnera, który najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru się odwrócić. Wspominając o Żydówce, która doniosła na niego w Posen, był przekonany, że wytrąci sztywniaka z równowagi. Obojętne zresztą, czy mu się udało, uznał, że nie może liczyć na pomoc tego służbisty. Przynajmniej dobrowolną.

Gdy określił Wandę jako nałożnicę, liczył na to, że wywoła entuzjastyczną reakcję byłego wehrmachtowca. Ale tamten popatrzył na niego niemalże z obrzydzeniem. A kiedy przedstawiał swojego Żyda, gospodarz westchnął z politowaniem i wymienił spojrzenia z podwładnym. „Politowanie. Ja ci dam politowanie” – pomyślał Blankenburg i kontynuował swój wywód, mimo że rozmówca nadal nie raczył spojrzeć w jego stronę.

– Masz być posłuszny. Jak pies, rozumiesz? – Czuł, że przekroczył pewną granicę, ale drażnienie tego człowieka zaczęło sprawiać mu przyjemność, więc brnął dalej: – Gdybyś miał jakieś wątpliwości, pytaj Himmlera – wybuchł śmiechem. Po chwili pauzy dodał: – Torsten to mój brat. Próbował zabić mnie w Offenbachu, kiedy go ścigałem. Ubiję go jak burą sukę, kiedy tylko go dopadnę. A ty zrobisz wszystko, żeby mi pomóc, bo inaczej...

Christian obrócił się energicznie, a słowo, które wypowiedział, nabrało prawie fizycznego kształtu i trafiło rozmówcę niczym pocisk.

– Skończyłeś?

Oficer SD niespodziewanie odwrócił wzrok, szybko reflektując się, że tym samym okazał słabość. Spojrzał więc znów w oczy gospodarza, które wyglądały, jakby były zarazem martwe i żywe. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zanim to zrobił, Leitner znów się odezwał tym samym tonem głosu, który świdrował głowę:

– Wynoś się z mojego biura.

– Od dziś to moje biuro. Zajmuję na potrzeby śledztwa.

Christian otworzył szeroko oczy, wbijając morderczy wzrok w obersturmführera. Podszedł powolnym krokiem i nachylił się nad nim, jedną ręką opierając się o mahoniowy blat biurka:

– Mam dla ciebie dobrą radę, pierdolona gnido. Zabieraj się stąd najszybciej, jak potrafisz, albo dzisiejszy dzień zapamiętasz do końca swojego parszywego życia jako ten, w którym nabawiłeś się wroga, jakiego nikt nie chciałby mieć.

Blankenburg wstał z krzesła, prawie uderzając o głowę Leitnera. Przeszedł się spokojnie po gabinecie, równie stoickim krokiem, co gospodarz, po czym uśmiechnął i odparł:

– Słabe masz nerwy. Zorganizuj więc coś większego, niepotrzebna mi taka klitka.

Christian patrzył na niego bez wyrazu. Żaden mięsień jego twarzy nawet nie drgnął, jedynie wzrok przeniósł się na drzwi.

– To do następnego – powiedział Johann i wyszedł, nie usłyszawszy słowa pożegnania.

Opuszczając ratusz, kiwnął na Klaasa i swoich niewolników. Młody scharführer odnotował, że dowódca ma wyraz twarzy, jakiego dotychczas u niego nie zaobserwował. Często jego reakcje były sprzeczne z tym, co mógłby w danej sytuacji odczuwać normalny człowiek, stąd nie wiedział, jak interpretować grymas, który zagościł na jego obliczu po rozmowie z tym byłym żołnierzem Wehrmachtu.

Inna sprawa, że zarządca Rawitscha zrobił na Klaasie dobre wrażenie – człowieka stanowczego i surowego, honorowego i w żelazny sposób trzymającego się swego systemu wartości. Podoficer pomyślał, że może obraz ten zarysował się w jego wyobraźni nieco na wyrost, tylko dlatego, że w rzeczywistości właśnie pod takim dowódcą wolałby służyć, zamiast być chłopcem na posyłki u Blankenburga. Wprawdzie jego obecny przełożony wsławił się w szeregach SS opinią bezwzględniego kata podludzi, ale spędzone z nim tygodnie zachwiały zdrowym rozsądkiem nawet człowieka tak oddanego sprawie jak Alexander.

Ruszając na wojnę, był przygotowany na krew i śmierć. Nigdy jednak nie sądził, że stanie się świadkiem nieludzkiego okrucieństwa, które zdawało się charakteryzować Blankenburga. Najpierw tamten polski kapitan, a potem to, co wydarzyło się w drodze do Rawitscha.

Nim tu dotarli, zatrzymali się w Złoczewie, a raczej w ruinach tego, co niegdyś było polskim miastem. Obersturmführer oznajmił Klaasowi, żeby wrył sobie w pamięć widok, jaki rozpościerał się przed ich oczami. Przyłაცzająca większość budynków została spalona już wiele dni temu, miasto wyglądało jak przyczółek widm. Ludzie snuli się niczym upiory. Było ich tak niewiele, że Klaas sądził, iż większość uciekła na wschód, gdy nadchodził tu front. Przez chwilę czuł się dumny z powodu respektu, jaki budzi noszony przez niego mundur.

Wtedy Blankenburg opowiedział mu o swoim znajomym, Josefie „Seppie” Dietrichu, [oberstgruppenführer](#)ze elitarnej jednostki SS – Gwardii Przybocznej Adolfa Hitlera. W pierwszych dniach wojny Dietrich kazał wymordować swoim podkomendnym oraz wspierającym ich oddziałom Wehrmachtu dwustu miejscowych.

Dowódca przedstawił Klaasowi „Seppa” jako ideał esesmana. Dowodem na to miały być wspomnienia [oberstgruppenführera](#) o tym, jak pozwolił zakatować półtoraroczne dziecko kolbą od karabinu, a potem polecił podłożyć ogień pod budynki miejskie, jednocześnie ustawiając swoich żołnierzy w rzędzie i każąc strzelać do ludzi, którzy uciekali z płonących domów. Blankenburg ze śmiechem wspominał też słowa Dietricha, jak to do Złoczewa zaplątał się jeden polski żołnierz. Był zupełnie zagubiony, a przestraszył się tak, że zlał się w gacie i uciekał jak najdalej od oddziału SS. Nikt nie oddał w jego kierunku strzału. Zadźgali go bagnetami, gdy go dopadli. „Tak właśnie powinna wyglądać ta wojna. Musimy działać bezkompromisowo. Nie ma miejsca na litość dla karaluchów. Prawda, Alex?” – tymi słowami esesman zakończył relację z rozmowy z Dietrichem. Klaas przytaknął wtedy, nie wiedząc jeszcze, co miało go czekać chwilę później.

Blankenburg zaprowadził go wtedy do pobliskiego lasu, w którym funkcjonariusze operującego w okolicy Einsatzkommando 11. przyprowadzili czwórkę ludzi. Zapewnili obersturmführera, że zgodnie z jego prośbą wybrali przypadkowych ludzi z czterech różnych wsi. Blankenburg pokiwał głową, po czym odezwał się do Klaasa:

– No, Alex. Masz tutaj cztery zabawki. Wybieraj, kto i jak.

– *Herr Obersturmführer?*... – scharführer nie zrozumiał, więc przełożony szybko dodał:

– Jesteś teraz panem ich życia i śmierci, rozumiesz? Po to jesteśmy na tym świecie. My, prawdziwi Niemcy.

– Tak jest – odparł Alexander, po czym wyciągnął pistolet i zaczął przechadzać się wzdłuż szeregu ludzi, z których jeden miał już spodnie przemoknięte moczem. Młody esesman wycelował w jego głowę i oddał strzał, a mężczyzna padł na ziemię.

– Nie, nie, nie, nie! Co ty robisz, Alex? Masz szansę poeksperymentować, a ty strzelasz mu w głowę! Umarł od razu, nie cierpiąc, a zarazem tobie nie dostarczył żadnej przyjemności. Nie o to chodzi. Korzystaj, załatwiłem ci okazję.

Klaas, słuchając Blankenburga – którego głos brzmiał tak, jakby oficer podawał przepis na zupę – ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że ten człowiek jest nienormalny. Odnotował także, że nie jest w tym przekonaniu osamotniony – esesmani, którzy przyprowadzili Polaków do lasu, również patrzyli na oficera ze zdziwieniem.

– Wolę czystą robotę, *Obersturmführer* – odparł Alexander i ustawił się obok stojącego po prawej Polaka. Wycelował w jego skroń, po czym precyzyjnie ustawił kąt ułożenia pistoletu. Oddał strzał, którym pozbawił życia także dwóch pozostałych mężczyzn.

Blankenburg zaklaskał, najwyraźniej spodobało mu się przedstawienie. A Klaas był zadowolony, że nie musiał zadawać ofiarom niepotrzebnego bólu. Nie miał nic przeciwko zabijaniu Polaków, ale nie widział sensu w fascynującym oficera torturowaniu przypadkowo schwytanych ludzi.

I wówczas dołączył do nich kolejny członek Einsatzgruppe, mówiąc, że ma prezent dla Blankenburga. Przyciągnął za włosy dziesięcioletniego chłopca. Obersturmführer zranił dzieciaka w twarz, a potem wrzucił w gąszcz krzaków. Klaas odwrócił się, nie chcąc obserwować tego, co robił jego przełożony.

OKOLICE PODKAMIENIA, ZSRR,

PIERWSZA POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Bronek nie czuł tak ogromnego zmęczenia, na jakie uskarżał się Kremmer przy akompaniamencie utyskiwań Kiljana. Także Chwieduszko wyglądał, jakby ledwo chodził, ale nie wy dobył z siebie nawet słowa skargi. Dla każdego z nich marsz był ciężki, jednak Zaniewski z dumą przyznał w duchu, że mimo tego, iż leje się z niego pot, mógłby iść dalej. Czuł głęboką motywację, która dodawała mu sił.

Chorąży jednak, reagując na coraz częstsze prośby starego Osmunda, które pod koniec przekształciły się w regularne błagania, zarządził postój i odpoczynek.

– Panowie, ja tak dalej nie mogę – wycedził Kremmer, ledwo łapiąc oddech. Bronek popatrzył na niego, uśmiechając się i odparł:

– Mówiłem, panie Kremmer: przeżył pan bitwy z Niemcami, to przeżyje pan wszystko. Lekka kolka nie zabija.

– Powiadam szacownemu sierżantowi, iż choćbym... – ziemianin zrobił pauzę, by nabrać powietrza do płuc, po czym na wydechu kontynuował: – ...bardzo chciał, a chcę, to nie jestem w stanie postawić kolejnego kroku.

– Niech pan nie biadoli. Zaraz musimy ruszać dalej – wtrącił Chwieduszek, zajmując miejsce na wygodnym mchu, gdzie już przysiadł Roman.

Staruszek pomyślał o bólu przeszywającym podeszwy jego stóp i stwierdził, że odciski musiały nawarstwiać się w przerażającym tempie.

– Spokojnie, panie Kremmer – powiedział Broniek, widząc przestraszony wzrok staruszka. – Jesteśmy niedaleko od Palikrów... Palikrowów... Palikrowych... Pali...

– Palikrów – odparł arbitralnym tonem Kremmer.

– O ile w ogóle istnieją – dodał Kiljan.

Wcześniej postanowili, że jednak sprawdzą wątpliwą historię Antoniego. Zmierzali w okolice Beresteczka, a skoro musieli wybierać mniej uczęszczane drogi, tak czy inaczej mieli minąć rzeczony Palikrowy.

Kiedy ruszali w dalszą drogę, młody szeregowy pozwolił Kremmerowi oprzeć się na swoim ramieniu. Zaniewski z niemałym rozbawieniem obserwował twarz właściciela dworku w Beniowej, który napinał każdy mięsień twarzy, marszcząc się jak niemowlak, który spędził zbyt dużo czasu w kąpieli. Sapał przy tym głośno i wzdychał, wypowiadając jakieś niezrozumiałe formułki w obcych językach – być może przekleństwa – i wbijał błagalny wzrok w niebo. Ocierał pot z czoła, wyrażając ból, jakby ktoś wbił mu w serce sztylet i kręcił nim na wszystkie strony.

Kiedy dochodzili do Podkamienia, Chwieduszek powierzył Bronkowi zadanie wejścia do wsi i wypymania mieszkańców o Palikrowy. Ku swojemu zdziwieniu, Zaniewski odkrył, iż Antoni mówił prawdę. Gdy wrócił z tymi wieściami do kompanów, od razu udali się w kierunku wskazanym przez miejscowych. Po kilkadziesiąt minutach byli na miejscu. Prawie nieprzytomny Kremmer ledwie trzymał się ramienia Kiljana.

– Dzień dobry, gdzie znajdziemy panią Cecylię? – Broniek zapytał pierwszego z napotkanych mieszkańców wsi.

– A kto pyta?

– Bronisław Zaniewski, KOP – warszawiak powiedział niepewnie.

Młody człowiek popatrzył na nich i chyba stwierdził, że nie robią najgorszego wrażenia, bo zapytał:

– Jaki oddział?

– Piąta Kompania Batalionu „Delatyn”. Po mobilizacji: Druga Brygada Górską.

Rozmówca pokiwał głową i odparł:

– Dobra, chodźcie za mną.

Dotarli do folwarku, leżącego przy drodze wychodzącej ze wsi na północ. Kręciło się tutaj kilku młodzieńców w towarzystwie starszego mężczyzny, ale żaden z nich nie wyglądał na najemnego chłopca.

– Do Cecylii tędy – przewodnik wskazał im drzwi, po czym podszedł, otworzył je i pierwszy wszedł do środka. Chwieduszek dał znak ręką, by udali się za miejscowym.

Kiedy przekroczyli próg, ich nozdrza wypełnił przyjemny i już prawie zapomniany zapach kawy. Broniek zaczął zastanawiać się, kiedy ostatnio miał okazję delektować się smakiem i aromatem tego napoju.

Przy stole, będącym jednym z niewielu mebli w dużej izbie, siedziała kobieta o brązowych

włosach splecionych w kok. Podniosła na nich wzrok i uśmiechnęła się, prezentując nieco krzywe zęby. Zaniewski mało kulturalnie wlepił w nią wzrok, ale od gospodyni emanowała tak silna aura magnetyzmu, że przykuwała uwagę każdego mężczyzny w izbie. Broniek stwierdził, że mimo zmarszczek kobieta prezentuje się jak pełna seksapilu aktorka teatralna.

– Witajcie, chłopcy – powiedziała ciepło.

Chwieduszko wyszedł przed szereg i przedstawił wszystkich, krótko opisując historię ich podróży. Gdy się zaciął, Zaniewski lub Kremmer dorzucali kolejne elementy opowieści. Kiedy skończyli, Cecylia oświadczyła:

– Świetnie, że trafiliście tutaj. Ja nazywam się Cecylia Nester, a człowiek, którego zaczepiliście we wsi, to mój młodszy syn.

– Adam Nester, miło mi – powiedział i podał Bronkowi rękę.

– Niestety, nie wiem, czy uda mi się was upchnąć w najbliższej przyszłości – powiedziała gospodyni i wysunęła ukrytą pod blatem stołu wąską szufladę, po czym zaczęła przeglądać jakieś dokumenty.

– Co proszę? – spytał sierżant, a ona popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Mamy pełne listy.

– Listy czego? – wtrącił Chwieduszko.

Cecylia popatrzyła najpierw na syna, a potem, nieco skonsternowana, na przybyszy.

– Chyba nie wiecie, gdzie trafiliście?

– Powiedziano nam, że może nam pani udzielić schronienia. Staramy się dotrzeć do Beresteczka. Mieliśmy powołać się na Antoniego... Antoniego... – chorąży zawiesił głos, a potem przyciszonym głosem skierował pytanie do Bronka: – Kurwa, jak on miał na nazwisko?

– Pytaj mnie, a ja ciebie – odparł warszawiak, wzruszając ramionami.

– Nie potrzeba tutaj nazwisk, chłopcy. Znam Antoniego, podejrzany typ.

– Może i tak – powiedział Zaniewski, a Cecylia wzięła głęboki oddech, chcąc dać rozmówcom do zrozumienia, że ma do powiedzenia coś ważnego i prosi o uwagę.

– Poniekąd trafiliście dobrze.

– Dlaczego „poniekąd”?

– Bo organizuję przerzut byłych żołnierzy do Rumunii, do obozów internowania. Stamtąd udają się do Francji, gdzie tworzone jest Wojsko Polskie.

Broniek, Kiljan i Chwieduszko wymienili spojrzenia. Choć przypuszczali, że gdzieś powstanie ośrodek tworzenia nowej armii, nie spodziewali się, że już w pierwszej połowie października takowy pojawi się we Francji.

– Nie wiedzieliście, co? – spytała.

– Niestety, nie mieliśmy zbyt wielu informacji z frontu. Jak mówiłem, udupili nas za liniami wroga – powiedział Chwieduszko, nim zdążył ugryźć się w język. Cecylia zbyła łagodnie przekleństwo machnięciem ręki.

– Adaś, zrób kawy – nakazała synowi, ku uciesze Bronka.

– Skąd macie kawę? – spytał.

– Znikąd, sierżancie. Zbieramy żołędzie, a potem wypalamy je na płycie kuchennej. Proszę więc nie oczekiwać smaku arabiki.

– Droga pani, teraz nawet najgorsza lura będzie smakowała jak niebo w gębie – odparł

Zaniewski i zaraz się zmitygował: – Oczywiście, nie wątpię, że ta kawa nie jest lurą... – Ponownie przerwała mu, machając ręką i uśmiechając się.

Adam podał kawę, ale zanim zdążyli upić choćby łyk, rozległo się pukanie. Trzy stuknięcia, przerwa, dwa stuknięcia, znów przerwa i jedno głośne stuknięcie. Zaczęli ostrożnie obracać się w kierunku drzwi, kiedy Cecylia donośnym głosem powiedziała:

– Wejść! – Popatrzyła na nich i dodała: – Proszę się nie obawiać, mamy tutaj prawdziwe centrum dowodzenia emigracją. Przepraszam na moment, to był umówiony znak, a wy jesteście poza harmonogramem.

– Oczywiście – odparł Broniek i chwycił kubek wypełniony kawą. Kiedy jej spróbował, mina mu zrzędała.

Do pomieszczenia wszedł siwy człowiek, niosący chyba cały swój dobytek w szmacianej torbie, rozrywającej się od spodu. Rozmawiał chwilę z gospodynią, która wręczyła mu jakieś dokumenty i trochę zapasów, ucałowała w oba policzki i pożegnała, życząc szczęścia.

Kiedy opuścił izbę, wyjaśniła:

– To Ernest, wraca na tereny okupowane przez fryców. A to wcale nie jest łatwe, bo obie strony pilnują granicy i trzeba wiedzieć, którędy przejść.

– Czyż ten człowiek postradał zmysły wszelkie? Wraca do Niemców? Z własnej woli? – odezwał się staruszek.

– Cóż, panie Kremmer, nie wie pan, co tutaj się działo. Wielu ludzi uważa, że lepiej mieć nad sobą bagnet Niemca niż Sowietę. Ernest wielokrotnie skarżył się, że nie może znieść tej bolszewickiej dziczy. Zresztą nie tylko on.

– To pani nie widziała, co się dzieje na terenach zajętych przez Niemców. Mordują bez skrpułów, palą domy, gwałcą kobiety – powiedział Chwieduszek.

– Możemy się tak licytować całą noc. Tutaj nie jest inaczej, Rosjanie robią, co chcą. – Cecylia omiotła wzrokiem pokój. – Kiedyś stało tu wiele pięknych mebli, ale jak Rosjanie wpadli, nie próbowałam nawet bronić swojej własności. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, wpakowali na ciężarówkę i pojechali na wschód, z powrotem do ZSRR. Meble, kosztowności, zegarki, biżuteria, pamiątki rodzinne, nawet mój pierścionek zaręczynowy – wszystko przepadło. Nie mówiąc o tym, że zabrali ze sobą mojego młodszego syna. A męża bestialsko... – urwała.

Osmund Kremmer wstał, podszedł do gospodyni i położył jej rękę na plecach.

– Poczęstowałabym chlebem, ale akurat nam zabrakło – odzyskała głos. – Wszystkim właścicielom sklepów zabrano tytuły własności. Czerwoni mówią, że sklepy należą teraz do państwa. A bochenek chleba kosztuje czterokrotnie więcej niż przed wojną...

GLOGAU, PIERWSZA POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Owładnięta przerażeniem Maria obróciła się w kierunku człowieka, który ją zawołał. Nosił długi, policyjny płaszcz oraz wysoką, trochę zabawnie wyglądającą czapkę, tworzącą ścięty stożek.

– Policja Ochronna. Jest pani aresztowana, proszę powoli wstać i podnieść ręce – oświadczył lekko drżącym głosem, nieudolnie starając się przybrać służbowy ton.

Starła się wyglądać na zdezorientowaną, choć serce zaczęło walić jej jak szalone.

– Czego pan ode mnie chce?

– Jest pani poszukiwana listem gończym. Ręce nad głowę – powiedział, celując z pistoletu. Od razu zauważyła, że policjant nie ma doświadczenia i jest mocno zestresowany. „List gończy. Dziękuję, Christianie” – pomyślała.

– Teraz proszę tędy, udamy się na posterunek – powiedział, wskazując ręką kierunek. Nerwowo rozejrzał się, po czym dodał:

– Gdzie pani towarzyszy, Stöxen?

– Nie wiem, o kim pan mówi. Zatrzymuje mnie pan jako kogoś ściganego listem gończym, nie przedstawia się, celuje we mnie i grozi. Tak się nie traktuje porządnych obywateli – stwierdziła z oburzeniem.

– Przypatrywałem się pani długo z drugiego końca peronu. Odpowiada pani opisowi, no i zareagowała pani na swoje imię i nazwisko.

– Nazywam się Ingrid...

– Proszę dać sobie spokój – przerwał jej policjant i ponownie wskazał kierunek, w którym mieli się udać.

Kiedy opuścili dworzec, próbowała jeszcze ratować sytuację:

– A pan jak się nazywa?

Zawahał się, ale odparł:

– *Hauptwachmeister*^[3] Markowetz.

– Ingrid Fleckenstein. Miło mi, pomimo okoliczności – odparła spokojnie.

– Mówiłem: niech pani da sobie spokój.

– W takim razie dobrze. Wyjaśnimy to na komisariacie.

– Taki mam zamiar. Ale pierwsze, co zrobimy, to umieścimy panią w celi.

– Rozumiem, że nie wie pan, kim jest mój ojciec?

Policjant popatrzył na nią przelotnie i złapał pod rękę, chowając broń.

– Nie. I nie interesuje mnie to. Niech pani nie traci czasu na gadanie.

– Za to wy straciecie go sporo, by się z tego wytłumaczyć.

Niemiec zbył jej uwagę milczeniem. Stwierdziła, że choćby ułożyła najbardziej prawdopodobnie brzmiącą historię, tym razem się nie wywinie. Policjant trochę zbyt mocno ścisnął jej rękę, jakby bojąc się, że zaraz mu ucieknie. Zauważyła budynek, pilnowany przez człowieka ubranego w taki sam mundur z wysoką czapką. Przy drzwiach widniała tabliczka z napisem *Polizeiwache*, nad którą znajdował się hitlerowski orzeł.

Nagle rozległ się dźwięk wystrzału z pistoletu. Na ulicy wszczął się popłoch. Policjant nadal trzymał Marię pod rękę, ale na jego mundurze, w okolicach lewego barku, zaczęła wykwitąć plama krwi.

Nim zdążył wyciągnąć broń, drugi raz został trafiony prosto w klatkę piersiową. Runął, ciągnąc za sobą Marię. Zatoczyła się, ale zdołała utrzymać równowagę.

– Chodź! – usłyszała krzyk narzeczonego. Puściła się pędem w jego stronę.

Staszek jeszcze na dworcu zobaczył policjanta w śmiesznej czapce, który podchodził od tyłu do ławki, na której siedziała Maria. Zaniewski udał się za nimi, czekając na odpowiedni moment. Ten nadszedł, gdy tylko Niemiec schował pistolet, pewnie aby nie wzbudzać zbyt dużego zainteresowania gapiów. A może stwierdził, że dziewczyna nie zdoła mu uciec.

Staszek wycelował lugera zabranego Leitnerowi i modlił się, by udało mu się trafić. W tym samym momencie nasza go myśl o absurdalności takiego zachowania: modlił się o śmierć innego człowieka.

Wycelował w głowę, ale kula trafiła ofiarę w bark. Zaklął i strzelił jeszcze raz. Policjant runął na ziemię, a Maria, gdy tylko odzyskała równowagę, zaczęła biec w kierunku narzeczonego.

Wszyscy przechodnie umknęli, za to na ulicę wybiegło z komisariatu dwóch funkcjonariuszy. Jeden doskoczył do zabitego kolegi, a drugi popędził za uciekającą dziewczyną. Staszek zastanawiał się, czy nie strzelić ponownie, ale wiedział, że nie zdoła trafić w tak szybko poruszający się cel.

Uniósł więc pistolet i wypalił dwa razy w powietrze. Policjant padł na ziemię, sądząc, że kule lecą w jego stronę.

Kiedy zdyszana Maria dobiegła do narzeczonego, ten, złapał ją za rękę i pociągnął jak najdalej od komisariatu. Staszek wystrzelił jeszcze raz, a potem schował broń.

– Nikt nie potrafi tak uciekać, jak Maria i Stanisław Zaniewscy *in spe* – oświadczył, kiedy udało im się dostać na przedmieścia.

Byli wykończeni po dwudziestominutowym biegu w morderczym tempie. Zaczęli iść powoli, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Udało im się wtopić pomiędzy ludźmi, którzy niespiesznie przechadzali się po parku na peryferiach miasta. Kiedy już z niego wyszli, znów rzucili się do biegu. Tutaj już nie było ani domów, ani ludzi. Po paru minutach Maria nie mogła złapać oddechu, więc Staszek patrzył na nią z niepokojem. Biegła jednak dalej, dopiero gdy dotarli do jakiejś szutrowej drogi, usiadła na niej, cała blada. Uśmiechnęła się niemrawo i ledwie zdołała wyszeptać:

– Uratowałeś mi życie, barani łbie.

– Zawsze chętnie to robię.

– I jak się z tym czujesz?

– Nie najgorzej – odparł i zaśmiał się.

Nabrała powietrza do płuc. Powoli je wypuszczając, uściśliła:

– Mam na myśli policjanta.

Popatrzył gdzieś w dal i odpowiedział głosem smutniejszym, niż mogła się tego spodziewać po jego wcześniejszej entuzjastycznej reakcji:

– Zrobiłem, co musiałem. Zresztą, pogadamy o tym później. Teraz chodźmy dalej, bo z całą pewnością będą nas szukać w pobliżu miasta.

Z nieukrywany trudem wstała, kiedy podał jej rękę. Ruszyli w nieznanym kierunku, nie wiedząc nawet, gdzie się znajdują.

Na noc ułożyli się przy szopie w napotkanej wsi. Owinęli się kocami, które dostali od Rebekki. Udało im się spokojnie przespać całą noc. Wprawdzie o poranku koc, którym się okrywali, był mokry od rosy, ale otwierając oczy, oboje docenili fakt, że żyją i są wolni.

Oczyścili ubranie, jak tylko zdołali i poszli w głąb wsi. Staszek został przy ogrodzeniu jednego z gospodarstw, a narzeczone zapukała do domu. Otworzyła mała dziewczynka z kucykami starannie związanymi po obu stronach głowy.

– Cześć. Zastałam twoich rodziców? – Maria spytała uprzejmie.

Dziewczynka znikła bez słowa w domu, a zaraz potem w drzwiach pojawiła się kobieta oraz

stojący tuż za nią mężczyzna. Pierwsza odezwała się Maria:

– Dzień dobry. Przepraszam państwa za najście, jesteście Austriakami. – Wskazała na Staszka, który pomachał jej, udając, że reperuje podeszwę. – Zgubiliśmy mapę. Szukamy najbliższej stacji kolejowej.

Mężczyzna i kobieta ukłonili się i oznajmili, że chętnie pomogą. Podczas gdy kobieta wskazywała Marii kierunek, mężczyzna znikł w domu, by po chwili pojawić się z mapą. Pochylili się nad nią we trójkę.

Staszek obserwował z oddali poczynania narzeczonej i stwierdził, że, jak zwykle, radzi sobie wzorowo. W głowie nadal rozbrzmiewały mu odgłosy wystrzałów z lugera. Wciąż widział rozbryzg krwi, dziwnie zastygły w powietrzu po tym, jak wytrysnął z klatki piersiowej policjanta.

Zapalił papierosa i zaciągnął się tak głęboko, że gdy wypuszczał dym, pojawiła się tylko niewielka, szara smużka. Odrzucał myśl, że dokonał morderstwa. Po prostu zrobił to, co musiał, aby ratować ukochaną.

Rozejrzał się i stwierdził, że prócz nich w okolicy nie ma żywej duszy. Pomyślał, że może dziś niedziela, bo zazwyczaj ludzie na wsi zrywali się o brzasku. Dopiero teraz uwiadomił sobie, że stracili rachubę już jakiś czas temu. Nawet tak prozaiczna czynność, jak określenie dnia tygodnia była elementem wcześniejszego, odmiennego życia, które teraz mógł jedynie wspominać z nostalgią.

Jego uwagę przykuł trochę zbyt zakurzony niebieskawy volkswagen, zaparkowany obok domu, z którego mieszkańcami rozmawiała Maria.

Podobno ten samochód, przypominający chodzącego na czworaka garbusa, został zaprojektowany przez samego Hitlera. Niemcy nazywali go *Käfer* – chrząszcz. Przed wybuchem wojny Staszek czytał w jakiejś gazecie, że niemiecki wódz obiecał, iż takie auto znajdzie się w posiadaniu każdej rodziny. Jednak autor artykułu, przeanalizował tę obietnicę i stwierdził, że nie da się jej spełnić. Drugorzędna była nawet kwestia, czy niemieckie zakłady zdołają wyprodukować tyle aut – ważniejsze okazało się spostrzeżenie, że listy oczekujących na volkswagena były nieskończenie długie. Ta rodzina najwyraźniej miała sporo szczęścia. Albo dobre znajomości.

Nie zastanawiając się długo, Staszek podszedł do Marii. Uśmiechając się, wyciągnął broń i trzymając ją na wysokości pasa, by pozostawała niewidoczna dla przypadkowych przechodniów, wycelował w kobietę, z którą rozmawiała narzeczone.

– Oszałałeś? – spytała cicho Maria, choć jej oczy zapłonęły wściekłością.

– Każ im dać kluczyki do volkswagena.

Ponaglił ją wzrokiem. Weszli powoli do środka, a mężczyzna i kobieta patrzyli z przerażeniem na człowieka, który odzywa się po polsku i celuje do nich z broni.

– Staszek, tu gdzieś jest mała dziewczynka.

Kiwnął głową, kiedy Maria odbierała od kobiety kluczyki do samochodu i przeproszała za to, jak ich potraktowali. Zapewniła, że zarówno im, jak i ich córce nic się nie stanie.

– Potrzebujemy tylko waszego samochodu – powiedziała po niemiecku, ale odpowiedziało jej tylko przerażone spojrzenie. Popatrzyła na narzeczonego i widząc jego stoicki wyraz twarzy, stwierdziła, że czas schować dobre maniery do kieszeni i zacząć myśleć racjonalnie. – Musimy ich gdzieś zamknąć albo związać, sama nie wiem...

– Zapytaj, czy mają piwnicę.

Dwadzieścia minut później jechali volkswagenem, zaopatrzeni w niedokładną mapę okolicy, dzbanek z kawą, kilka paczek papierosów i dwa bochenki żytniego chleba. Bak samochodu wypełniony był w dwóch trzecich.

Zaniewski prowadził niepewnie. W ciężkiej ciszy jechali całą godzinę.

RAWITSCH, WARTHELAND,

PIERWSZA POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Johann spędził wieczór w towarzystwie Wandy Blumental, a kiedy się nią znudził, posłał po swojego podwładnego.

Esesman zajął całe piętro jednej z kamienic na rawickim rynku, przy ulicy Poznańskiej, znanej teraz jako Posenerstraße. Z największego pokoju mógł obserwować ratusz, co dawało mu pewien komfort psychiczny.

Mieszkanie urządzone było w stylu kolonialnym, więc obersturmführer zastanawiał się, dlaczego ciekawe meble nie zostały wywiezione przez właściciela, który najpewniej uciekł na wschód. A jeszcze dziwniejsze było to, że nikt ich nie rozkradł.

Kiedy sprawdzał szuflady, w obawie, że Leitner kazał zamontować podsłuch, natknął się na paczkę papierosów. Widniał na niej polski napis „egipskie”, którego nie umiał jednak wymówić. Wyciągnął jednego i powąchał, po czym wyrzucił wszystkie do kosza.

– *Herr Obersturmführer* – powiedział Klaas, stając w progu, po czym wykonał hitlerowskie pozdrowienie i usiadł na kanapie, którą wskazał mu Blankenburg.

– Rozmawiałeś z tym cholernym służbistą?

– Tak jest.

– I? Muszę ciągnąć cię za język?

– Nie, oczywiście nie. Wedle rozkazu zrobiłem wszystko, co mogłem, by uzyskać informacje o więźniach osadzonych w tutejszym zakładzie, mimo to Leitner niewiele mi powiedział. Za to od jego żołnierzy dowiedziałem się, że dokonał pokazowej egzekucji i przesłuchiwał kogoś w więzieniu.

– Resztę pozostawił przy życiu?

– Tak, ale strażnicy więzienni zrobili swoje. Większość z tych Polaków ledwo zipie.

Rozmowę przerwał im dźwięk telefonu. Johann rozejrzał się i w końcu odnalazł aparat. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos radiooperatora, który poinformował go, że uzyskał zamówione połączenie z Berlinem.

– Alex, musisz wyjść – oficer powiedział poważnym tonem.

– Tak jest.

Odczekał chwilę po tym, jak Klaas zamknął za sobą drzwi.

– *Christophskräuter*.

– Cerber.

– Jak w Hadesie?

– Reichstag płonie.

Po zakończeniu identyfikacji i podaniu hasła, co było wymagane w przypadku, kiedy ktoś z terenu dzwonił do jednego z wysokich urzędników z Voßstraße 6 w Berlinie, rozległ się znany Blankenburgowi, chrapliwy głos starego człowieka:

– Interpol rozesłał listy gończe za twoim bratem i jego towarzyszami. Zidentyfikowano ich w Glogau, na dworcu kolejowym.

– Torstena też?

– Nie. Zabili funkcjonariusza *Schutzpolizei* i uciekli. Ślad po nich zaginął.

– Nieciekawa sytuacja.

W słuchawce zapadła cisza, jak zwykle podczas rozmów z tym człowiekiem. Blankenburgowi te długie pauzy zawsze wydawały się okropnie nienaturalne, nie wypadało mu jednak popędząć takiej persony. Nie wypadało, jeśli ceniło się własną pozycję, a może i życie.

– Owszem, nieciekawa. Udało ci się czegoś dowiedzieć w Rawitschu?

– Nie, oprócz tego, że tutejszy...

– Christian Leitner nie jest przedmiotem twojego śledztwa.

– Tak – posłusznie odparł obersturmführer i poczuł się jak mały pies, który został skarcony przez pana za wzięcie zbyt dużego kęsa kiełbasy. Zagryzł mocno zęby.

– Zbieraj materiał w Rawitschu.

– Tak jest.

– W Glogau nie było Torstena. Policjant zginął dopiero od drugiego strzału. Twój brat zabiłby go jednym albo nawet gołymi rękami.

– Też tak sądzę.

Blankenburg słyszał odgłos odkładania słuchawki, nim jeszcze skończył wypowiadać tę kwestię.

Christian przechadzał się niespiesznie po rawickich plantach. Na rozległym terenie parkowym, otaczającym rynek, rosło blisko dwa tysiące drzew, niezliczona ilość krzewów i innych roślin. Leitner lubił chodzić tutaj na poranne spacerki, choć na biegi wolał wybierać się do pobliskiego lasu.

Minął niewielką armatkę, która pozostała tutaj ponoć jako pamiątka po wojnie ze Szwedami w osiemnastym wieku, i wszedł na niewielkie wzniesienie, z którego roztaczała się ciekawa panorama miasta.

Delektował się ciepłym, jak na jesień, powietrzem. Jeszcze kilka dni temu podczas tych spacerów snuł dalekosiężne plany, które uległy drastycznej zmianie, gdy otworzył paczkę zawierającą czarny mundur SS. Dzisiejszego ranka jednak wstał z mocnym postanowieniem, iż ponownie ułoży w głowie ogólną koncepcję zarówno na dalszą, jak i bliższą przyszłość.

Za kilka dni miała do niego dołączyć Johanna z Maximilianem. Stało się to możliwe, bo wedle informacji, które Christianowi udało się uzyskać od dawnego przełożonego z Wehrmachtu, wojskowy zarząd terenów podbitych przez Rzeszę miał niebawem zostać zastąpiony administracją cywilną. Zrobi się spokojniej.

Zaraz potem otrzymał obszerną korespondencję wojskową z dowództwa, jak i okólniki podpisane przez Führera. Rozpisywano się w nich o sytuacji podbitych ziem. Leitner z zadowoleniem przyjął, że Rawitsch już oficjalnie znajduje się na terytorium Rzeszy, bo

Wielkopolska została wcielona do niej jako Wartheland – Kraj Warty. Dokumenty zawierały też sporo dyspozycji na temat tego, jak należy traktować podludzi – Polaków. Niedopuszczalne było zwracanie się do niech per pan lub pani. Nie mogli posiadać motocykli ani samochodów, a rowery jedynie w uzasadnionych przypadkach. Co jednak najważniejsze, mieli być bezwzględnie wysiedlani. Należało zrobić miejsce dla przesiedlanych tutaj Niemców. Takich jak Johanna i Maximilian.

Burmistrz Rawitscha, Markus Richarz, wydał zarządzenie, które pozwalało na przebywanie na plantach wyłącznie mieszkańcom narodowości niemieckiej. Leitner z aprobatą przyjął tę decyzję, choć przypuszczał, że Richarz nie podjął jej sam, a jedynie wypełnił czyjś rozkaz.

Christian uważał nadmierne represje wobec Polaków za środek nieuzasadniony, który tylko zmotywuje ich do wzmożonej działalności dywersyjnej i partyzanckiej. Gdyby ich los zależał od Leitnera, wszystkich przeniósłby do Generalnego Gubernatorstwa – który to protektorat planowano utworzyć na wschodzie Polski – a władzę nad nim oddałby marionetkowemu polskiemu rządowi na czele z którymś z bardziej ugodowych generałów pokonanej armii. Miejscowi, rządzeni przez swoich, a nie Niemców, mający pozory niezależności i skuszeni korzyściami płynącymi z przymierza ze zwycięzcami, przestaliby się buntować, a kto wie, może nawet wsparliby Wehrmacht na kolejnych frontach wojny. A terenów do zasiedlenia przez Niemców, i to atrakcyjniejszych niż Polska, było w Europie jeszcze wiele.

Leitner przypomniał sobie sytuację, kiedy wracali z żoną i synem z wakacji. Ich pociąg zatrzymał się w Berlinie, gdzie mieli się przesiąść. Na tym samym peronie przyjechał skład osobowy z Polski, który Niemcy zgromadzeni na stacji witali gromkimi okrzykami *Heil Pilsudski!* i podobnymi, wyrażającymi niemalże braterstwo. Perspektywa porozumienia zatem istniała, przynajmniej wtedy.

Christian stwierdził, że widocznie Führer miał inne priorytety, a Polacy zeszli na dalszy plan, później zaś postanowiono całkowicie zaliczyć ich do podludzi. Efektem takiej polityki stał się alians z barbarzyńcami ze Wschodu, który zapewne musiał Rzeszę wiele kosztować, bo Stalin zwykł stawiać twarde warunki.

Kiedy, rozmyślając, wyciągnął papierosa, usłyszał głos przyjaciela:

– Przepraszam za spóźnienie, Leiner.

– Nie przejmuj się. Udało ci się?

– Bez problemów, ich rzeczy były transportowane przez dwóch naszych gefreiterów. Przejrzałem dokładnie całą dokumentację dotyczącą Torstena Blankenburga.

– Siadaj. – Christian wskazał Rodemeyerowi ławkę, po czym ruchem ręki zachęcił go do mówienia.

– Po tym, jak cztery lata temu popełnił dwukrotne morderstwo w Breslau... – Marvin zrobił przerwę, gdy Leitner częstował go papierosem. Wypuścił dym i kontynuował: ...pojawił się na krótko w Danzig. Tam znany był jako Carl Michalik. Ostatnie wieści o nim pochodzą z początku lipca tego roku. Zlokalizowano go w Warschau, gdzie ukrywał się pod pseudonimem Robert Holzer.

– Robert Holzer – powtórzył głośno Leitner.

– Tak. Ale słuchaj dalej.

Esesman kiwnął głową na znak, by porucznik dokończył.

– Te parę dni wystarczyło, by SS prześledziło powiązania Torstena w światku przestępczym

Warschau. Jeden z tamtejszych oprychów złamał się na torturach i stwierdził, że Blankenburg wraz z dwójką Polaków uciekł stamtąd na początku września. Idąc tym tropem, zidentyfikowali twoją Ginę.

Leitner popatrzył na niego zaskoczony, co Marvin odnotował z satysfakcją, bo rzadko zdarzało mu się aż tak przykuwać uwagę przyjaciela.

– Naprawdę nazywa się Maria Herensztad i jest Żydówką, Christian. Niestety, nasi nie poznali prawdziwej tożsamości tego drugiego, Gottwina.

PALIKROWY, ZSRR,

PIERWSZA POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Cecylia Nester, zgodnie z zapowiedzią Antoniego, udzieliła pomocy trójce żołnierzy i Kremmerowi, którzy przebijali się – wbrew zdrowemu rozsądkowi – na północ, by dostarczyć rodzinie Maniury list pożegnalny.

Kiedy Chwieduszko z Kiljanem poszli do wsi, by przehandlować trochę sprzętu, który nie był im potrzebny, reszta grupy pozostała w przestronnej izbie. Gospodyni przygotowała im kolejną kawę z palonych żołądzi. Bronek kiwał głową z uznaniem, gdy częstowała ją podczas bardzo skromnego śniadania, ale prawda była taka, że ledwo przełykał kolejne hausty. O cukrze nie było nawet mowy, więc wrażenie picia najgorszej lury na świecie coraz bardziej się potęgowało.

– Co panowie później zamierzają? Kiedy dostarczą już ten list? – spytała Cecylia, a Zaniewski odparł:

– Możliwe, że zgłosimy się z powrotem do pani. Ja mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę na północy kraju, a potem jestem gotów walczyć dalej – ostatnie zdanie zabrzmiało dość niepewnie. Instynktownie nie powiedział kobiecie prawdy, która zakładała zabranie Anieli z Baranowicz i wspólne – choć wątpliwe, czy spokojne w tych czasach – życie z wybranką. Oczywiście, o ile była narzeczona w ogóle będzie chciała go widzieć.

– Załatwię, co trzeba, żebyście trafili bezpiecznie za rumuńską granicę. Za tydzień odjeżdża transport dwóch oficerów i kilku żołnierzy. Kiedy wrócicie z Beresteczka, będą czekały na was miejsca w kolejnym przerzucie.

– Rumuni są skłonni pozwalać naszym żołnierzom na dalszą podróż? Sądziłem, iż... – wtrącił ziemianin, ale Cecylia mu przerwała:

– Oficjalnie nie, panie Kremmer. Boją się i Rzeszy, i Rosjan. Ale docierają do nas informacje od tych, których przerzuciliśmy. Nie mieli problemów, by z Rumunii dostać się do Francji czy gdzie indziej.

Rozmawiali jeszcze chwilę o ruchach emigracyjnych z terenów okupowanej Polski, popijając kawę z kiepsko ukrywanym niesmakiem.

– Można się przyzwyczać – powiedziała w końcu gospodyni, szeroko się uśmiechając.

Ledwo skończyła zdanie, a jej uśmiech jakby się złamał, zaś usta wykrzywiły się w grymasie przerażenia.

Rozległ się huk. Drewniane drzwi zostały wybite z zawiasów i runęły na podłogę. Dla Zaniewskiego czas jakby się zatrzymał – wraz z zastygłym na twarzy gospodyni wyrazem strachu.

Do izby wpadło z krzykiem kilku żołnierzy w poszarpanych, znoszonych mundurach. Na ich czapkach widniała metalowa odznaka, przedstawiająca wpisane w czerwoną gwiazdę sierp i młot. Bronek w pierwszym odruchu energicznie wstał i sięgnął po broń, momentalnie jednak uzmysłowił sobie, że zostawił visa w pokoju, który Cecylia wskazała im jako sypialnię.

Szybko oprzytomniał, widząc wyloty luf karabinów marki Mosin. Powoli podniósł ręce i skrzyżował dłonie za głową. To samo, patrząc na niego z przerażeniem, zrobił Kremmer. Cecylia również wstała, ale trzymała ręce opuszczone wzdłuż tułowia. Całą sobą wyrażała pogardę i nienawiść do Rosjan.

Napastnicy krzyczeli, a Bronek starał się skupić, by wyłapać pojedyncze słowa. Nigdy nie nauczył się rosyjskiego w takim stopniu, by móc się nim płynnie posługiwać. Cyrylicy nie znał w ogóle, ale potrafił powiedzieć i zrozumieć co nieco.

Mowa luf bolszewików nie potrzebowała jednak tłumaczenia.

– *Sadities!* – usłyszał Bronek, więc opadł powoli na krzesło, a Kremmer zrobił to samo.

– *Sadis', job twoju mat'!* – krzyknął jeden z czerwonarmistów do Cecylii. Patrzyła na niego dłuższą chwilę, udając, że nie rozumie. W końcu podszedł do niej i posadził ją na krześle, łapiąc bez ogródek za bark i ściskając mocno. Poczula ból, ale nie wydała żadnego odgłosu.

Zaniewski dojrzał, że zza framugi co chwilę ktoś ukradkiem wygląda i obserwuje ostrożnie sytuację w środku. Po chwili stwierdził, że to Antoni. „Ten mały sukinsyn sprzedał nas” – pomyślał. Najwyraźniej nie wystarczył mu drobny handelek z Ruskimi. Postanowił obłowić się, wyjawiając im, gdzie znajdują broń grupy Bronka.

Warszawiak omiół wzrokiem żołnierzy rosyjskich. Ich mundury nie prezentowały się najlepiej, zresztą sami ich właściciele też nie. Mieli dość długi zarost i tylko przy dużej dozie dobrej woli można by uznać ich za żołnierzy. Kiedy opadły emocje, sierżanta uderzyła woń potu, bijąca od ludzi, którzy wtargnęli do domu Cecylii.

– Czego chcecie? – spytał, kalecząc rosyjski.

– Zamknij mordę. Zaraz ktoś przyjdzie.

Kiwnął głową i stwierdził, że ci żołnierze nie są od rozmawiania, a od wywalania drzwi. Szkoda było czasu na próby dogadania się z nimi.

Po upływie kilku minut próg przekroczył człowiek o bujnej czuprynie i wąsach, ubrany znacznie lepiej od szeregowców. Stał na wywalonych z zawiasów drzwiach i kilkakrotnie postukał w nie butem.

– *Mładszij lejtenant* ^[4] Siergiej Wierłukow – powiedział całkiem kulturalnie. Kremmer i Bronek milczeli, odezwał się więc po raz kolejny, patrząc na nich: – Tamten chłopak twierdzi, że jesteście żołnierzami polskimi.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, choć Zaniewski zrozumiał sens zdania. Wierłukow wysłał dwójkę swoich ludzi, by dokładnie przeszukali dom i zlokalizowali pozostałych dwóch żołnierzy.

– Znajdziemy resztę waszych, a potem pojedziecie prosto do obozu – rzucił krótko, po czym zaczął przyglądać się Cecylii. Kiedy wyszczerzył do niej zęby, Bronek zauważył, że całe pokryte są żółtym nalotem.

Podporucznik kątem oka odnotował, że młodszy z polskich jeńców się poruszył, zwrócił się więc w jego stronę i powiedział:

– Co się tak wiercicie? Nazwisko lepiej podajcie.

Zaniewski zaczął analizować sytuację i stwierdził, że będzie grać na czas, bo Chwieduszek z Kiljanem powinni niedługo wrócić. Miał nadzieję, że w porę zorientują się w sytuacji i dzięki swojemu doświadczeniu nie będą mieli problemów z wybiciem Ruskich. Ci noszący podarte mundury chłopcy nie wyglądali na takich, którzy potrafiliby stawić porządną opór. Wierłukow robił odmienne wrażenie, choć też snuł się po izbie z miną tak samo znudzoną jak jego podkomendni. Broniek doszedł do wniosku, że wygląda na takiego, któremu wojna spowszedniała, nużąc go do granic możliwości.

– Tak czy inaczej, macie przesrane – ponownie odezwał się Rosjanin. – A jak będziecie współpracować, to może wam jakieś profity przyjdą.

– Bronisław Zaniewski, *główny sierzant* – powiedział Broniek, starając się, by jego rosyjski zabrzmiał znośnie.

– No widzicie, towarzyszu, już lepiej. – Siergiej Wierłukow uśmiechnął się, ale nawet nie zwrócił spojrzenia w stronę jeńca, wlepiając wzrok w Cecylię. Kiwnął na jednego z żołnierzy, który zbliżył się do sierżanta i wycelował lufę mosina w jego głowę.

– Siedźcie spokojnie, Polaki – dodał dowódca bolszewików, po czym podszedł do kobiety i wziął ją za rękę. Cofnęła się energicznie, więc złapał ją za kark i cisnął na podłogę. Po chwili szarpaniny przyłożył jej pięścią w twarz, a potem zaciągnął do jednego z pokojów i zamknął drzwi. Broniek słyszał odgłosy szamotaniny i stłumiony krzyk gospodyni. Po kilku minutach oficer wyszedł z pokoju, zapiął rozporek i powiedział coś do żołnierza, który trzymał Bronka na muszce.

– Zwierzęta – rzucił Kremmer.

– *Spakojnie* – rzucił w jego stronę Rosjanin i zagroził palcem, jednocześnie się uśmiechając.

Żołnierz, na którego skinął rosyjski dowódca, opuścił broń i skierował się do pokoju, gdzie na łóżku leżała Cecylia. Po tym, jak zamknął za sobą drzwi, słyszeli tylko jego dziki śmiech.

Broniek spojrzął na Wierłukowa, który przeżywał jeszcze niedawne emocje. Nie namyślając się wiele, warszawiak rzucił się na niego z pięściami.

W pomieszczeniu nadal pozostawał jeden z szeregowców, zanim jednak zdążył zareagować, Polakowi udało się z całych sił trzasnąć prawym sierpowym w twarz podporucznika. Broniek z zadowoleniem stwierdził, że najprawdopodobniej złamał przeciwnikowi nos, bo buchnął z niego strumień krwi. Zanim jednak zdążył obrócić się w kierunku kolejnego z bolszewików, szeregowiec przywalił mu kolbą w głowę.

– Ty mały chuju – powiedział Wierłukow, kiedy polski sierżant upadł. Kremmer poderwał się i rzucił na podporucznika, który właśnie brał zamach nogą, by kopnąć leżącego Bronka. Kiedy zobaczył, że starszy człowiek rzuca się na niego, zrobił unik, a staruszek wyrznął o podłogę.

– Mogliście spokojnie dostać się do obozu, sierżancie. Ale że jesteście tępym kutasem... – Młodszy lejtnant rozkazał podkomendnemu związać Polaków plecami do siebie, obwiązując szczególnie mocno w okolicach krtani. Potem bolszewicy posadzili ich na dwóch krzesłach bez oparcia i dodatkowo obwiązali nogi.

Kiedy dwaj szeregowcy wrócili z przeszukania folwarku i zameldowali, że nie mogą znaleźć pozostałych Polaków, Siergiej Wierłukow wskazał im pokój, w którym znajdowała się Cecylia. Zagrali w marynarza, a potem po kolei wchodzili do pomieszczenia. Broniek nie słyszał już protestów kobiety, a jedynie głośnie sapanie Rosjan i odgłosy bicia.

Kiedy pokój Cecylii opuścił ostatni z żołnierzy, wyglądał na zawiedzionego. Kiedy

towarzysze śmiali się z jego miny, czerwonoarmista odparł, że jego poprzednicy potraktowali kobietę zbyt ostro, bo on czuł się, jakby zabawiał się z kłodą. Dodał, że Cecylia może już nie żyć, ale Wierłukow zbył to machnięciem ręki.

Bronek patrzył na jego twarz i nie dojrzał na niej cienia ludzkich uczuć. Szczęrzył tylko poźółkłe zęby i mówił coś do swoich żołnierzy.

Zaniewski usłyszał kroki za sobą i poczuł, jak Kremmer drętwieje. Pomyślał, że pewnie Antoni wszedł do izby i jego towarzysz niedoli tak zareagował na widok cholernego konfidenta.

Znów skoncentrował wzrok na Wierłukowie. Nagle twarz tamtego przybrała odmienny wyraz i zastygła w zdumieniu. Szeroko otwarte oczy zaszyły mgłą. Mimo że otwierał usta, nie wydobywał się z nich dźwięk.

Młodszy lejtnant jakby kaszlnął, ale z jego ust wyprysnęła struga krwi, prosto między Kremmera a Bronka, ochlapując ich ubrania.

NIEDERSCHLESIEŃ (DOLNY ŚLĄSK), RZESZA, POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Czarny volkswagen mknął z zawrotną prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę po szosie prowadzącej do Leipzig. Uciekinierzy obliczyli, że paliwa starczy im tylko do Sorau, po polsku zwanego Żarami. Na ich drodze pojawiały się od czasu do czasu stacje benzynowe – widoczne z daleka dzięki charakterystycznej literze T, umieszczonej w czarnym okręgu na dachu – ale nie mieli dość funduszy na uzupełnienie baku.

Wprawdzie z domu rodziny, którą pozostawili zamkniętą we własnej piwnicy, zabrali połowę znalezionych pieniędzy, ale by dotrzeć do Francji samochodem, potrzebowali znacznie większej sumy. Prędzej czy później byłiby więc skazani na pociągi, a zatem też na wizyty na dworcach kolejowych, co łączyło się z ryzykiem złapania.

Od momentu opuszczenia Glogau nie odezwali się do siebie ani słowem. Staszek spojrzawszy na siedzącą za kierownicą Marię i stwierdził w myślach, że widocznie zarówno ona, jak i on potrzebują długiego sam na sam z własnymi myślami.

Przemierzali wąskie, choć utrzymane w dobrym stanie drogi. Mieli nadzieję trafić na autostradę, jednak kiedy przeanalizowali mapę, stwierdzili, że wszystkie drogi w okolicy oznaczone jako *Reichsautobahn* biegną do lub z Berlina, natomiast żadna z tych, do których mogliby szybko dojechać, nie prowadziła do Lipska.

– Co myśmy zrobili? – zapytała wreszcie Maria, biorąc delikatny zakręt w prawo i nieprzytomnie wbijając wzrok w przestrzeń przed nimi. Ruch na drodze był minimalny.

Staszek wpatrywał się w krajobraz po prawej stronie samochodu. Wszędzie ciągnęły się rozległe, równo – jakby za pomocą precyzyjnego narzędzia – wydzielone pola. Po chwili wjechali w gęsty las, porośniętymi strzelistymi drzewami. Młodzieniec oderwał wzrok od szyby i odrzekł:

– Co masz na myśli? Kradzież, pozbawienie wolności czy morderstwo?

– Strzelanie do policjanta było koniecznością... Mówię o tym, co zrobiliśmy później.

Znów popatrzył przez okno, próbując skupić wzrok na pojedynczych, smukłych pniach drzew, ale przesuwały się zbyt szybko.

– Jak mogliśmy zamknąć tych ludzi i ograbić ich dom?

– To Niemcy.

Oczekiwała, że się uśmiechnie i będzie mogła potraktować to stwierdzenie jako żart, ale zobaczyła, że narzeczony ma śmiertelnie poważną minę. Pomyślała o tym, jak zmienił go jeden wystrzał z pistoletu. Jedna kula. Jeden Niemiec.

To wystarczyło, żeby zamknął się w lodowatej skorupie, a pod nią upchnął wszystkie emocje. Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje, kiedy obserwowwała, jak grozi tej rodzinie pistoletem, po czym nakazuje im wejść do piwnicy. Mała dziewczynka płakała, a rodzice zasłaniali jej oczy, sądząc chyba, że zaraz zostaną pozbawieni życia.

Wiedziała, że po nagłej decyzji Staszka nie mieli innego wyjścia. Mogli zabić świadków lub upewnić się, że ci przez dłuższy czas nie będą mogli pójść na posterunek policji. Wybrali to drugie, ale Maria nie mogła otrząsnąć się z wyrzutów sumienia. Wyobrażała sobie, że pozostawieni w piwnicy ludzie nigdy już się z niej nie wydostaną. Nie odwiedzi ich żaden zaniepokojony sąsiad, nie pojawi się nikt z rodziny. Odpędziła szybko te myśli, mówiąc:

– Niemcy, Żydzi, Ormianie czy Cyganie, wszystko jedno. Nic nam nie zrobili. Nie widziałam też, żeby nosili mundury Wehrmachtu albo celowali do nas z pistoletów. Czego nie można powiedzieć o nas.

– O mnie – poprawił ją Staszek.

– Czyżby jakieś wyrzuty sumienia, panie niewrażliwy? – spytała, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że nawet nie myśli o tym, co zrobił tamtej rodzinie, gdyż wciąż skupiał się na człowieku, którego pozbawił życia w Glogau.

– Póki co, próbuję wszystko to ogarnąć rozumem.

– A ogarniaj sobie. Chcę ci tylko powiedzieć, że zapisałam adres tej rodziny.

– Świetnie, wyślemy im kartkę z Louvigny we Francji – odparł chłodnym tonem, a Maria uśmiechnęła się w duchu. Bawiła ją jego powaga. I pomagała w uporaniu się z własnymi wyrzutami sumienia.

– Wyślemy im dokładnie tyle pieniędzy, ile zabraliśmy. Plus wartość samochodu.

– Kosztuje z dziewięćset reichsmarek... – odrzekł cicho i zawiesił głos.

Choć obserwowwała z uwagą wszystko, co się dzieje na drodze, kątem oka zauważyła, że Staszek obrócił w jej kierunku głowę i dłuższą chwilę się jej przyglądał.

W końcu odezwał się, głosem już cieplejszym:

– W porządku.

Znów jechali w milczeniu, a Maria ukradkiem spoglądała na narzeczonego i uśmiechała się pod nosem, widząc jego grobową minę. W takich momentach wydawał się jej nieswój i nienaturalny. Zupełnie jak kiepski aktor, który wyszedł na scenę teatralną i nieudolnie próbował pokazać widzom maskę zatytułowaną „powaga”. W pewnym momencie usłyszała ciche chrząknięcie i zrozumiała, że zaraz ze szczegółami opowie jej o swoich przemyśleniach z ostatniej godziny.

– Wiesz...

– Tak? – odparła, starając się, by jej głos nie zabrzmiał zbyt wesoło.

– Oni i tak mają lepiej.

– Niemcy? Żadne odkrycie, nikt nie napadł na ich kraj.

– No tak. Chodzi mi o tych, których okradliśmy.

Potwierdziła skinieniem głowy, a Staszek mówił dalej:

– Podobne im rodziny, tyle że w Polsce, są mordowane przez ich rodaków. Niewykluczone, że mieli syna, który został wysłany z Wehrmachtem do Polski. Nie można też wykluczyć, że ta rodzina zostanie przeniesiona do Polski i zajmie twoją czy moją kamienicę w Warszawie.

Po chwili namysłu odparła:

– Naprawdę dobrze umiesz się usprawiedliwiać, panie Zaniewski, w niektórych kręgach znany jako barani łeb.

– Lepiej kontroluj wskaźnik. – Wskazał na poziom benzyny. – Nie usprawiedliwiam się, tylko mówię, jak jest. I jak może być.

– I masz rację. Jest wojna, musimy robić wszystko, żeby przeżyć.

Pokiwał w zadumie głową, a Marii znów zachciało się śmiać, gdy obróciła głowę w jego stronę i zobaczyła ten niezwykle poważny wyraz twarzy.

Po kilku godzinach jednostajnej jazdy na zachód, sama też musiała zmierzyć się ze swoimi myślami. Ten dzień z pewnością zapamięta na długie lata. Jej narzeczony zabił niemieckiego policjanta, po czym uwięził i okradł Bogu ducha winną rodzinę.

Tamta kobieta, schodząc do piwnicy, błagała, by ich nie zabijali, i wyjawiała, że oszczędności znajdują się za znaną wszystkim dzieciom książką *Aschenputtel – Kopciuszek*. Maria odnalazła baśń na jednej z półek wysokiego regału w salonie i przejrzała ją pospiesznie.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nazistowska propaganda zainteresowała się również Kopciuszek. W tej wersji książkę odrzucił nieczystą rasowo kobietę na rzecz dziewicy o czystej krwi aryjskiej. Maria pokręciła głową i odłożyła książkę na pobliski, okrągły stolik, po czym zaczęła przeliczać pieniądze.

Czuła się jak najgorsza szumowina. Staszek, gdy zamknął drzwi piwnicy, stanął obok. Wyglądał, jakby miał ochotę dobrowolnie zgłosić się na najbliższy posterunek i samemu zaryglować drzwi celi. Odłożyła połowę pieniędzy z powrotem na półkę i zakryła nazistowskim *Kopciuszek*. Popatrzyła na narzeczonego, a ten skinął głową.

– Halo – powiedział Staszek, wrywając ją z zamyślenia. Zanim zdążył popukać w kokpit, zauważyła, że wskazówka poziomu benzyny niebezpiecznie spadała.

Zjechała w jedną z polnych drózek, parkując samochód w bezpiecznej odległości od szosy i oczu ewentualnych wścibskich kierowców. Wprawdzie nie powinni ściągać niczyjej uwagi, ale uznali, że ostrożności nigdy za wiele. Kiedy się zatrzymali, Staszek podszedł do maski volkswagena, otworzył ją i wyciągnął kanister, który zabrali wraz z samochodem. Kilkakrotnie nim potrząsnął i stwierdził, że zostało już niewiele zapasowej benzyny. Otworzył wlew paliwa i przechylił kanister z napisem *Kraftstoff 20 l Feuertgefahrlich 1939*. Nie miał pojęcia, co to znaczy, rozumiał tylko oznaczenie dwudziestu litrów i rok produkcji.

Po pokonaniu kolejnych kilometrów na oparach benzyny zdołali dojechać do przedmieść Leipzig. Nie kręcili się tutaj ludzie, a zabudowania zaczynały się dopiero kilkaset metrów dalej.

Zaczynało się ściemniać, więc przepchnęli samochód kawałek za drogę, a Maria położyła kluczyki na dachu. Zabrali swoje rzeczy i ruszyli w stronę miasta niewielką ścieżką, unikając głównych dróg. Przyjęta przez nich teraz strategia unikania zbędnego ryzyka zakładała, że nie będą liczyć na okazyjne podwiezienie. Mogliby zostać zapamiętani, a skoro policja ich szukała, prędzej czy później natrafiłaby na któregoś z kierowców, który ich podrzucił.

Ledwie przeszli kawałek, Maria zatrzymała się i obróciła w stronę porzuconego volkswagena.
– Staszek, śpijmy w samochodzie. Będzie cieplej.

Popatrzył na nią i po krótkim zastanowieniu kiwnął głową. Przynajmniej nie zamarzną, choć po noclegu w malutkim aucie zapewne obudzą się z tak nieznośnym bólem pleców, że rano ledwo dowłoką się do lipskiego dworca.

WARTHELAND, POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

– *Halt!*

Dwaj niemieccy żołnierze podjechali na motocyklu BMW z koszem do lekko zgarbionego, łysego człowieka. Ten powoli odwrócił się do nich, niezbyt przejęty przypadkowym zatrzymaniem. Miał szpetną twarz, której grymas, wyrażał jakieś bliżej nieokreślone, pierwotne instynkty.

– *Papiren* – powiedział żołnierz prowadzący motocykl, ale nim zdążył z niego zsiąść, rozległy się dwa strzały, a w płaszczu napotkanego człowieka, na wysokości kieszeni, pojawiła się dziura. Kierowca upadł na szosę.

Holzer mruknął z zadowoleniem. Mimo tego, że był praworęczny, udało mu się lewą ręką dobrze wycelować, i to z trudnej pozycji, trzymając broń w kieszeni. Zaraz potem zabił zaskoczonego Niemca siedzącego w koszu.

Zazwyczaj strzały „z kieszeni” kończyły się niepowodzeniem, ale stał tak blisko żołnierzy, że musiał trafić. Podszedł jeszcze bliżej, by zobaczyć, gdzie trafiły kule. Prowadzący motocykl oberwał w brzuch. Holzer zmarszczył nos, po czym sprawdził puls żołnierza. „Nie trzeba było wstawać z siodelka. Dostałbyś w pierś i teraz nie cierpiać, idioto” – pomyślał, kiedy łapał go za głowę. Lekkim acz dynamicznym ruchem rąk skręcił mu kark. Chrupnęło, a oczy żołnierza wywróciły się białkami do góry.

Holzer popatrzył na drugiego i zadowoleniem przyznał, że udało mu się trafić w głowę. Ocenił swoje dzieło i wykrzywił twarz w grymasie, który sam uznawał za uśmiech. Dla osoby postronnej jednakże wyglądałoby to jak skurcz mięśni.

Zaciągnął ciała w krzaki i pospiesznie założył mundur żołnierza siedzącego w koszu. Zarechotał głośno. Trafił mu się kapitan.

– *Guten morgen, Herr Hauptmann Holzer!* – powiedział do siebie, kiwając się na boki. Odpiął wózek i zepchnął go z niewielkiej górki, po której biegła droga.

– *Heil Holzer!* – krzyknął głośno, marszcząc nos i unosząc górną wargę, po czym znów zarechotał, wykonując gest hitlerowskiego pozdrowienia. Był chłodny, październikowy ranek i Holzer, a właściwie Torsten Blankenburg, pomyślał, że nic nie nastraja go tak optymistycznie, jak ubicie żołnierza Wehrmachtu na śniadanie. Splunął, wsiał na motocykl i odjechał na zachód, w stronę Breslau, gdzie zamierzał uruchomić swoje dawne kontakty w tamtejszym świecie przestępczym, by znaleźć sobie dogodne miejsce na przetrwanie wojny.

Przelotnie pomyślał o Marii i Staszku, których zostawił w Rawitschu. Naraził ich na niemałe niebezpieczeństwo, zabijając skurwysyna Heinlego. Przez następne cztery dni ukrywał się w miejskich ściekach, gdzie żaden szanujący się niemiecki żołnierz nawet by nie zajrzał. Błądził kanałami jakiś czas, po czym stwierdził, że minęło wystarczająco dużo czasu, by mógł wyrzeć

na powierzchnię. Początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje, ale po pewnym czasie zlokalizował kierunek, w którym chciał podążać.

Myśląc o dwójce młodych Polaków, wezbrała się w nim złość, gdyż przypomniał sobie o torbie wypchanej pieniędzmi, która stała się łatwym łupem jakiegoś szczęśliwego żołdaka Wehrmachtu.

Teraz, jadąc prawym brzegiem Odry, w okolicach miasta Auras zauważył dwóch niemieckich żołnierzy. Krzyknął, by się zatrzymali, po czym niespiesznie, mierząc ich wzrokiem, podjechał. Wolał uprzedzić ich pytania i samemu być tym, który sprawdza, dlaczego żołnierze są daleko za linią frontu, na bezpiecznych terenach Rzeszy.

– *Hauptmann* Christian Leitner – przedstawił się, w pełni usatysfakcjonowany wyborem nowego imienia i nazwiska. Żołnierze zsalutowali, przedstawili się i pokazali mu dokumenty zaświadczające, że zostali odesłani do jednego ze szpitali w okolicy. Holzer pobieżnie przejrzał papiery i zapytał, jak dojechać do Breslau. Kiedy udzielili mu informacji, odjechał bez słowa.

Dotarłszy do celu, stwierdził, że w mieście życie toczyło się tak samo jak wtedy, gdy kilka lat temu musiał uciekać za wschodnią granicę.

Niewiele czasu zajęło mu odszukanie człowieka, który kontrolował większą część życia przestępczego Breslau. Szybko jednak okazało się, że Holzer nie jest tutaj mile widziany.

Hans od razu rozkazał swoim ludziom otoczyć mężczyznę, którego znał jako Erica Drenzlera. Wycelowane w pierś Blankenburga *alias* Drenzlera *alias* Holzera lufy pistoletów zwiastowały niespodziewany koniec jego podróży.

Hans, dla którego Torsten prowadził przed laty niezbyt czyste interesy na wschodnich rubieżach Rzeszy, oświadczył dawnemu współpracownikowi, że Interpol wystawił list gończy, zawierający jego rysopis oraz dane personalne. A według berlińskich informatorów Hansa, szukało go także Gestapo. Dopiero ta ostatnia wiadomość zaniepokoiła Holzera.

– Tym bardziej musisz mi pomóc, chłopie – powiedział.

– Niczego nie muszę. A na pewno nie muszę wkładać ręki do twojego nocnika, gdzie pływa głównie zwane Gestapo.

– Daj spokój, odwdziczę się.

– Jak? Masz pieniądze? Masz cokolwiek, co mógłbyś mi, kurwa, zaoferować?

– Na teraz nie, ale...

– Więc nie mamy o czym gadać.

Przywódca bandytów kiwnął na swoich ludzi, a ci momentalnie złapali Holzera za rękę. Gwałtownym ruchem barku pozbył się ich chwytu i spiorunował wzrokiem rozmówcę.

– Rób tak dalej, a wyjedziesz z Breslau w czarnym worku, szmato – warknął Hans. Torsten rzucił okiem na kilkunastu ludzi, którzy byli gotowi wypełnić każdą komendę swojego szefa. Zbyt wielu. Pozwolił wyprowadzić się z niewielkiego magazynu, położonego w dzielnicy Hundsfeld. Na odchodnym usłyszał:

– Nie chcę cię tu więcej widzieć, do wieczora masz się stąd zmyć. I potraktuj to, że ci jaj nie uciąłem, za wielkoduszny gest.

Holzerowi oddano oba pistolety. Miał ochotę od razu wpakować po kulce każdej z tych gnid, ale powstrzymał się. Wściekły, nie zatrzymał się nawet w żadnej ze swych ulubionych piwiarni. Z rykiem silnika opuścił miasto.

Niegdyś bywał w Breslau tylko w mniejszych pijalniach piwa, szerokim łukiem omijając takie

restauracje jak słynna „Schweidnitzer Keller”, w której mogło się pomieścić nawet siedmiuset gości, których obsługiwała setka kelnerów. Chętnie natomiast spędzał wolne chwile w miejscach takich jak „Kipke Bier”, gdzie panowała mniej oficjalna atmosfera. Podobało mu się życie w Breslau i miał zamiar zostać w tym mieście na dłużej. Jego plany pokrzyżowali jednak ludzie, którzy o niewłaściwej porze znaleźli się w niewłaściwym miejscu, a do tego byli trochę pijani i zebrało im się na niewczesną odwagę. Holzer był przyzwyczajony do tego, że jego wygląd przyciągał podchmielonych i żądnych wrażeń młodych chłopaków, którzy chcieli sprawdzić się w bójce z człowiekiem wyglądającym na rasowego przestępcę. Mordobicia zawsze kończyły się dla nich boleśnie, a dla tych ostatnich – utratą życia.

Niecałe sześćdziesiąt kilometrów stamtąd ostry dźwięk aparatu telefonicznego wyrwał Leitnera z rozważań o Ginie. Marii Herensztad, Żydówce, która w przedziwny sposób zawróciła mu w głowie, by na pożegnanie przyłożyć w nią z całej siły popielniczką.

Nie przypominał sobie, by zrobiła cokolwiek, co mógłby potraktować jako chociażby namiastkę flirtu. Nie odczuwał też, by w nawet najmniejszym stopniu podobał się jej jako mężczyzna. Teraz uznał, że musiała żywić do niego przede wszystkim negatywne uczucia. Jak Żydówka do Niemca.

Odebrał telefon i niechętnie przywitał się z Rüdigerem Hellerem.

– Mam nadzieję, że Blankenburg nie robi ci wielu problemów.

– Nawet gdyby, to pan nie jest władny przywołać go do porządku, nie myślę się?

Po drugiej stronie linii zapanowała chwilowa cisza, po czym oficer SD odparł:

– On dostaje rozkazy prosto z Berlina.

– Ach tak – znużonym głosem odparł Leitner. – Dzwoni pan do mnie w konkretnej sprawie?

– Tak, tak. W zasadzie nawet dwóch.

– Słucham zatem.

– Namierzono cię w okolicach Breslau.

– Tak? – zapytał wciąż spokojnym głosem i sam zdziwił się swoją reakcją.

– Tak. A jako że siedzisz teraz w Rawitschu, zaś spotkano cię w Breslau zaledwie dwa dni temu, domyślam się, że to nie byłeś ty. Dwójka żołnierzy zameldowała o samotnym kapitanie Leitnerze, jadącym motocyklem BMW R 12 niedaleko Auras. Poza tym, tamten był łysy i brzydki jak noc.

Christian wstał z krzesła. Gdyby kabel na to pozwalał, podszedłby do okna. Zrozumiał, że właśnie dostał szansę zatarcia złęgo wrażenia po wypuszczeniu z rąk rzekomych dziennikarzy „Neue Stimme”. Teraz rozprawi się z Torstenem Blankenburgiem, a potem zrobi wszystko, by odnaleźć Ginę. Marię.

– Johann Blankenburg już wie?

– Z całą pewnością. Ja dostałem informację od tamtejszego garnizonu, więc i do niego dotarła.

– Wyjeżdżam zatem do Breslau, póki czas.

– I tu dochodzimy do drugiej sprawy – Heller zrobił pauzę – owszem, wyjeżdżasz. I nie wracasz już do Rawitscha, mam wobec ciebie inne plany. Zarówno krótko-, jak i długoterminowe. Właśnie z ich powodu znalazłeś się w strukturach SS.

– Jakie to plany?

– Póki co, masz ująć Blankenburga, zanim zrobi to... drugi Blankenburg. Potem będziemy musieli zmierzyć się z innym problemem.

Christian, jak zwykle podczas rozmowy z Hellerem, zirytował się, że musi o wszystko dopytywać.

– Jakim problemem?

– Alexandra Knoll, Żydówka, którą zdecydowałeś się spenetrować jak pospolity szeregowy, zdążyła pomieścić ozorem w towarzystwie innych ludzi.

– Nie widzę problemu.

– Ani ja, ale dowództwo może go zauważyć. Tym bardziej, że wystarczy sprawdzić, a okaże się, że ostatnio widziana była żywa, gdy przekraczała próg budynku Gestapo w Posen.

– To pana zmartwienie. Mnie to nie obchodzi.

– Do czasu, Christian. Bagatelizujesz tę sprawę, a może się okazać gwoździem do twojej trumny.

Odpowiedzią Leitnera na to stwierdzenie było milczenie, Heller dodał więc szybko:

– W Breslau będą na ciebie czekać Johanna i Maximilian. Wszystko już zorganizowałem. Jak widzisz, opłaca się być z nami.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Uważaj na siebie, Christian. Zależy mi na tym, żebyś dobrze wykonał to zadanie. Złap Blankenburga i odpowiednio potraktuj tego mordercę.

Leitner pożegnał się oziębło, nie mając zamiaru dziękować za przysługę Hellera. Dotychczas nie planował opuszczać Rawitscha, wręcz przeciwnie. Poza tym, czuł się odpowiedzialny za to miasto. A teraz, kiedy znalazło się w granicach Rzeszy, było tutaj wiele do zrobienia. Układał plany zamieszkania w Rawitschu z żoną i synem, tymczasem Rüdiger Heller twierdził, że już tu nie powróci.

Nie chciał okazać zbytniego zainteresowania tym, co szykuje dla niego przełożony, jednak w duchu umierał z ciekawości, podszytej wszakże niepewnością co do losu własnego i swojej rodziny.

PALIKROWY, ZSRR, PIERWSZA POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Osmund Kremmer był tak skamieniały z przerażenia, że mógłby dostać Oscara za rolę pierwszoplanową w filmie, który opowiadałby o głazie. Nie potrafił poruszyć żadnym mięśniem swojego ciała. Najpierw jego zmysł słuchu został porażony kilkoma głośnymi wystrzałami, oddanymi z bliskiej odległości. Potem doznał paraliżu wszystkich innych zmysłów, gdy umierający Rosjanin ochlapał go swoją krwią.

Czuł, że przywiązany do jego pleców sierżant Zaniewski porusza się gwałtownie i krzyczy, ale nic do niego nie docierało. W przestronnym pomieszczeniu, w którym trzymali ich Rosjanie, rozpętało się prawdziwe piekło.

Słyszał kolejne strzały i wrzaski, ale nie mógł w żaden sposób zidentyfikować, czy przedśmiertne wycie dochodzi z gardeł jego przyjaciół czy też Sowietów. O obróceniu głowy w stronę obrazu walki nie było mowy.

Pomyślał, że jedna zbłąkana kula od Chwieduszki lub Kiljana może zakończyć jego

egzystencję na tym świecie. Nie mówiąc już o pociskach bolszewików.

– Panie Kremmer, w lewo, z całej siły! – krzyknął Bronek, gdy tylko obrócił głowę, by jego twarzy nie pokryła krew Wierłukowa. Kiedy sam energicznie przechylił się we wskazaną stronę, by przewrócić krzesła, do których byli przywiązani, poczuł, że jego towarzysz niedoli siedzi jak wmurowany.

Zaklął w duchu i, mobilizując wszystkie siły, zaczął kiwać się w lewo i prawo. Kiedy kątem oka dostrzegł Kiljana wpadającego do pomieszczenia i Chwieduszkę stojącego tuż za jego plecami, udało mu się przewrócić krzesła. Wylądowali na twardej podłodze.

Bronek odniósł wrażenie, że usłyszał przeraźliwy krzyk Chwieduszki, a chwilę potem pisk kobiety. Najpewniej Cecylii, choć nie poznał jej głosu.

– Wstawaj, kurwa!

Zaniewski usłyszał wołanie chorążego i z całej siły szarpnął za sznury krępujące jego i Kremmera. Wiedział, że dwójka ich towarzyszy potrzebuje pomocy w starciu i jeśli mają przeżyć, trzeba działać szybko, by zniwelować przewagę liczebną i taktyczną, którą mieli Rosjanie.

Chwieduszko z Kiljanem, wpadając do izby, musieli ostrożnie oddawać strzały, starając się nie trafić przyjaciół. Natomiast bolszewicy mogli strzelać do woli, byle we właściwym kierunku. Wprawdzie istniało ryzyko, że trafią Antoniego, ale Bronek przypuszczał, że nie miało to dla nich żadnego znaczenia.

W końcu udało mu się wyswobodzić rękę, odzierając je z naskórka podczas wyszarpywania ich ze sznurów. Wychylił lekko głowę znad krzesła i zobaczył, że Cecylia leży na podłodze. Oddychała, choć spazmatycznie i spanikowanym wzrokiem wodziła po suficie.

Kremmer oprzytomniał, kiedy poczuł, że krępujące go więzy zostały rozluźnione. Szybko odciągnął sznur ze swojej strony i potoczył się w kierunku, który uznał za bezpieczny. Usłyszał pojedynczy strzał, po czym nastąpiła cisza. Kanonada zakończyła się, a może raczej została przerwana.

Zaniewski przeniósł wzrok w stronę wyjścia, spodziewając się zobaczyć tam lufy Chwieduszki i Kiljana. Zamiast tego ujrzał dwójkę radzieckich żołnierzy, którzy – spoceni i lekko zakrwawieni, ale przede wszystkim przerażeni – zwrócili swoje karabiny w jego stronę. Powoli podniósł ręce, obawiając się, by spanikowani żołnierze go nie zastrzelili. Oddychali ciężko i mieli oczy rozwarłe tak mocno, że wyglądały, jakby miały wystrzelić z orbit.

Przy wejściu leżał Chwieduszko z twarzą zwróconą ku podłodze, zaś Kiljan nieco dalej, na plecach.

Kiedy dwaj żołnierze dawnej kompanii Obelta wracali ze wsi, nie byli zadowoleni z efektu swojej misji. Mieli sporo broni, której część chcieli wymienić na żywność, bo czekał ich długi marsz do Sołoniowa, rodzinnej wsi Maniury. Niestety, we wsi nie znaleźli nikogo, kto byłby chętny na taką wymianę. Co więcej, miejscowi wyraźnie bali się posiadać broń.

Niektórzy twierdzili nawet, że Rosjanie zabijają każdego, kogo złapią z karabinem czy pistoletem. Czerwonoarmiści robili, co im się żywnie podobało. Dwaj żołnierze znów usłyszeli, że Wehrmacht to cywilizowane wojsko, przestrzegające elementarnych praw wojennych, natomiast Armia Czerwona przypomina zbieraninę kryminalistów, którzy nie znają umiaru w zadawaniu cierpienia. Kiljan i Chwieduszko mieli poważne wątpliwości co do

„ucywilizowania” niemieckich żołnierzy, ale nie zaprzeczali miejscowym.

Wrócili pod dom Cecylii ze zwieszonymi nosami i zanim zobaczyli bolszewików, usłyszeli krzyki po rosyjsku. Szybko zajęli pozycję za rogiem sąsiedniego budynku. Chwieduszko nasłuchiwał, gdyż, wychowany na Kresach, nieźle rozumiał rosyjski, a i posługiwał się nim całkiem płynnie. Po chwili z niepokojem oznajmił Kiljanowi, że Antoni ich zdradził, a kacapów jest przynajmniej kilku.

– Nie mamy wyjścia, chorąży – oświadczył szeregowy, a dowódca popatrzył na niego, zdziwiony niemalże rozkazującym tonem jego głosu.

– Idziemy. W pierwszej kolejności ściągniemy tego Ruska przy wejściu. Antonim się nie przejmuj. Jak wejdziemy do izby, szyjesz z karabinu na lewo, ja na prawo, jasne?

– Tak jest. Ja lewo, chorąży prawo. Jasne – odparł Roman. Chwieduszko pomyślał, że to już nie ten przestraszony chłopak, który cały się trząśł, kiedy pod Użokiem musieli ukrywać się w lesie, kiedy mijała ich słowacka armia, a zaraz za nią przemaszerował Wehrmacht.

– Uderzamy! – krzyknął Chwieduszko, zwracając uwagę żołnierza ziewającego i przeciągającego się przed wejściem do domu Cecylii.

Zanim Rosjanin zdążył unieść oparty o nogę karabin, trafiły go dwie kule. Polacy wpadli do środka przez wyłamane drzwi. Widząc wewnątrz, Chwieduszko ocenił, że powinno im się udać pokonać zaskoczonych wrogów.

Niestety, kiedy tylko zabili kolejnego Rosjanina, chorąży usłyszał za swoimi plecami komendy wydawane po rosyjsku. Odwrócił się i oddał strzał, a kątem oka odnotował, że Kiljan wbiega do środka. Nie zdążył go zatrzymać, a nim wycelował w kolejnego z żołnierzy, po obu stronach jego głowy pojawiły się lufy mosinów. Ktoś kopnął go w plecy, po czym poprawił potężnym uderzeniem kolbą karabinu w tył głowy. Ostatnie, co widział, to rozmazany obraz wnętrza izby Cecylii.

Bronek popatrzył na leżącego na plecach Romana Kiljana i szybko zauważył dwie rany klatki piersiowej. Kiedy przeniósł wzrok na jego twarz, ujrzał potworny wyraz. Zastygła w zupełnym bezruchu, z oczami wywróconymi do góry, jakby chciał za wszelką cenę zobaczyć swoje czoło, w którym widniała czarna, ziejąca śmiercią dziura.

Zaniewski starał się spojrzeć na Chwieduszkę, nie mógł jednak oderwać wzroku od zwłok młodego Kiljana.

Poczuł, jak ktoś go podnosi, łapiąc mocno za włosy. Niemalże w tym samym momencie otrzymał potężny cios w kark. Zaraz potem kopniaka w żebra, po którym nastąpiło uderzenie w brzuch, zadane czymś twardym, może kolbą karabinu. Na koniec znów oberwał w żebra i w prawą stronę głowy, na wysokości skroni. Prawie zemdłał.

Przewrócił się, a ból pulsował w całym jego ciele. Leżał bez ruchu dłuższą chwilę, zanim zaczęły do niego docierać rozmowy w języku rosyjskim. Kiedy otworzył jedno oko, ujrzał stojącego nad sobą żołnierza. Ten, widząc, że Bronek na niego patrzy, wymierzył kopniaka w jego głowę. Dla Zaniewskiego zapadł mrok.

Maria skrzyżowała ręce i potarła oba przedramiona. Mimo to wciąż było jej zimno, a dreszcze nie chciały ustąpić. Dochodzili właśnie do tabliczki z napisem „Leipzig” i widok ten przywołał w jej myślach treść artykułu, który rok temu czytała w warszawskiej prasie. Donoszono w nim, że w Lipsku, w ramach akcji organizowanej na terenie całej Rzeszy, spalono synagogę i zamordowano wielu Żydów. Inni zostali wywiezieni do obozów przymusowej pracy, pozbawieni domów, własności, godności.

Zawiesiła wzrok na dachach niskich domów na przedmieściu Lipska. Prawie wszystkie pokryte były jednakową, bordową dachówką. Każda z działek była na tyle duża, by mieszkańcy mogli budować domy z dala od siebie, a wokół urządzić ogrody, gdzie zapewne w niedzielne popołudnia zasiadali na trawie, popijając herbatę.

Zaczęła się zastanawiać, ile zwykli Niemcy wiedzą o tym, co ich władze wyprawiają z Żydami. Pomyślała, że we wsiach czy na takich przedmieściach informacje rozchodzą się w ograniczonym zakresie, częściej pewnie pocztą pantoflową od tych nielicznych, którzy czytają gazety. W efekcie niektóre są ubarwiane, inne zmieniane, a część w ogóle bywa przemilczana.

Z drugiej strony, nie mogła sobie wyobrazić, by prześladowania Żydów mogły pozostawać niezauważone. Stwierdziła, że Niemcy, jako ogół społeczeństwa, muszą w jakimś stopniu zdawać sobie sprawę z pogromów żydowskich czy mordów dokonywanych teraz w Polsce, jednak to akceptują. Albo po prostu o tym nie myślą.

- Zaraz ci mózg wybuchnie – powiedział narzeczony, widząc jej zamyśloną minę.
- To twoja fachowa opinia? – spytała, odrywając wzrok od budynków.
- Poczekaj, zbadam.

Z poważną miną, niby profesjonalnie ujął jej głowę, dotknął skroni, po czym pocałował ją w czoło.

Pół godziny później dotarli na dworzec. Duży napis na jego fasadzie informował: *Leipzig Hauptbahnhof*. Gmach robił imponujące wrażenie, a narzeczeni zdawali sobie sprawę, że znaleźli się na największym dworcu kolejowym w całej Europie. Kiedy weszli do środka, ukazała im się rozległa przestrzeń, wypełniona spieszącymi się ludźmi. Wnętrze budynku było przesycone światłem słonecznym dzięki imponującemu, szklanemu sufitowi. Przede wszystkim jednak uderzył ich kłębiący się tłum. Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. Taki stan rzeczy niezwykle im odpowiadał.

Po burzliwej dyskusji w trakcie podróży samochodem postanowili dalej jechać pociągiem. Na benzynę nie mieli dość pieniędzy, zresztą rejestracja skradzionego samochodu na pewno została zgłoszona na policję. Piesze przedzieranie się przez cały kraj też nie wchodziło w rachubę. Mieli już dość koszmaru podróżowania na własnych nogach.

Maria czekała w trzyosobowej kolejce do okienka kasowego i czuła, że oblewa ją zimny pot. Za nią stanął jakiś korpulentny mężczyzna i zdecydowanie zbyt głośno oddychał. Po chwili przysunął się tak blisko, że czuła jego oddech na karku.

Maria miała wrażenie, że każdy człowiek patrzy na nią podejrzliwie, a każdy krążący po dworcu policjant idzie w jej kierunku. Grubasek sapiący tuż za jej plecami przepełniał czarę.

Popatrzyła w prawo na Staszka, który siedział na ławce i udawał, że czyta niemiecką gazetę. Umówili się, że w razie niebezpieczeństwa odłoży ją na ławkę. Nie mieli ochoty na powtórkę

z dworca w Glogau.

Pomyślała o tym, jak jej narzeczony zachował się na podobnym, choć znacznie mniejszym głogowskim dworcu i to ją uspokoiło. Porównała to w umyśle z postępowaniem Staszka, gdy doszło do jego spięcia z Holzerem. Wtedy był spokojny, opanowany, a jego postawa mogła być bez wątpienia opisana jako pacyfistyczna. Kiedy jednak w Glogau trzymał pistolet Christiana, pacyfistą na pewno już nie był. W jego oczach gościły zdecydowanie i bezkompromisowość, choć nadal sprawiał wrażenie, jakby panował nad emocjami. Oddał dwa strzały w kierunku policjanta. Dwa strzały, które równały się wydaniu wyroku śmierci na innego człowieka. Skupiając się na myśli, że narzeczony obroni ją przed każdym zagrożeniem, poczuła się pewniej.

Zdecydowanym krokiem podeszła do okienka i kupiła dwa bilety. A potem spiorunowała wzrokiem mężczyznę, który upierdliwie chuchał na jej kark.

Nie musieli długo czekać na pociąg. Zaskoczyły ich opływowe kształty wagonów i lokomotywy, która sprawiała futurystyczne wrażenie. Jak się później dowiedzieli, była to SVT 137, napędzana silnikiem diesla, która potrafiła rozwinąć niezwykle prędkość nawet dwustu kilometrów na godzinę. Wprawdzie podczas ich podróży nie przekraczała średniej prędkości stu trzydziestu, jednak i to wystarczało, by nie mogli podziwiać zbyt szybko migającego za oknem krajobrazu.

Zeszłej nocy ustalili, że Staszek powinien mocno utykać. Nie chcieli narazić się na pytania współpasażerów, dlaczego młody chłopak zmierza na zachód Niemiec, a nie w mundurze Wehrmachtu zajmuje Polskę.

Rozważali też, by udawał chorego psychicznie lub inwalidę, ale szybko odrzucili ten pomysł. W Niemczech, w ramach powszechnej i nagłośnionej akcji, mającej „oczyścić aryjską krew” z różnych chorób dziedzicznych, izolowano, a podobno nawet zabijano, ludzi niepełnosprawnych fizycznie i psychicznie.

Pociąg, do którego wsiedli, zabrał ich do Erfurtu, oddalonego od Lipska o około dwieście kilometrów. Znaleźli się teraz w zachodniej części kraju, byli coraz bliżej celu. Okazało się, że by dotrzeć do kolejnego przystanku na swojej trasie, nie musieli opuszczać wygodnego wagonu, którego siedzenia obite były dobrej jakości bordową skórą. Skład podczepiono pod inną lokomotywę i skierowano w nową trasę. Kiedy zaszło słońce, znajdowali się sto siedemdziesiąt kilometrów od Erfurtu. Gdy wreszcie opuścili pociąg w Fuldzie, Staszek głęboko wciągnął powietrze do płuc i powiedział:

- To jest zapach wolności.
- Niemieckie powietrze? Coś ci się poprzewracało we łbie?
- Tak daleko od Rawicza nikt już nawet nie pomyśli, żeby nas szukać.

Maria uśmiechnęła się i również odetchnęła. Narzeczony chyba miał rację. Tylko ktoś, kto miałby nierówno pod sufitem, mógłby przypuszczać, że w jeden dzień uda im się przemierzyć tyle kilometrów.

Objęli się i w dobrych humorach ruszyli, by znaleźć nocleg. Zostało im na tyle dużo marek, że mogli sobie pozwolić na skromny hotelik. Kierując się w stronę centrum, znaleźli całkiem okazały – jak na tak małą miejscowość – budynek z szyldem *Zentral-Hotel*. Położyli się spać z poczuciem bezpieczeństwa i spokoju, a Maria długo wierciła się w łóżku, nie mogąc przyzwycząić się do wygodnego pośłania.

Rankiem wsiedli do pociągu, który miał ich zabrać do Frankfurtu, a stamtąd do Saarbrücken,

znajdującego się na granicy francusko-niemieckiej. Korzystali z wszelkich udogodnień, jakie oferowała niemiecka kolej. Każdy wagon w składzie, którym się poruszali, był radiofonizowany, a w jednym ustawiono nawet stoliki do gry w karty. Zdecydowaną większość czasu spędzili w wagon-bufecie, gdzie serwowano jedzenie, jakiego nie jedli od wielu tygodni. Maria zamówiła rolmopsy w musztardzie, przystrojone świeżą cebulą i polane oliwą, a Staszek zdecydował się na ciekawie brzmiące danie, określone w karcie jako *Hoppelpoppel*. Po chwili na talerzu przed nim pojawiła się mieszanka smażonych ziemniaków i jajek w towarzystwie wysuszonej kiełbasy i papryki.

Z nieukrywanym entuzjazmem oboje unieśli kufle piwa i szeptem, po polsku, w pociągu pełnym Niemców, wznieśli toast za Francję.

BRESLAU, POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Christian siedział na tylnym siedzeniu szarego opla kadetta z trzydziestego ósmego roku, który niespiesznie przemierzał kolejne kilometry drogą numer sto szesnaście do Breslau. Szosa była pokryta wodą, padać przestało kilkanaście minut wcześniej. Samochód minął właśnie Trebnitz i choć Leitner sądził wcześniej, że uda mu się dotrzeć do samego Breslau, jego pęcherz myślał inaczej. Siedzący obok Rodemeyer nie omieszkał stwierdzić, że niepotrzebnie wypił aż dwie kawy dallmayr przed podróżą. W końcu Christian rozkazał szeregowcowi prowadzącemu samochód zatrzymać się na poboczu.

Po drodze rozglądał się za innymi samochodami, na tablicach których widniałyby oznaczenia SS. Żadnego nie zauważył, dlatego miał całkiem uzasadnione obawy, że Blankenburg ze swoją dziwną świtą jest już w Breslau i szuka swojego brata.

Kiedy wrócił do samochodu i dał znak, by kontynuować jazdę, zapatrzył się w prawe okno kadetta i uśmiechnął. Zobaczył swoje odbicie w szybie i pokiwał głową. Uznał swoją reakcję za zrozumiałą, wszak za mniej więcej godzinę spotka syna i żonę. Poprawił kołnierz munduru SS. Niewysokie, pozbawione liści i pokryte białą korą drzewa, które posadzono chyba całkiem niedawno wzdłuż drogi, migały mu przed oczami, niemalże hipnotyzując go.

Kiedy kilka godzin wcześniej pod rawicki ratusz podjechał samochód, którym teraz się poruszał, odwrócił się od okna i zajął swoimi sprawami. Po chwili przyszedł po niego szeregowy funkcjonariusz SS i poprosił, by oficer zszedł ze swoimi rzeczami. Leitner spodziewał się auta w rodzaju czarnego BMW, którym na początku wojny esesmani odwiedzili w niejasnych celach Rawitsch, ale podstawiono mu pospolity pojazd, którym w Rzeszy przemieszczali się szarzy ludzie. Samochód masowej produkcji, na który miało być stać szerokie grono klientów. Na terenach zniszczonej wojną Polski, wóz ten prezentował się nie najgorzej, ale na ulicach Breslau będzie zupełnie wtapiał się w miejskie tło. Christian uznał to za kolejny pstryczek w nos od Hellera.

- Widzę twój uśmiech, a nawet na ciebie nie patrzę – rzucił Marvin, który siedział obok.
- Najwyższy czas, bym dostał od losu trochę szczęścia.
- Ciesz się, póki możesz. Póki nie porozmawiam z Johanną o Ginie Henckel von...
- Dałbyś już temu spokój, Marvin?
- Nie – odparł Rodemeyer ze śmiechem. Właśnie mijali tablicę z nazwą „Breslau”.

Leutnant stwierdził, że odzwyczyił się od dużego miasta. Kiedy wjechali do centrum, wszędzie widział tłumy mieszkańców przemieszczających się na piechotę, na rowerach, w rykszach, samochodami bądź tramwajami. „Pół miliona ludzi robi swoje” – pomyślał Rodemeyer i zaraz wzdrygnął się, gdy przejeżdżali obok czegoś, co chyba niegdyś było synagogą. Teraz zostały z niej tylko zgliszcza.

Kierowca przeciął tory, a opel zaczął nieznacznie podskakiwać na kostce brukowej. Kiedy zaparkowali przed hotelem, w którym mieli się zatrzymać, Marvin skinął do Leitnera i poszedł do małego sklepiku, oznaczonego szyldem „Cigarren”.

Christian wyszedł na Agnes Sorma StraÙe i popatrzył na wejÙcie główne do hotelu „Haus Monopol”. Mimo że swym przyjazdem nie zainteresował nikogo wokół, czuł się w jakiś sposób wyróżniony. Miał spędzać swój czas w Breslau, nocując wraz z rodziną w hotelu, którego próg przekraczały takie osobistoÙci jak sam Adolf Hitler czy Marlene Dietrich.

Wysłał Rodemeyera, by czekał na Johannę i Maximiliana na Dworcu Głównym, a sam dokładnie obejrzał swój pokój i stwierdził, że warunki sà komfortowe. Ściągnął szarą marynarkę z insygniami SS i powiesił ją w szafie, po czym stwierdził, że położy się na chwilę na łóÙku.

Kiedy wbił wzrok w sufit, usłyszał bardzo cichy szelest, który po chwili przerodził się w przyciszony głos:

– Spróbuj się ruszyć, to odpierdolę ci połowę czaszki.

Kiedy zdezorientowany Christian powoli podniósł głowę, zobaczył Holzera, stojącego przed nim z dwoma pistoletami mauser. Wyglądał niczym postać z amerykańskiego westernu.

– Torsten Blankenburg – powiedział Leitner właściwym sobie, przeszywająco chłodnym głosem.

Holzer uniósł brwi w sarkastycznym geÙcie, jak gdyby był pod wrażeniem, że były kapitan Wehrmachtu zna jego prawdziwą toÙsamoÙć.

– Wiedziałem, że nie grzeszysz ani urodą, ani mądroÙcià. Ale to, że sam do mnie przyszedłeś, jest najlepszym prezentem, jaki w życiu dostałem.

– Zamknij mordę, Leitner – rzucił bandyta, po czym wycelował pistolet w jego krocze. – Chyba że chcesz, abym przyrzàdził jajecznicę à la Holzer.

Torsten z premedytacjà odczekał chwilę, by ten był żołnierz, a teraz porucznik SS, miał czas na przemyÙlenie swojej sytuacji. Z nieukrywanà radoÙcià popatrzył na insygnia świadczàce o jego randze i wyszczerzył zęby w kierunku leżącego bez ruchu na łóÙku Leitnera. Ten wbił w niego swój mrozący krew wzrok, ale Holzer tylko przelotnie spojrzàł w jego oczy, po czym ziewnął. Ciàgle celował do niego z obu mauserów, sprawiając wrażenie, jakby zastanawiał się, czy powinien strzelać w głowę, by zadać szybkà śmierć, czy też lepiej zdecydować się na pastwienie się nad ofiarà.

Wiedział jednak, że Niemiec uratował mu życie, kiedy za jego, Staszka i Marię zabrali się żołnierze pod wodzà sukinsyna Ernsta Heinlego. „Niech gnije w ziemi” – pomyślał Holzer na samo wspomnienie o poruczniku, po czym odezwał się:

– Przychodzę do ciebie, bo mam propozycję.

Christian leżał bez ruchu i milczał.

– Teraz możesz mówić – powiedział Blankenburg, trochę zmieszany posłuszeństwem Leitnera. Ten kiwnął głową i spokojnie usiadł na łóÙku.

– Propozycję? Jakà ty możesz mieć dla mnie propozycję? Jesteś wrogiem Rzeszy – i nie

czekając na odpowiedź, kontynuował: – Jeśli taką, że chcesz dobrowolnie poddać się karze, zaraz odprowadzę cię do najbliższego więzienia.

– To nie wchodzi w grę, Leitner. Zresztą, moje dwa mausery to potwierdzą – odparł Holzer, patrząc na swoją broń i marszcząc nos, jednocześnie podnosząc górną wargę.

„Ależ ten człowiek jest szkaradny” – pomyślał esesman, po czym stwierdził, że bracia Blankenburgowie są do siebie w pewnym stopniu podobni. Ten, który teraz groził mu bronią, wyglądał na trochę starszego i zdecydowanie brzydszego. Oczy mieli jednak takie same. Wyrażały pogardę dla ludzkiego życia i brak współczucia. Młodszy Blankenburg sprawiał wrażenie osoby miłszej od brata, ale była to jedynie maska. Natomiast ten już na pierwszy rzut oka wyglądał jak psychopata i recydywista.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. Strzelaj – odparł Leitner.

– Zrobię to prędzej czy później. Ale ja wybiorę moment, skurwysynu – rzucił wzburzoną głosem Holzer.

Christian utwierdził się w przekonaniu, że ten człowiek gotowy jest pociągnąć za spust kilkakrotnie, realizując między innymi swoje zapowiedzi o strzale w krok, zanim pozbawi go życia i pozwoli w spokoju umrzeć. Nie odpowiadał, kiedy Torsten, charcząc, głośno wciągnął powietrze i powiedział:

– Powinienem cię zastrzelić, ale możesz mi się na coś przydać. Chcesz wiedzieć, gdzie jest Gina Henckel von Donnersmarck, czy też, jak wolisz, Maria Żyd Herensztad?

Leitner popatrzył na niego, ale się nie odezwał.

– Czyli chcesz – odparł Holzer i wyszczerzył zęby. – A przy okazji, nie oczekiwałbym, że twój przydupas wróci tutaj z twoją rodziną. Swoją drogą, niezła żonka.

Christian chciał się poderwać, ale bandyta uderzył go w skroń uchwytem mausera, a potem zbliżył wylot lufy do głowy oficera.

– O czym ty mówisz? – wycedził Leitner.

– Jesteś gotów wysłuchać mojej propozycji?

– Mów – odparł niechętnie.

– Dam ci namiar na Marię i Staszka, bo tak nazywa się naprawdę Gottwin. W zamian zapewnisz mi bezpieczną podróż do Francji i lewe dokumenty.

Esesman pokręcił głową ze zrezygnowaniem. Chciał dać Torstenowi do zrozumienia, że jego propozycja nie nadaje się nawet do tego, by skomentować ją słownie. Ten patrzył na niego złowrogo, więc trzymany na muszce mężczyzna był świadom, że niewiele dzieli go od śmierci.

Był bezbronny. Nie było mowy o sięgnięciu do pasa i odpięciu kabury z pistoletem. Ponadto ten zwyrodnialec nie bez powodu wspominał o Johannie i Maximilianie.

– Co z moją rodziną? – spytał w końcu Leitner.

– Gównu.

Oficer stwierdził z zaskoczeniem, że rozmawia z człowiekiem, który mentalnie znajduje się na poziomie przedszkolaka.

– Dowiesz się w swoim czasie. Posłużą mi jako zabezpieczenie na wypadek, gdybyś chciał mnie wystawić.

– A jeśli nie przystanę na twoją propozycję?

Holzer niemal upuścił pistolet, słysząc te niezwykle spokojnie wypowiedziane słowa.

Porucznik SS sprawiał wrażenie, jakby rozmawiał o pogodzie. Jego twarz nie zdradzała szoku, jakim musiała być wieść o uwięzieniu rodziny. Facet był spokojny jak baranek. Blankenburg odchylił głowę do tyłu i powiedział:

– Wtedy zginą. Pomyśl o nich, Leitner. Ale jeśli mi pomożesz i razem z tobą przejadę granicę francuską, powiem ci, gdzie są. Do tego czasu włos im z głowy nie spadnie, o ile będziesz grzeczny.

Leitner rozważał propozycję, ale postanowił, że do powrotu Marvinina nie podejmie żadnej decyzji. Odniósł jednak wrażenie, że Torsten nie blefuje. „Jak, do cholery, zdołał ich porwać, skoro mieli obstawę Wehrmachtu?” – pomyślał, mierząc wzrokiem Holzera. Wprawdzie jego bliskim nic nie groziło na terytorium Rzeszy, ale mimo to Christian uruchomił stare kontakty, by zapewnić im ochronę. Johanna stwierdziła, że mąż jest zwykłym paranoikiem, ale skoro dzięki temu miał spać spokojniej, zgodziła się.

Teraz bacznie przyglądał się starszemu z Blankenburgów i był pewien, że bez większych problemów obezwładniłby go w walce prowadzonej na jednakowych warunkach. Teraz takich warunków nie było – przeciwnik dysponował dwoma wymierzonymi w niego pistoletami, a co ważniejsze, jeśli faktycznie zorganizował porwanie Johanny i Maximiliana, mógł być jedynym człowiekiem, który znał miejsce ich pobytu. Na razie Leitner musiał grać wedle reguł bandyty.

– Poczekamy na mojego przyjaciela – powiedział w końcu.

– No – przytaknął Holzer i usiadł w fotelu przy oknie.

Kiedy Marvinin przekraczał główne wejście hotelu, miał duszę na ramieniu. Długo czekał na dworcu, po czym sprawdził dokładnie pociąg, którym miała przybyć rodzina Leitnera. Nie udało mu się ich znaleźć, a w dodatku od nikogo nie zdołał uzyskać informacji, czy w ogóle nim jechali. Dowiedział się, że następny, którym ewentualnie mogliby tu dotrzeć, przyjedzie dopiero za dwa dni. Pokręcił się jeszcze chwilę po dworcu, nie wiedząc, co robić, aż wreszcie postanowił wrócić i wspólnie z Christianem podjąć decyzję, co robić dalej.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał Leitnera na łóżku, a Blankenburga z jednym mauserem wycelowanym w siebie, a drugim w przyjaciela.

Torsten kazał mu położyć na podłodze pistolet, gdzie już leżała broń Christiana. Potem Leitner streścił mu rozmowę z Holzerem.

– Więc jak będzie? Namiar na Ginę plus życie Johanny i Maximiliana. Tylko tyle za bezpieczną podróż do Francji, dokumenty i spokój. To tak dużo? – bandyta spytał oficera SS, szczerząc się ponuro.

Ten odparł po dłuższej chwili namysłu:

– Rodemeyer jedzie z nami.

PALIKROWY, POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Bronek ocknął się i poczuł przejmujące zimno. Początkowo wydawało mu się, że ból rozrywa mu każdy mięsień. Nie było chyba jednego miejsca na jego ciele, które byłoby wolne od tego nieprzyjemnego uczucia. W końcu zebrał myśli i stwierdził, że leży pod gołym niebem, na którym nieliczne chmury oświetlone były intensywnym, pomarańczowym kolorem promieni zachodzącego słońca.

Próbował się poruszyć, ale znów przeszył go ostry ból. Tym razem jednak mógł już stwierdzić, że promieniuje przede wszystkim z klatki piersiowej, więc młodzieniec przypuszczał, że ma połamane żebra. Oprócz tego czuł przejmujące kłucie w głowie, a sińców, które musiały pokrywać jego ciało, nie chciał nawet sobie wyobrazić. Przed oczami pojawił mu się obraz czerwonoarmistów, którzy w dzikim szale nie przestawali kopać, a on nie mógł zrobić nic, by odeprzeć atak.

Kątem oka dostrzegł, że obok leżą dwa ciała. Wydawało mu się, że po jego prawej znajduje się Chwieduszko, a po lewej Kremmer, ale nie był tego pewien.

Usłyszał głośnie sapanie i jęki, a w tle śmiechy i pijacki śpiew. Po rosyjsku. Broniek pamiętał tę melodię, znał też polskie słowa.

„Rozkwitały jabłonie i grusze,
popłynęła ponad rzeką mgła,
ku brzegowi szła Kasieńka błoniem,
ku brzegowi wysokiemu szła”.

Kasieńka. Piosenka śpiewana przez żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Rosjanie do tej samej melodii zanosili się pijackimi głosami, a zamiast Kasieńki była jakaś Katusza. Zaczął zastanawiać się, jakim cudem wrodzy sobie żołnierze mogą śpiewać te same piosenki, ale właśnie wtedy dostrzegł stojącego nad nim żołnierza, który dzierżył w rękach jego karabin z celownikiem optycznym. Próbował poderwać się, sądząc, że zaraz wykonana zostanie egzekucja, ale zdołał jedynie podnieść wzrok na wysokość broni.

– Twoje? Ty *snajpier*?

– *Da...* – wydusił Broniek i szybko tego pożałował. Regularni żołnierze nie przepadali za nielicznymi strzelcami wyborowymi. Być może właśnie dlatego czerwonoarmista rąbnął go kolbą mosina w głowę. Polak na powrót stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, myślał już trzeźwiej. Oceniał, że jego sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu. Po głośnych śpiewach czerwonoarmistów mógł stwierdzić, że nie jest ich kilku, a co najmniej kilkunastu. Nie miał pojęcia, skąd wzięło się ich aż tylu ani czy ktokolwiek z jego przyjaciół żyje. Nie wiedział też, ile czasu minęło od walki w domu Cecylii i co się z nim działo później. Lekko uniósł głowę, by ocenić sytuację.

Jego karabin z zamontowanym celownikiem optycznym, oraz ulubiony pistolet – *vis*, leżały na brzuchu Kiljana, który patrzył nieruchomymi, martwymi oczami w niebo. Chwieduszko i Kremmer leżeli obok. Ten drugi miał zamknięte powieki, za to usta szeroko otwarte. Zaniewski nie mógł stwierdzić, czy żyje. Odetchnął jednak, gdy zauważył, że chorąży łypie na niego jednym okiem. Był w trochę lepszym stanie od Bronka, ale wyglądało na to, że też porządnie oberwał. Jego drugie oko było tak spuchnięte, że bez wątpienia nie mógłby go otworzyć.

– *O! Prosnulsja!* – krzyknął jeden z Rosjan, gdy zauważył, że sierżant się ocknął. Towarzyszył temu śmiech i ogólne zainteresowanie Polakiem.

– *Snajpier sjerżant!* – krzyknął inny, podnosząc z ziemi należący do Bronka karabin z lunetą. Zaniewski obrócił głowę i zobaczył Cecylię Nester, a obok jej syna, Adama.

Kilku Rosjan zebrało się nad leżącym Bronkiem i, śmiejąc się, pijanymi głosami wymieniali uwagi, których nie rozumiał.

– Zabił się – z trudem powiedział Chwieduszko.

Sierżant popatrzył na niego pytającym wzrokiem, krzywiąc się z powodu bólu, jaki poczuł

w karku.

– Jej syn. Nie mógł patrzeć.

Kiedy chorąży wypowiadał te słowa, jeden z Rosjan ściągnął spodnie i usiadł mu na brzuchu, po czym zaczął się wiercić. Chwieduszko jakimś cudem zdołał zacisnąć palce w pięść, po czym uderzył żołnierza w głowę. Tamten spadł, śmiejąc się rubasznie, a reszta bolszewików aż się zarykiwała.

Bronek znów spojrzał na Cecylię, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Była w okropnym stanie. Całą twarz miała zakrwawioną i pokrytą siniakami. Przez dziury w porozrywanym ubraniu widać było kolejne siniaki. Uda i krocze miała zalane kałużą krwi. Widząc to, nie dziwił się jej synowi. Chłopak popełnił samobójstwo, nie mogąc patrzeć na to, jak Rosjanie gwałcą jego matkę na śmierć.

Dwóch Sowietów podniosło Zaniewskiego za kołnierz, na co ten zawył z bólu. Trzymali go, kiedy chwycił podszedł trzeci. Zbliżył głowę do twarzy Bronka i wbił mętny wzrok w jego oczy. Polak ledwo znosił smród zionący z ust żołnierza.

– Mówję po polski, mały gno... gnoju.

– Aha.

– *Snajpier sjerżant!* – rozległo się czyjeś wesołe, pijackie wołanie.

Rosjanin popatrzył na sierżanta w rozbawieniu, po czym rzucił coś do swoich towarzyszy, wywołując kolejną salwę śmiechu.

– Pojadziecie daleko na wschód, *snajpier sjerżant*. Daleko, aż wam kutas odmarznie i... – zrobił pauzę, pokręcił głową i dokończył: – ...odpadnie.

Rozchwiany czerwonarmista mimowolnie lekko stuknął czołem o głowę Bronka, ale natychmiast odchylił się do tyłu, przez co prawie stracił równowagę. Jeden z roześmianych żołnierzy podał mu butelkę wódki. Stracili zainteresowanie sierżantem. Puszczony, upadł obok Chwieduszki.

Bronek zwrócił uwagę na to, że najniżsi stopniem najwyraźniej nie piją lub piją bardzo mało, by starsi rangą mogli urznąć się w trupa. Omiótł wzrokiem okolice i stwierdził, że nie ma tutaj żadnego oficera, a samowolka już kompletnie pomieszała tym zwierzętom we łbach.

– Gwałcili ją jeszcze po tym, jak przestała oddychać – powiedział cicho Chwieduszko nieobecny głosem. Dwaj żołnierze, którzy mieli ich pilnować, nie byli zainteresowani jeńcami i tylko pobieżnie na nich spojrzeli, kiedy usłyszeli, że jeden z nich coś powiedział.

Zaniewski popatrzył na towarzysza i nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć. W końcu spytał:

– Co z Kremmerem?

Chorąży relacjonował powoli, nie ukrywając bólu:

– Po tym, jak wywlekli nas z domu Cecylii, kilku zainteresowało się nim. Przykładali mu bagnety do szyi, tręcali lufami karabinów.

– Żyje?

– Żyje. Ale ze strachu popuścił, co ich rozbawiło... Nie dziwię mu się. Wyglądało to tak, jakby zaraz mieli go zarznąć. Banda dumnych skurwieli.

– I ani jednego oficera do trzymania chociażby namiastki porządku.

– Byłeś nieprzytomny przez trzy godziny, Zaniewski. Oficer się pojawił.

– I?

– I oświadczył mi, co z nami zrobią.

Warszawiak patrzył na chorążego, gdy ten zbierał siły. Wreszcie, widząc ponaglący wzrok Bronka, rzekł:

– Stwierdził, że mamy szczęście, bo trafiliśmy na niego. Inaczej ci tutaj zabiliby nas w męczarniach. A on przedstawił się jako człowiek honoru.

– Nie brzmi to najgorzej.

Chwieduszko potwierdził. Musiał być śmiertelnie zmęczony, bo powoli opadła powieka jego zdrowego oka. Nagle znów ją podniósł i ciągnął:

– Rano zawiozą nas do jakiegoś obozu pracy. Rusczy między sobą mówili o Juchnowie czy czymś podobnym.

– Nie kojarzę.

– Ja tym bardziej. Ale brzmi z rosyjska, więc pewnie pojedziemy w głąb ich zawszonego kraju.

Zaniewski popatrzył na ciało Romana i zaczął przypominać sobie chwile, które spędził w jego towarzystwie. Pierwszym, co przyszło mu na myśl, był obraz młodego szeregowego, który widząc znachora Juraja we wsi [Ražňam](#), aż cofnął się ze strachu. „Maniura, Obelt, Mikorski, Kiljan. Kto następny?” – pomyślał.

– Musimy go pochować – odezwał się do Chwieduszki.

– Poproś Ruskich.

Kiedy Broniek łamanym rosyjskim zakomunikował czerwonoarmistom, że chcieliby pochować przyjaciela, większość nie zwróciła na niego uwagi. Jeden z nich splunął w ich kierunku, inny krzyknął: *Snajpier sjerżant*, ale na żadną inną reakcję nie mogli liczyć.

Żaden z polskich żołnierzy nie zmrużył tej nocy oka, choć obaj potrzebowali odpoczynku. Kremmer obudził się po kilku godzinach i był zupełnie zdezorientowany. Chwieduszko gestem nakazał mu udawać, że śpi. Obawiał się, że Sowieci znów się nim zainteresują, tym razem wymyślając sobie inną formę zabawy ze starszym człowiekiem.

Rankiem bolszewicy podnieśli ich na nogi i zaprowadzili do lekkiej ciężarówki GAZ-AA. Wtedy Broniek ostatni raz widział swojego ukochanego visa – nosił go teraz jeden z rosyjskich żołnierzy. Ciało Kiljana, Cecylii i jej syna zostały zepchnięte gdzieś na bok, by nie blokować przejazdu. Zaniewski dojrzał jeszcze zwłoki przyjaciela, który przeżył starcie ze Słowakami, nalot Luftwaffe i kilka potyczek z hitlerowcami, by teraz zostać pozbawionym życia przez rosyjskie kule. Broniek poprosił jednego z porządniej wyglądających żołnierzy, by zamknął oczy Romanowi. Ten zapewnił, że kiedy tylko większość jego towarzyszy się oddali, zapewni Polakowi odpowiedni pochówek. Obiecał złożyć jego ciało w ziemi tuż za dworkiem Cecylii.

Rosjanie, niedbale popychając Polaków, zapędzili ich na pakę gaza, po czym ją zasłonili. Po krótkim czasie wysadzili ich w Brodach, gdzie jeńcy mieli zostać dołączeni do transportu zmierzającego w głąb Rosji. Głośny stukot i wzmożony ruch w punkcie przeładunkowym kolei zwiastował przybycie pociągu. Wagony były pozbawione okien i solidnie zaryglowane od zewnątrz.

Broniek poświęcił dłuższą chwilę, by przyjrzeć się mechanizmowi zamka. Dopiero kiedy poczuł na plecach dotyk lufy karabinu, ruszył, by zbliżyć się do drzwi wagonu.

Kiedy zostały z hukiem otwarte, wyskoczyło z nich kilku młodych ludzi. Ledwo stanęli na peronie, natychmiast zostali zastrzeleni. Broniek spojrział na stojących w rzędzie

czerwonoarmistów, którzy bez mrugnięcia okiem zamordowali uciekinierów. Zdał sobie sprawę, że kiedy zamknie się za nim rygiel wagonu, nigdy już nie wróci do dawnego świata.

Stojąc przed otwartym wejściem, patrzył na ściśniętych w wagonie ludzi. I ich trzech ma się tam zmieścić? A potem przetrwać podróż w takich warunkach? Przełknął ślinę i zrobił krok naprzód.

OKOLICE FRANKFURTU NAD MENEM, POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Kiedy dotarli do Frankfurtu, musieli opuścić pociąg. Choć także podczas tej podróży groziło im rozpoznanie, po pewnym czasie zaczęli postrzegać wnętrza wygodnych wagonów jako oazy spokoju. Za to niebo nad głowami, rozległe lasy i pola kojarzyły im się z nieustannym zagrożeniem.

Niestety, ostatni odcinek drogi, wiodący do granicy francuskiej, musieli przebyć na własnych nogach. Zostało im zbyt mało pieniędzy, by kupić bilety, choć nawet gdyby dysponowali odpowiednimi funduszami, istniał poważniejszy problem. Po tym, jak Francja wypowiedziała wojnę Rzeszy, wszystkie transporty kierujące się na tereny nadgraniczne z pewnością były poddawane skrupulatnej kontroli. Bez dokumentów szybko by wpadli, więc niechętnie wrócili do metody podróżowania, za pomocą której rozpoczęli swą wędrówkę. Kilka godzin zajęło im przejście miasta i dopiero późnym popołudniem wyszli za jego roгатki. Rozpoczęli poszukiwania miejsca, w którym mogliby spędzić noc. Zagłębili się w gęsty, mieszany las, porośnięty zarówno drzewami pokrytymi już złocistymi kolorami jesieni, jak i takimi, które wciąż mieniły się zielenią. Szli w kierunku, w którym – jak sądzili – znajduje się granica francusko-niemiecka. Po upływie godziny, zmęczeni, usiedli pod drzewami.

- Widzę prześwit – oznajmiła Maria, patrząc w dal.
- Twoja spostrzegawczość nie zna granic – odparł z uśmiechem.
- Jeszcze jedno słowo, a będziesz mnie niósł na barana, barani łbie.
- Dobra, dobra. Zaraz zobaczymy, co jest po drugiej stronie. Co powiesz na jakiś wygodny snopek siana na dzisiejszą noc?
- Ostatnio los nas trochę rozpieszczał. Boję się pogardzić snopkiem siana, żeby nie okazało się, że będziemy musieli spać na drodze.
- W takim razie postanowione.

Odpoczęli chwilę, po czym zebrali się do dalszej drogi. Maria usłyszała szelest, który jednak szybko się urwał, czym zwrócił jej uwagę.

- Staszek, jakieś zwierzę – powiedziała szeptem, wskazując kierunek, z którego przyszli.
- Jakie? Gdzie? Nic nie słyszałem.
- To bądź cicho i słuchaj.

Po chwili usłyszał świst wypuszczanego powietrza, więc sięgnął szybko po lugera i wycelował w krzaki, z których dochodził odgłos. Zrobił krok do przodu, kiedy wynurzyła się z nich kobieta w średnim wieku. Miała podarte ubranie, włosy w nieładzie i przejmująco chudą twarz.

- Proszę nie strzelać. Jesteśmy obywatelami Szwajcarii – powiedziała niepewnie po

niemiecku.

Maria popatrzyła na nią zdziwiona i dała narzeczonemu znak, by opuścił pistolet.

– A my Polakami. Nie musi się pani nas obawiać.

Kiedy dziewczyna wypowiedziała te słowa, z chaszczy wyłonił się mężczyzna. Był niewiele starszy od kobiety. Prowadził za rękę małe dziecko, które zanosilo się astmatycznym kaszlem. Staszek stwierdził, że to właśnie chłopiec zdradził ich obecność w krzakach.

– Polacy? Tutaj? Nie sądzę – oświadczył mężczyzna, przyglądając im się podejrzliwie. Miał nieprzyjemny głos i nie robił dobrego wrażenia. Zanim Maria zdążyła odpowiedzieć, dodał: – I jeszcze mówią po niemiecku.

– Pan też – zauważyła.

– Proszę wybaczyć mojemu mężowi, nie ufa nikomu, nawet własnej żonie – powiedziała kobieta i spojrzała na niego, kręcąc głową. – Nazywam się Leah, to nasz syn Lucas, a mój urokliwy mąż nazywa się Severin.

– Dowiemy się, co tu robicie? – rzucił oziębłym tonem Severin, podczas gdy kobieta przytuliła syna i potarła jego plecy w niczym nieuzasadnionej nadziei, że dzięki temu przestanie kaszleć.

– Jesteśmy w drodze do Francji – odparła Maria.

– A państwo? – spytał po francusku Staszek, z nadzieją, że zostanie zrozumiany.

Leah uśmiechnęła się szeroko, pogłaskała synka po głowie, po czym odparła też po francusku:

– Chodźcie, znamy dobre miejsce, w którym możemy spokojnie porozmawiać.

Szwajcarzy wyprowadzili ich z lasu, po czym udali się w poprzek rozległego pola, które wyglądało na nieużytek i porośnięte było gęstą, pożółkłą trawą. Dotarli do niewielkiego, drewnianego domu. Po jego wschodniej stronie dobudowana była wiata, która przykrywała stóg siana. Miejsce to było zupełnie niewidoczne z drogi podmiejskiej, co zapewniało dobrą kryjówkę przed oczami ciekawskich.

– Właściciel tego domu pozwolił nam spędzić pod wiatą kilka nocy. Jest tam dość ciepło, a już z pewnością całkiem bezpiecznie – powiedziała Leah, po czym zaczęła układać coś na kształt siennika, na którym miał spać jej syn.

– Dziękujemy. Szukaliśmy właśnie takiego miejsca na noc.

– Nie ma za co. Pytał pan, co tutaj robimy...

– Wydaje mi się dziwne, że Szwajcarzy się ukrywają. Z tego, co mi wiadomo, wasz kraj był neutralny...

– I nadal jest. Ale niech pan na nas spojrzy. Wyglądamy jak Żydzi.

Staszek popatrzył na nich i stwierdził, że być może jakiś wyćwiczony w badaniach rasowych niemiecki antropolog zdołałby wysnuć taki wniosek, ale na pewno nie on.

– Zresztą, to po części prawda – dodała Leah, po czym kontynuowała: – Mój mąż pracował w fabryce firmy Henschel w Kassel. Po zakończeniu kontraktu mieliśmy wrócić do Szwajcarii. Ale jeden z niemieckich fanatyków zaczął interesować się mężem, przeprowadził osobiste „dochodzenie”, po czym rozpuścił wieść, że jesteśmy zakamuflowanymi Żydami.

– Rozumiem, że długo nie zostaliście w Kassel.

– Ledwo uszliśmy z życiem. A mój syn jest chory, sam pan widzi. Nie powinien w ogóle podróżować.

Staszek podszedł do małego Lucasa i uśmiechnął się do niego. Po francusku poprosił go, by wziął kilka głębszych oddechów i wypuścił powietrze.

– Ma pani dobry kontakt z właścicielem domu? – spytał potem.

– Dopiero go poznaliśmy. Mogę powiedzieć tylko tyle, że chętnie pozbyłby się stąd mojego męża.

Zaniewski popatrzył na nią i uniośł brwi.

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu mój mąż go irytuje, jak każdego – dodała szybko.

– Rozumiem. W każdym razie dobrze by było, gdyby zdobyła pani od gospodarza trochę miodu dla syna.

– Jest pan lekarzem?

– Niedoszłym – odparł z uśmiechem, który Leah odwzajemniła, po czym poszła porozmawiać z właścicielem domu.

Wróciła, niosąc dużą łyżkę miodu. Zaniewski posmarował nim górną wargę Lucasa i tuż pod nosem. Po pewnym czasie chłopiec zaczął oddychać nieco lepiej. Polacy dostrzegli lekki uśmiech na twarzy ojca dziecka.

Rankiem Marię obudził dźwięk silnika, po którym nastąpiła serdeczna wymiana uwag w języku niemieckim. Usłyszała kroki, więc szturchnęła narzeczonego i wyjrzała zza ściany drewnianego budynku w stronę drogi, by zobaczyć, co się dzieje. Młody chłopak, maksymalnie piętnastoletni, niosący na plecach okazałych rozmiarów plecak, wchodził właśnie do domu.

– Spokojnie. To syn właściciela, wraca z jakiegoś wyjazdu – powiedziała Leah zaspianym głosem. Stała obok Staszka, który trzymał w ręku lugera. Maria popatrzyła na jego koszmarnie podpuchnięte oczy i z uśmiechem spytała:

– Co tam chowasz w tych worach, kochany?

Zbył jej pytanie milczeniem i położył się z powrotem na sianie, zapraszając ją ruchem ręki.

W późnych godzinach porannych przyszedł do nich właściciel z synem. Podczas krótkiej wymiany zdań Maria podziękowała po niemiecku gospodarzowi, który nie był do nich nastawiony zbyt przyjaźnie. Stwierdziła, że pewnie niepokoiła go coraz większa liczba uciekinierów. Leah uściskała go i oznajmiła, że zaraz będą gotowi do dalszej drogi. Wtedy zaproponował, by poczekali do obiadu, który dla nich przygotowuje, na co ochoczo się zgodzili.

– Widzisz, synu – odezwał się gospodarz, kiedy z synem wrócili do domu – załatwiłem ci prawdziwych Żydów.

– To najlepszy prezent urodzinowy, jaki dostałem, ojcze.

– Świetnie, świetnie. A teraz przygotuj się odpowiednio. Masz się prezentować dumnie.

– Tak, ojcze.

– Będziesz potrzebował mojej pomocy?

– Tylko z tym Polakiem. Gdyby ojciec mógł go przytrzymać...

Starszy człowiek popatrzył na syna z dezaprobatą. Gdyby był w jego wieku, nawet nie przeszłoby mu przez myśl, żeby prosić kogokolwiek o pomoc w zabijaniu Żydów.

– Niech tak będzie. Ale ty zajmiesz się resztą.

– Zarżnę ich jak świnie – odparł młody, zakładając jasnobrązową koszulę. Stojąc dumnie przed lustrem, przecesał włosy, po czym zawiązał pod szyją czarną chustę, która przypominała krawat. Wyciągnął z plecaka nóż Hitlerjugend oraz kilka odznaczeń, które przypiął sobie do

lewej piersi. Na lewym ramieniu poprawił czerwoną opaskę, wzdłuż której biegł biały pasek, a na środku widniała obrócona swastyka.

Kiedy ojciec podawał Żydom obiad w salonie, chłopak wzdrygnął się, widząc, jak używają sztućców, z których na co dzień korzystał on sam. Wziął do jednej ręki pamiętający wielką wojnę sztylet ojca, a do drugiej swój własny nóż Hitlerjugend.

Tak uzbrojony, nabrał do płuc powietrza, po czym wyskoczył zza drzwi, wydobywając z siebie przeraźliwy ryk i rozkładając szeroko ręce.

Leah i Severin siedzieli zwrócenii do niego tyłem. Nawet nie zdążyli odwrócić głów. Chłopak błyskawicznym ruchem wbił w tył szyi mężczyzny nóż, a w plecy kobiety sztylet.

Maria zamarła z łyżką przy ustach. Oczy szwajcarskiego małżeństwa w jednej chwili stały się martwe.

A chłopak w brązowej koszuli nadal wrzeszczał, choć tym razem dlatego, że nie mógł wyciągnąć z ciał zamordowanych swojej broni. Na jego twarzy odmalował się grymas zwierzęcej wściekłości.

W tym samym momencie jego ojciec złapał Staszka z tyłu i unieruchomił jego ręce. Widząc to, Maria rzuciła się na napastnika i razem z nim upadła na podłogę, wyswobadzając narzeczonego z uścisku. Szybko zerwała się na równe nogi i zauważyła, że chłopak okrążył stół, już trzymając dwa zakrwawione narzędzia zbrodni. Ciała dwójki zabitych spadły bezwładnie na podłogę, przewracając krzesła.

Nim gospodarz zdążył wstać z podłogi, Staszek wyciągnął lugera i wymierzył w krzyczącego nożownika. Ten rzucił się do szaleńczego ataku, ale Zaniewski bez wahania pociągnął za spust. Z tak bliskiej odległości nie mógł chybić. Mózg chłopaka rozbryznął się na ścianie.

– Żydowski skurwysynu! – ryknął starszy mężczyzna, z trudem podnosząc się z podłogi. Staszek skierował lufę pistoletu w jego stronę, ale wtedy Maria zaszła gospodarza od tyłu i z całej siły uderzyła w głowę ciężkim garnkiem. Padł nieprzytomny.

Narzeczeni patrzyli na siebie w niemym zdumieniu. Byli zdezorientowani i przerażeni, choć dynamika sytuacji nie pozwalała na to, by nad czymkolwiek się zastanawiać. Staszek powoli omiół wzrokiem pokój. Widok był makabryczny.

Plama krwi na ścianie i dwa zbryzgane posoką ciała na podłodze. Maria dopiero po chwili uświadomiła sobie, że gdzieś zniknął Lucas, który podczas posiłku siedział przy stole.

Zajrzała pod blat i zobaczyła chłopczyka. Klęczał, kiwając się w przód i w tył.

Staszek pospiesznie zebrał wszystkie ich rzeczy, po czym wziął Lucasa na barana i wszyscy opuścili ten przeklęty dom.



*Necesse est multos timeat quem multi timent.
–Wielu musi się bać ten, kogo wielu się boi.*

SENEKA

OFLAG VII A, MURNAU AM STAFFELSEE, BAWARIA, RZESZA, PAŹDZIERNIK 1939 ROKU

Obelt prawdopodobnie wyzionąłby ducha już podczas drugiego dnia podróży do obozu jenieckiego, gdyby nie pomoc porucznika Czesława Zmitkiewicza. Ogolonemu na łyso towarzyszowi o kwadratowej, jakby wyciosanej w kamieniu szczęce kapitan zawdzięczał życie.

Ostatni cios Johanna Blankenburga, choć nie dosięgnął najważniejszych narządów ani nie był szczególnie bolesny, niemal wyprawił Obelta na tamten świat. W majakach czuł, jak stoi na skraju przepaści, patrzy w dół i widzi niezmierną, czarną otchłań. Wiedział, że jeśli w nią wpadnie, pożegna się ze wszystkim, co znał. Jednak obudził się.

Czesław Zmitkiewicz w miarę możliwości zmieniał mu bandażę, choć tych mieli tyle, co kto napłakał. Porucznik irytował Obelta ciągłym głędzeniem o przeżyciach wojennych, swojej rodzinie oraz spokojnym „życiu przed wojennym życiem”, jednak, angażując bez przerwy kapitana w swoją opowieść, nie pozwalał mu zasnąć. Zmitkiewicz widział, w jakim stanie jest Obelt, uznał więc, że nie może mu pozwolić zamknąć oczu, bo ten już nigdy ich nie otworzy.

Im bardziej wiozący ich bussing-nag 454 oddalał się od frontowych oddziałów armii niemieckiej, tym normalniej zachowywali się strażnicy. Przede wszystkim, skończyli z poniżającym traktowaniem jeńców podczas załatwiania przez nich czynności fizjologicznych.

Obelt uśmiechnął się, kiedy Czesław prowadził go na pobocze, podczas jednego z takich postojów.

– Co pana tak cieszy, kapitanie?

– To, że zwykle szczanie urosło do czegoś, co może człowieka podnieść na duchu.

W ich transporcie znajdowali się głównie oficerowie, choć było także kilku podchorążych. Wywieziono ich do centrum Rzeszy, do oddalonej od Leska o ponad tysiąc kilometrów Bawarii. Kiedy dotarli do Murnau, mało który z Polaków sądził, że kiedykolwiek uda im się wrócić do ojczyzny. Byli jednak i optymiści – niektórzy mówili, że armia polska jest tworzona w Wielkiej Brytanii, a inni, że we Francji. Jeden z podchorążych był przekonany, że oba te kraje już wypowiedziały Rzeszy wojnę, z kolei pewien porucznik twierdził, że dopiero wypowiedzą. Obeltowi trudno było z tego chaosu informacyjnego wyłowić cokolwiek, co mógłby potraktować jako rzetelną wiadomość. Zresztą, nie zaliczał się do optymistów, więc nie bardzo go to

interesowało.

Zmitkiewicz również był dobrej myśli, czym jeszcze bardziej irytował kapitana, według którego należało patrzeć realistycznie i uświadomić sobie, że ani Francuzi, ani Anglicy nie będą mieli zamiaru umierać za Polskę. Zachodnie państwa od lat za priorytet stawiały sobie zachowanie własnego bezpieczeństwa i utrzymanie poprawnych stosunków z Niemcami. Czesław nie przyjmował takiej argumentacji i podkreślał, że wszystkim w Europie powinno zależeć na jak najszybszym zatrzymaniu niemieckiej i rosyjskiej szarańczy.

Kiedy wyprowadzono ich z ciężarówki, oczom Obelta ukazały się długie ciągi jednokondygnacyjnych budynków, które wyglądały jak hale produkcyjne lub magazyny. Kilka dni później dowiedzieli się, że rzeczywiście, zabudowania te wzniesiono dla wojsk pancernych, potem jednak naprędce przekształcono je w obóz jeniecki. Do zakwaterowania polskich oficerów zaadaptowano szerokie, halowe budynki oraz liczne strychy, piwnice oraz garaże, które miały służyć pojazdom ciężarowym.

Obóz otoczono płotem z drutu kolczastego, rozciągniętego między drewnianymi palami wbitymi w ziemię. Co kilkanaście kroków z drutów zwisały lampy, które miały nocą oświetlać teren, by utrudnić sprawę śmiałkom planującym ucieczkę. Ogrodzenie było na tyle wysokie, że człowiek musiałby stanąć na ramiona innego, by dosięgnąć jego szczytu. Polscy oficerowie szybko dostrzegli, że teren obozu nie był szczelnie odgradzony od świata. Wciąż trwały prace nad dokończeniem płotu.

Większość zabudowań była jeszcze nieprzystosowana do pełnienia funkcji baraków dla ludzi, dlatego nie było w Murnau wystarczająco dużo miejsca, by zakwaterować wciąż napływających jeńców. Nawet nieliczną grupę, która przybyła bussing-nagiem, ledwie zdołano gdzieś upchnąć. Polacy patrzyli, jak Niemcy pospiesznie stawiali ścianki działowe w rozległych halach, tworząc mniejsze lub większe pomieszczenia, gdzie stłoczeni zostaną niżsi stopniem żołnierze.

Obelt wraz ze Zmitkiewiczem zostali ulokowani w budynku opisanym jako „blok E”.

Znajdował się w południowej części obozu, niedaleko lichej wieży strażniczej, na którą najwyraźniej żaden Niemiec nie odważył się jeszcze wejść. Dopiero następnego dnia wzmocniono jej konstrukcję i ustawiono na szczycie karabin maszynowy. W końcu pojawił się też wartownik, który tylko czekał, by skorzystać z broni. Kiedy Niemcy wprowadzili ich do bloku E – pierwotnie zapewne garażu czołgowego, jeńcy popatrzyli po sobie zdeorientowani. Było ich zdecydowanie zbyt wielu, by zmieścili się na takiej przestrzeni. Hitlerowcy powiedzieli parę słów po niemiecku, przestrzegając przed próbami ucieczki, po czym wyszli i zaryglowali drzwi. Wrócili po jakimś czasie i kazali Zmitkiewiczowi, który znał trochę niemiecki, przetłumaczyć, by jeńcy się umyli.

Także prysznice nie były jeszcze wykończone, mimo to Obelt z ulgą przyjmował chłodny dotyk każdej kropli wody na swoim zmęczonym ciele. Rana zadana nożem Blankenburga wyglądała już lepiej. Krwawienie zupełnie ustało, ból ustąpił. Kapitan nie wiedział jednak czy cios nie spowodował groźniejszych, a niewidocznych, uszkodzeń narządów wewnętrznych.

Nie zainstalowano jeszcze przegród między dyszami pryszniców ani czegokolwiek, co mogłoby służyć za kotary, żadnemu z żołnierzy to jednak nie przeszkadzało. Liczyło się dla nich tylko to, że woda – choć pod słabym ciśnieniem – leciała na ich głowy. Obelt przypuszczał, że pewnie i tak mieli tu komfortowe warunki w porównaniu z barakami młodszych żołnierzy, którzy nie zdążyli się dorobić stopnia oficerskiego. W porównaniu zaś do leskiego piekła Blankenburga, można było uznać Murnau za sielankę.

W ciągu kilku dni wybrali dowództwo obozu, a rola najstarszego, czyli zwierzchnika wszystkich jeńców, przypadła generałowi Piskorowi. Wyżsi oficerowie zostali zakwaterowani w niewielkich celach, gdzie mogli cieszyć się względnie dużą swobodą. Kiedy pewnego razu Obelt odwiedził jednego z pułkowników, ze zdumieniem, ale i entuzjazmem zobaczył, że na ścianie jego izby widnieje orzeł na biało-czerwonym tle, a obok wiszą insygnia właściwe stopniowi gospodarza. Wprawdzie wszyscy jeńcy nosili swoje stare mundury, musieli jednak odpruć od nich wszelkie wyznaczniki statusu żołnierskiego. Jedynym elementem, który przełamывał zgniłą zieleń mundurów, był srebrny orzełek, widniejący na przodzie czapek oficerskich.

Przez cały miesiąc Obelt spędzał najwięcej czasu na milczącym kontemplowaniu przyrody. Wychodził przed garaż, w którym spał w straszliwym ścisku, po czym przez długie godziny stał, wbijając wzrok w jedyny widok, jaki rozpościerał się z ich obozu – w majaczące na horyzoncie wysokie góry. Odpływał myślami. Wyobrażał sobie, jak zdobywa kolejne szczyty. Powracały też obrazy wędrówki przez słowackie góry, odbytej z resztkami kompanii w pierwszych dniach wojny.

Skąd jednak nie próbowałby patrzeć na góry, zawsze szpeciła widok stojąca niedaleko wieża strażnicza.

Wieczory, jak i inni jeńcy, spędzał na tak zwanych „marionetkach” – przedstawieniach wystawianych przed dwóch utalentowanych żołnierzy, którzy własnoręcznie zrobili kilka marionetek.

W końcu zaniechał golenia się, a jego twarz pokryła broda – niestety nie dość gęsta, by zakryć pamiętkę po nalocie Luftwaffe. Blizna i jego ciągle, nieprzytomne wpatrywanie się w szczyty gór zbudowały mu opinię człowieka, który przeszedł zbyt wiele, by móc normalnie funkcjonować w tej małej społeczności. Był przez to traktowany z szacunkiem zarówno przez innych jeńców, jak i samych Niemców. Kwintesencją tego było zaproszenie na kolację, otrzymane od komendanta obozu. Hitlerowiec z żywym zainteresowaniem poprosił, by kapitan opowiedział swoją historię. Tłumaczył Zmitkiewicz, ale często zamiast przekładać, musiał przeproszać, że nie zna odpowiednich słów.

Funkcjonowanie w obozie nie było ani przyjemne, ani łatwe. Wprawdzie jeńcy mieli ten komfort, że ich życie nie znajdowało się już w bezpośrednim zagrożeniu, jednak z dnia na dzień coraz bardziej przytłaczało ich poczucie braku wolności. W nocy spali w ciasnocie, za dnia snuli się smętnie w znoszonych mundurach. Tylko w pierwszych dniach, zagoniono jeńców do robót przystosowujących budynki do warunków obozowych, potem zaczęła się nuda.

Właśnie podczas owych pierwszych dni byli najbardziej szykanowani przez nastoletnich Niemców, których Obelt uznał za kandydatów na szeregowych w Wehrmachcie, na razie zbyt młodych, by znaleźli się w regularnej armii. Chłopcy ci grozili pracującym jeńcom i wykrzykiwali w ich kierunku przekleństwa, na szczęście byli temperowani przez starszych Niemców. Wyrostki były tak agresywne, że kapitan nie miał wątpliwości – gdyby miały broń, w obozie odbyłaby się krwawa jatka.

Któregoś dnia Obelt znów stanął w swoim zwykłym „punkcie widokowym”, po czym uklonił się płytko Niemcowi, który siedział na wieży strażniczej i bacznie obserwował swój rewir. Zmitkiewicz siedział niedaleko, opierając się plecami o mur budynku. Zawsze starał się trzymać blisko starszego oficera, pewnie dlatego, że widział, z jak zastanawiającym respektem traktowali go Niemcy.

- Jak pan to robi, kapitanie? – spytał.
- Co robię? Stoję i gapię się na góry? Nic w tym trudnego, wstań i spróbuj.
- W jakiś sposób budzi pan grozę w szkopach.

Obelt chwilę milczał, po czym odparł:

- Blizna robi swoje, powinieneś sobie jedną załatwić.

Rozmowę przerwał odgłos otwieranej bramy obozu, przez którą wjechał czarny samochód. Zatrzymał się pod jednym z budynków, a Zmitkiewicz poderwał się na równe nogi, gdy zobaczył mundury Gestapo. Po chwili do dwóch Polaków podszedł jeden ze strażników, prowadząc gestapowców.

– *Hauptmann Obelt...* – zaczął, wyraźnie zdenerwowany. Minę miał jak abstynent, któremu ktoś podetknął setkę wódki pod nos i kazał wypić. Zmitkiewicz kojarzył go jako jednego z bardziej przyjaznych strażników.

Porucznik przez chwilę się zastanawiał, po czym – świadom, że gestapowcy nie mogą rozpoznać ich rang, bo te zostały usunięte z mundurów – zrobił krok do przodu i powiedział:

– *Ich.*

Wartownik popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale nie zaprotestował. Zmitkiewicz, znając wojenną historię kapitana, przypuszczał, że Gestapo chce zabrać Obelta na dalsze przesłuchania – pewnie Blankenburg postanowił nie odpuszczać.

Obelt nie zamierzał jednak pozwolić Czesławowi wziąć na siebie wyroku śmierci, bo – jak przypuszczał – właśnie z nim przybyli do Murnau oprawcy. Odepchnął porucznika ruchem ręki i powiedział „*Ich*”, choć czuł, jak to słowo pali go w język.

Jeden z gestapowców wyciągnął pistolet, obrócił w ręce i kolbą uderzył Zmitkiewicza w głowę na tyle mocno, że ten stracił równowagę i runął na ziemię. Także obozowy strażnik zamachnął się na Obelta, po czym, niespodziewanie dla Polaka, udał, że kapitan go chwytą i pociąga za sobą na ziemię. Obaj upadli, a wtedy Polak poczuł, jak młody Niemiec wciska mu w dłoń mały nożyk. Kapitan zacisnęła na nim dłoń i schował ostrze do kieszeni, dziękując w duchu Bogu i wartownikowi za niezwykle szansę na ratunek.

Zniecierpliwiony funkcjonariusz Gestapo wskazał na obu Polaków, którzy szybko zostali wpakowani do samochodu. Tylko dwóch innych jeńców widziało, co się stało. Powiadomili o tym generała Piskora. A ten, gdy zwrócił się do komendanta obozu z prośbą o wyjaśnienie sprawy, dostał odpowiedź, że kapitan i porucznik zostali przewiezieni do więzienia o zastrzonym rygorze w Monachium.

NIEDERSCHLESSEN–SACHSEN, RZESZA, KONIEC PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Leitner i Rodemeyer, niechętnie podróżujący z Torstenem Blankenburgiem – który oświadczył, iż życzy sobie, by nazywali go Holzerem – w okolicach Görlitz mieli już całkowicie dosyć jego towarzystwa. Marvin nie do końca rozumiał przyjaciela – na jego miejscu myślałby tylko o tym, w jaki sposób wyciągnąć od porywacza informacje, gdzie ten przetrzymuje jego rodzinę.

Tymczasem Christian, przybrawszy swój stoicki, ale mrozący krew w żyłach wyraz twarzy,

przez całą drogę do Drezna wpatrywał się w szybę samochodu, kontemplując chyba bardziej swoje odbicie, aniżeli widok za oknem. Rodemeyer zaczął nawet zastanawiać się, czy przyjaciel nie cierpi na jakąś nieznaną chorobę, która objawia się otępieniem.

Trasę przemierzali szarym oplem kadettem, przydzielonym Leitnerowi przez jego przełożonego w SS, Rüdigera Hellera, który zapewne bardzo się zdziwi, przez kilka dni nie otrzymując żadnej wiadomości od podopiecznego. Ten wolał jednak załatwić sprawę sam, niż mieszać w to służby.

Opuścili Breslau natychmiast po tym, jak Holzer zmusił ich do współpracy. W stolicy Niederschlesien nie natknęli się na drugiego z psychopatycznych Blankenburgów, choć ten niewątpliwie znajdował się w mieście, szukając brata. Wszystko wskazywało na to, że nie istnieje żaden trop, który mógłby doprowadzić Johanna do szarego kadetta, podążającego niespiesznie na zachód.

Samochód prowadził młody członek SS w randze sturmmanna o dźwięcznym imieniu i nazwisku Karl Kalbrenner. To on przywiózł Leitnera do Breslau, a z tego, co Rodemeyer zdążył zaobserwować, przyjaciel cenił sobie towarzystwo Karla i uważał go za dobrego kandydata na oficera. Marvin odnotował też, że młody szofer spogląda na swojego przełożonego z respektem i uznaniem.

Christian siedział z przodu, na fotelu pasażera. Z tyłu, za kierowcą, usadowił się Rodemeyer, a Holzer zajął miejsce za Leitnerem.

Marvin przysnął gdzieś pomiędzy Görlitz a Dreznem, gdy zaś się obudził, jego wzrok mimowolnie powędrował w kierunku starego przyjaciela, któremu najwyraźniej znudziło się ciągle obracanie głowy w prawo. Leitner trzymał w ręku zdjęcie, które podporucznik dobrze kojarzył. Przedstawiało Johannę.

Rodemeyer przywołał w myśli jej obraz. Miała długie, lekko kręcone blond włosy, nieskazitelnie turkusowe oczy, smukłą sylwetkę i wąskie, jakby kąśliwe usta. Była trochę buntowniczo nastawiona do świata, co kontrastowało z postawą jej męża. Marvinowi zapadł w pamięci obraz Johannы, kiedy ostatni raz gościł Leitnerów u siebie. Nosila ciemnobrązową, podkreślającą jej kobiece kształty sukienkę i szeroki kapelusz gainsborough w trochę jaśniejszym kolorze, który idealnie współgrał z jasnymi włosami. Śmiała się wtedy zarówno ustami, jak i całą twarzą. Szczególnie oczami. Rodemeyer nie znał wielu ludzi, którzy mieliby równie ekspresyjne oczy. Wyobrazził sobie ze smutkiem, że teraz zapewne wraz z synem siedzi gdzieś cała brudna i zaniedbana, pilnowana przez współników Holzera.

Leutnant pomyślał, że niedługo będzie musiał skontaktować się z Raphaelem. O ile mógł sobie pozwolić na nie wysyłanie raportów do przełożonego w Wehrmachcie, to brak kontaktu z Raphaelem mógł okazać się tragiczny w skutkach. Przez chwilę Marvin zastanawiał się, jak mógłby tego dokonać, ale stwierdził, że nie będzie miał takiej możliwości przynajmniej do czasu, gdy zatrzymają się gdzieś na noc.

Przypomniał sobie sytuację w Rawitschu, gdy niemalże został przyłapany na kłamstwie. Nie sądził, by ktokolwiek z garnizonu miał szukać go tamtego wieczoru, jednak na wszelki wypadek Raphael polecił mu zapewnić sobie alibi na czas ich spotkania, co Rodemeyer uczynił z niechęcią.

Odbyli długą rozmowę, a po jej zakończeniu, już późno w nocy, podporucznik udał się do jednego z barów w Rawitschu i czekał na właściwą okazję, by wypełnić polecenie Raphaela. Doczekał się, kiedy miał już mocno w czubie – dwóch pijanych żołnierzy, którzy obrażali

Leitnera, załatwiło mu idealne alibi i wytłumaczenie na to, co robił przez całą noc. Nie zastanawiając się długo, wszczął bójkę, po czym zabrał ze sobą butelkę whisky marki Bushmills i opróżnił połowę w swoim pokoju, zanim padł półprzytomny na łóżku. Zabił tym sposobem ból i choć tego nie pamiętał, leżał na łóżku przez pewien czas z jednym okiem otwartym i szerokim uśmiechem na twarzy. Jego pijany umysł błędził, nie potrafiąc skupić się na jednej myśli. Pamiętał jednak, że kiedy przebudził się, by zwymiotować, zaczął się zastanawiać, dlaczego cholerna wielka... ogrooomna Rzesza nie umie produkować własnej whisky.

Zauważył, że Christianowi głowa zaczyna nieznacznie kiwać się w przód i w tył. Po chwili przyjaciel zasnął. Obudził się dopiero, gdy minęli Chemnitz i zaczęli pytać ludzi o drogę do najbliższego hotelu. Leitner w pewnym momencie wyprostował się jak struna i zaczął nerwowo wciągać powietrze, rozglądając się na lewo i prawo.

– Wszystko w porządku, *Herr Obersturmführer*?

Christian popatrzył na Karla Kalbrennera i z przybraną maską spokoju kiwnął głową, jednak zdawał sobie sprawę, że ostudził swoje emocje zbyt szybko, by jego reakcja mogła wyglądać na naturalną. „Jeszcze pięć minut i będzie dobrze” – pomyślał, wiedząc, że mniej więcej tyle czasu zajmuje mu dojście do siebie po każdym koszmarze katnerowskim.

Tym razem ofiara z Rawitscha biegła na niego z wyciągniętymi widłami. Do lewej i prawej nogi Polaka przywiązane były sznury, które kończyły się pętlami zarzuconymi na gardła Johnny i Maximiliana. Z każdym kolejnym krokiem Katner przyciągał ich bliżej Leitnera, jednocześnie przybliżając jeszcze bardziej widły. Kiedy Christian mógł już zauważyć pieprzyk na policzku żony, poczuł przejmujący ból w klatce piersiowej.

Mateusz Katner ze złowieszczym uśmiechem i wypadającymi zębami oraz stałym elementem swego wizerunku w snach Christiana – dziurą w czole – wbijał i wyciągał widły z ciała Leitnera. Oficer obudził się, nie mogąc złapać powietrza.

Zauważył, że zdjęcie Johnny, które przed chwilą oglądał, spadło na podłogę samochodu. Czym prędzej je podniósł i położył na udzie. Co chwilę zerkał na nie i zastanawiał się, co powinien zrobić.

Zatrzymali się późnym wieczorem w Dreźnie, zajmując dwa pokoje w hotelu „Klosterhof”. Holzer zażyczył sobie, by umieszczono go w odrębnym pokoju, a Christian – ku zdziwieniu Kalbrennera i Rodemeyera – tylko kiwnął głową, akceptując bez słowa takowe żądanie.

Rankiem Rodemeyer skorzystał z okazji i znalazł ustronne miejsce, gdzie mógł spokojnie sprawdzić to, co cały czas nie dawało mu spokoju.

Otworzył mapę i dłuższą chwilę wodził po niej palcem. Kiedy skończył, uznał z niezadowoleniem, że jego sytuacja nie jest dobra. Możliwości kontaktu z Raphaelem były zerowe.

Kiedy szary opel minął Chemnitz, kierując się drogą numer sto siedemdziesiąt trzy do Zwickau, Christian nakazał Karlowi zatrzymać się na poboczu. Odszedł kawałek za samochód, więc wszyscy uznali, że musi się załatwić.

Nagle otworzyły się lewe drzwi opla, Leitner złapał Holzera za ubranie i z impetem wyrzucił go z samochodu. Ten nie miał czasu, by cokolwiek zrobić. Padł na bok i bezwładnie przetoczył się kawałek.

Gdyby miał kilka sekund więcej, zdołałby wstać i przygotować się do starcia. Nie zdążył – poczuł mocny cios w głowę, zadany ciężkim, żołnierskim butem. Obraz przed jego oczami się

rozmażał, więc zaczął na oślep wymachiwać rękoma, próbując złapać nogę napastnika.

O dziwo, po kilkunastu sekundach poczuł, że za coś chwycił. Pociągnął mocno i usłyszał uderzenie, a gdy wstał, widząc już znacznie lepiej, zobaczył Leitnera, który właśnie podnosił się z pleców.

– Myślałem, że cenisz życie własnej rodziny. Ale widać jesteś bardziej popierdolony, niż sądziłem – odezwał się, ocierając strużkę krwi z czoła i wściekle marszcząc nos.

Christian bez słowa uniósł zaciśnięte pięści, jakby uczestniczył w walce bokserskiej. Układ jego rąk daleki był od pozycji, którą z czystym sumieniem można było uznać za gardę, ale wysyłał jednoznaczny sygnał, że oficer oczekuje pojedynku na pięści. Holzer uniósł górną wargę i obnażył zęby, po czym szybko wstał i ruszył w stronę Leitnera.

LOTARYNGIA, FRANCJA, początek listopada 1939 ROKU

– *Heterochromia iridis* – powiedział Staszek.

– Słucham? Stan, musisz mówić do mnie po francusku, nie rozumiem waszego języka – odparła Elisa. – Ewentualnie, mogę z tobą porozmawiać po niemiecku.

– „Różnobarwność tęczówek”. To łacińskie, medyczne określenie – wyjaśnił w jej języku, nie siląc się nawet na skomentowanie propozycji przejścia na niemiecki. Prędszej by szczeł, niż po raz kolejny dukał po szwabsku.

– Ach. Mogłeś po prostu powiedzieć, że podobają ci się moje oczy.

– Bez wątplenia są ciekawe – odrzekł wymijająco.

– Teraz można tak powiedzieć. Ale wyobraź sobie, jakim utrapieniem było dla mnie posiadanie „różnobarwnych tęczówek”, kiedy byłam dzieckiem. – Uśmiechnęła się, mrugając na przemian jednym i drugim okiem, po czym dodała: – Dzieci potrafią być dla swoich rówieśników naprawdę okrutne.

Była szesnastoletnią, wyjątkowo urokliwą dziewczyną, obdarzoną bujnymi, jasnymi włosami w złocistym kolorze. Uplatała je w skomplikowany kok, który dodawał jej uroku. Jej prawe oko miało kolor piwny, drugie natomiast miodowy. Ale i bez tej anomalii przyciągałaby swoją urodą wzrok każdego mężczyzny.

Staszek stwierdził, że powinien podziękować Bogu, iż nie został obdarzony tak charakterystyczną wadą wrodzoną jak Elisa. Gdyby ją miał, niepotrzebny byłby żaden list gończy – każdy policjant by go rozpoznał, a wtedy nie zaszedłby tak daleko, jak mu się udało.

Zanim znalazł się w bezpiecznej Francji, długo nie mógł dojść do siebie po tym, co miało miejsce pod Frankfurtem. A tym bardziej po tym, co wydarzyło się później.

Obserwował, jak mały chłopiec, Lucas, został w bestialski sposób pozbawiony dwójki rodziców. Wszystko to działo się na jego oczach i nie było mowy o tym, by dzieciak mógł kiedykolwiek wymazać to wspomnienie z pamięci. Staszek ze smutkiem skonstatował, że i on nie będzie mógł o tym zapomnieć. Strzelił z bliska piętnastoletniemu chłopakowi w środek czoła. Widział jego mózg, który rozprysnął się na ścianie. Ilekroć zamykał oczy, widział przed sobą tylko ten obraz.

Tamtego dnia przebyli z Marią kilkanaście kilometrów, nie odzywając się do siebie słowem.

Przez cały czas niósł na rękach Lucasa. W końcu mięśnie Zaniewskiego zeszywniały tak bardzo, że nawet nie odczuwał już bólu i zaczął się obawiać, że upuści chłopaka. Ten zaś był w głębokim szoku i narzeczeni nie wiedzieli, co mają zrobić, by mu pomóc.

Podczas postojów Staszek próbował mówić do niego po francusku, a Maria po niemiecku. Lucas wbijał wtedy nieobecny wzrok w przestrzeń, jakby nie docierało do niego żadne słowo.

Po pewnym czasie zaczął zanosić się charczącym kaszlem, nie mogąc złapać powietrza. Zrobił się czerwony na twarzy i nie trzeba było być specjalistą, by stwierdzić, że jego życie jest zagrożone.

Po pewnym czasie poczuł się troszkę lepiej, więc ruszyli w dalszą drogę, choć każdy kilometr był okupiony ogromnym wysiłkiem Staszka.

Kiedy Lucas wreszcie się odezwał, byli już niedaleko francuskiej granicy i niemal czuli bijący z drugiej strony powiew wolności. Schowali się między drzewami i obserwowali strażników, którzy patrolowali okolice przejścia.

– Boli mnie brzuch – tak brzmiały pierwsze słowa osieroconego chłopaka. Mówił po francusku.

Staszek zbadał go na tyle, na ile pozwalały mu okoliczności i jego własna wiedza. Po zakończeniu oględzin poczuł na sobie pytające spojrzenie Marii.

– Ma gorączkę i spowolnienie akcji serca. A oprócz tego różową wysypkę na brzuchu.

– Wiesz, co mu jest? – zapytała, zmartwiona.

– Nie mogę być niczego pewien. Ale biorąc pod uwagę to, że jest kompletnie wyczerpany, mimo że niosłem go całą drogę...

– No co?

– Tyfus. Ale nie mam pewności – podkreślił.

– Skąd?! Jak się zaraził?

– Mógł na wiele sposobów. Brudna woda albo jedzenie... No i ukrywali się dość długo w fatalnych warunkach.

Maria popatrzyła na Lucasa, który położył się na boku i trzymał za brzuch, krzywiąc się z bólu. Współczuła mu i była zła, że nie może zrobić nic, by ulżyć jego cierpieniom. Zauważyła, że Staszek patrzył na chłopca smutnym wzrokiem.

– Nie możesz mu pomóc? – spytała.

– Bez antybiotyków nie.

Potała czoło, po czym niepewnie powiedziała:

– Tyfus jest zaraźliwy.

– Nie ten. To tyfus brzuszny, nie plamisty. O ile w ogóle moja diagnoza jest trafna.

Poczuła się winna przed samą sobą, że bezdusznie pomyślała o nich, a nie o malcu.

– Musimy jak najszybciej przejść na drugą stronę – zdecydowała.

Kilkanaście godzin później, po zażyciu porządnej dawki snu i przebyciu kolejnych kilometrów, stan Lucasa nieco się poprawił. Staszek wziął go na barana i zauważył, że sprawiło to chłopcu frajdę. Wyglądało na to, że choć na chwilę zapomniał o okrutnej śmierci rodziców.

Na zachód od miasta Völklingen znaleźli się w niezamieszkanym okolicy, gdzie nie było żadnych dróg ani wsi. Był za to samotny słupek graniczny.

Narzeczeni popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się lekko, po czym, zrobili krok do przodu,

wchodząc na teren sojuszniczej Francji. Lucas szedł między nimi, trzymając narzeczonych za ręce.

Po raz pierwszy od dwóch miesięcy mogli poczuć się naprawdę bezpieczni. Maria, uśmiechając się szeroko, poddała się przyjemnemu impulsowi. Puściła ich ręce i zaczęła biec przed siebie. Staszek najpierw omiótł wzrokiem okolicę, a potem wziął chłopaka na barana i ruszył za ukochaną, choć brakowało mu sił, by biec tak szybko jak ona.

Zatrzymali się po kilku minutach i usiedli na łące.

Czuli, jak opadają z nich emocje ostatniego miesiąca. Ogarnęło ich potworne zmęczenie, zaczęły doskwierać odciski na nogach, obtarcia na skórze, mięśnie ogarnął nieznośny ból.

Położyli się na plecach i obserwowali powolny ruch chmur.

Kiedy odpoczęli, ruszyli w dalszą drogę. Choć brakowało im sił, zdawali sobie sprawę z bliskości celu podróży i to motywowało ich do postawienia kolejnego kroku. Oboje byli gotowi zedrzeć sobie skórę z nóg, byle donieść chłopaka do najbliższego szpitala. Z przyzwyczajenia skierowali się w stronę pobliskiego lasu, gdy nagle Maria się zatrzymała.

– Staszek, co my robimy? – zapytała, promieniejąc na twarzy.

Odwzajemnił uśmiech, zrozumiałwszy, że tutaj nie muszą podróżować leśnymi ścieżkami. Mogli iść każdą, nawet najbardziej uczęszczaną, drogą.

– Myślałem, że uwielbiasz wałęsać się ze mną po lasach.

– Nie wejdę do żadnego przez najbliższe pół roku.

– Ode mnie na pewno takiej propozycji nie usłyszysz.

Niedługo potem spotkali miejscowego rolnika, od którego dowiedzieli się, gdzie znajdują najbliższą drogę. Zapewnił, że dojdą nią do miejscowości Saint-Avold, gdzie znajdował się szpital.

– Stan, słuchasz mnie? – spytała Elisa, wrywając Staszka z zamyślenia.

– Tak, tak. Przepraszam, odleciałem dość daleko.

– Myśli o tym chłopaku nie dają ci spokoju?

– To chyba normalne.

– Normalne, ale musisz zdawać sobie sprawę, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Pokiwał smutno głową.

Trudno mu było przyzwyczać się do tego, że Francuzi nazywają go „Stanem”. Zdrobnienie to było im znacznie łatwiej wymówić, niż polską wersję tego imienia. Początkowo zwracali się do niego per Stanislas, ale gdy zobaczyli jego skwaszoną minę, Elisa ukuła „Stan” – i tak już zostało.

– Wracamy? – spytała Elisa, patrząc na niego swoimi różnobarwnymi oczami. Uśmiechnął się i skinął głową. Wstali i otrzepali z trawy koc, na którym siedzieli. Pomachali dwójce ludzi, którzy siedzieli nieopodal, a gdy ci się zbliżyli, we czwórkę zeszli ze wzniesienia i skierowali się ku niskim, rozlokowanym na dużej przestrzeni zabudowaniom.

Bronek Zaniewski obudził się, gdy przywaliło go coś ciężkiego. Otworzył oczy i zepchnął z siebie przedmiot przypominający w dotyku worek pełen miękkich ziemniaków. Stracił poczucie czasu, nie miał pojęcia, od ilu dni znajdują się w wagonie zmierzającym w głąb ZSRR.

Potrzebował kilku sekund, by jego oczy przyzwyczyły się do panującego tu mroku, rozrywanego jedynie kilkoma wiązkami promieni słonecznych, które wpadały przez szpary w ścianach.

„Kurwa... zepchnąłem z siebie trupa” – pomyślał, uświadamiając sobie, co przed momentem go przywaliło. Nie poczuł obrzydzenia – raczej pretensję pod adresem umarlaka za to, że przerwał mu sen, który był tu na wagę złota.

Ścisk panujący w wagonie uniemożliwiał ludziom jednoczesne położenie się na podłodze, nawet siedzenie nastroczało wielu trudności. Dlatego kładli się na zmianę, w turach po godzinę. Teraz wypadła jego kolej i ochoczo z niej skorzystał, niemal natychmiast zapadając w sen, a tu nagle ten trup!

– Śpij – szepnęła Chwieduszko, patrząc nieprzytomnym wzrokiem na ciało, które Bronek zrzucił z siebie.

– Teraz raczej nic ciekawego mi się nie przyśni.

Chorąży wysilił się na krzywy uśmiech.

– Ksiądz Szczepan? – spytał Zaniewski, patrząc, jak na zwłokach usiadło dwóch ludzi, nim inni zajęli to miejsce.

– Chyba tak – smutno odparł Chwieduszko, mrużąc oczy, by dojrzeć twarz zmarłego.

Gdyby ktoś ledwie tydzień wcześniej powiedział im, że będą się tak zachowywać w obliczu śmierci innego człowieka, popukaliby się w czoło. Jako żołnierze wybrali życie w dużej mierze polegające na obcowaniu ze śmiercią. Jednak walka z wrogiem nie zdołała sprawić, że stali się obojętni na śmierć. Dopiero teraz, w bydlęcym wagonie, musieli przyzwyczyać się do niej jak do rzeczy codziennej, niewzbudzającej większych emocji. Nie mieli innego wyjścia.

Pierwsze dni były koszmarem. Nikt ze stłoczonych tu osób nie miał choćby kawałka chleba, o wodzie również nie było mowy. Niektórzy żołnierze twierdzili wprawdzie, że Rosjanie pozwolili im zabrać zapasy niezbędne do przeżycia podróży, ale te dawno się skończyły. Kilku miało nawet szczeroteczki do zębów, co w obecnej sytuacji zakrawało bardziej na żart, aniżeli dobrą wolę Rosjan.

W owych pierwszych dniach nie mogli też znieść ścisku i smrodu potu zgromadzonych ludzi. W końcu do tego przywykli, ale prawdziwe piekło dopiero miało nadejść.

Po raz pierwszy zwątpili w to, że kiedykolwiek uda im się opuścić wagon pociągu, kiedy umarł pierwszy człowiek. Prosimi Rosjan, by można było usunąć jego ciało z wagonu. Bez skutku. Liczne muchy jakimś cudem znajdowały otwory, którymi mogły wlecieć do środka, ale już opuszczenie wagonu było chyba dla nich zbyt trudne, a może odpowiadała im coraz słodsza od odoru śmierci atmosfera. Ciało gniło przez kilka dni, nim wreszcie na jakiejś stacji zostało usunięte.

Stęchlizna, wilgoć i smród – Bronek czuł się nimi przesiąknięty do szpiku kości.

Trupy co jakiś czas wyrzucano – ekskrementów już nie. Początkowo jeńcy robili wszystko, by powstrzymać naturalne odruchy, choć po pewnym czasie stało się to po prostu niemożliwe. Część załatwiała się na stojąco, nie ściągając spodni. Niektórzy starali się dopchać w kąt

wagonu, by tam przykucnąć. Ani jedno, ani drugie wyjście nie było przyjemne dla reszty jeńców. Wagon szybko wypełnił się przenikliwym smrodem, który przyprawiał o mdłości.

Bronek, w przeciwieństwie do większości przewożonych ludzi, nie zamierzał pogodzić się z losem, choć zauważył, że wielu z nich już uznało samych siebie za zmarłych. Kiedy patrzył na tych, którzy jechali pociągiem dłużej od niego, widział, że w ich oczach nie ma życia.

On chciał żyć. Przez dwa dni starał się znaleźć miejsce, w którym można by wyłobić choć niewielką dziurę w ścianie – tylko taką, by przyłożyć do niej usta i powdychać nieco świeżego powietrza. Nie dysponował jednak żadnymi narzędziami, dzięki którym mógłby swój plan zrealizować. W odruchu desperacji zaczął drapać o jedną ze ścian paznokciami, ale szybko stwierdził, że to robota głupiego. Tylko człowiek, który postradał zmysły mógłby liczyć na to, że się uda. A nie zamierzał stać się wariatem, jak inni tutaj.

Szczęście uśmiechnęło się do niego jakiś czas później, kiedy dając upust swojej bezsilności, grzotnął głową o ścianę. Samo to nie spowodowało żadnego innego efektu niż ból, ale kiedy oparł się czołem o deskę obok, stwierdził, że jest nieco poluzowana. Aż kilka godzin zabrało mu jej ściągnięcie, ale efekt był powalający – do wnętrza dostało się świeże powietrze.

Ważniejsze było jednak to, że teraz jeńcy uzyskali możliwość usuwania odchodów z wagonu. Niestety, smród panujący w środku specjalnie się nie zmniejszył.

Po kilku dniach pracy, z pomocą innych więźniów, szpara stała się wystarczająco szeroka, by człowiekowi udało się przez nią przepchnąć. Mijało się to jednak z celem, jeśli ktokolwiek myślał o ucieczce. Znajdowała się niedaleko sufitu i nie było innej możliwości niż taka, by przełożyć nią ciało w poprzek. To spowodowałoby prawie natychmiastową śmierć, gdyby ochotnik znalazł się po drugiej stronie. A jeśli nawet udałoby mu się przeżyć upadek przy takiej prędkości, Rosjanie z całą pewnością by go wykończyli.

Szpara jednak szybko znalazła inne zastosowanie i stanowiła ratunek przed najgorszym, co gromadziło się w wagonie. Ci żołnierze, w oczach których łomotała jeszcze gdzieś z tyłu iskra życia i woli walki, usuwali przez nią ciała towarzyszy, którzy zmarli z głodu i wyczerpania.

Bronek wspominał księdza Szczepana, który uparcie twierdził, że czeka ich bardzo długa podróż na wschód Rosji, do obozów pracy. Mówił o dziesięciu tysiącach kilometrów, ale nikt mu nie wierzył. Ksiądz był jednym z nielicznych, którzy podczas tej morderczej podróży zachowywali się przyzwoicie. Początkowo starał się podtrzymywać innych na duchu, umacniać ich wiarę i zapewniać, że co by się nie wydarzyło w życiu doczesnym, zostanie wynagrodzone w zaświatach. Po pewnym czasie zaniechał tych prób, gdyż większość jeńców patrzyła na niego ze złością, a reszta ignorowała.

Zaprzyjaźnił się z Bronkiem, Chwieduszką i Kremmerem, o ile w takiej sytuacji i w takich warunkach można w ogóle mówić o przyjaźni.

Któregoś dnia podróży, gdy wszyscy czuli przeraźliwy ból w żołądku, spowodowany brakiem jedzenia i wody, chorąży zaproponował duchownemu, by robił to, co pozostali:

- Niech ksiądz wypije własny mocz.
- Nie ma takiej potrzeby, synu – odparł Szczepan. Jego usta wyglądały, jakby były pokryte skorupą zaschniętej, czarnej krwi.
- Jak ksiądz chce. Ale inaczej nie przeżyje.
- Wiara mnie karmi i poi. Wszyscy przeżyjemy, synu, nie martw się o to.

Dwa dni później doszło do pierwszego poważnego spięcia pomiędzy jeńcami, stłoczonymi na nieludzko małej przestrzeni. Umarł jeden z nich, a kilku stanęło wokół, patrząc na ciało oszalałym wzrokiem. Ktoś rzucił propozycję, by się nim posilić. Ksiądz Szczepan zareagował natychmiast, odpychając żołnierzy. Zanim Broniek z Chwieduszką zdążyli się do niego dopchać, duchowny dramatycznie bronił zmarłego, jednocześnie przyjmując cios za ciosem od wściekłych jeńców. Kiedy jego usta zalały się krwią, Kremmer odciągnął go od zdziczałych żołnierzy, a Zaniewski i chorąży ledwie zdołali uchronić go przed kolejnymi atakami.

Odeszli na drugi kraniec wagonu, z trudem przesuając blokujących przejście ludzi.

Grupa jeńców zjadła swój pierwszy od długiego czasu posiłek. Im dalej przemieszczali się na wschód, tym bardziej spadała temperatura. Wskutek tego, coraz więcej ludzi zamarzało, a to, co pozostawało z ich ciał, było usuwane przez szparę.

Aż przyszedł dzień śmierci księdza. Kiedy dwóch żołnierzy usiadło na ciele zmarłego, najpewniej chcąc zapewnić sobie posiłek na najbliższych kilka dni, Broniek ochryłym głosem oświadczył:

– Spierdalać.

Chwieduszek z trudem napiął mięśnie, by być gotowym na starcie. Popatrzył na Kremmera, który opierał się plecami o bok wagonu i miał zamknięte oczy. Od pewnego czasu zdawał się nie reagować na żadne bodźce zewnętrzne. Zaniewski przypuszczał, że pocziwy staruszek nie wytrzyma do czasu, kiedy Rosjanie wreszcie wypuszczą ich z bydłęcego wagonu. Warszawiak był zresztą zaskoczony, że ziemianin miał na tyle samozaparcia i determinacji, że nie umarł do tej pory.

Dwójka żołnierzy, widząc Bronka i Chwieduszkę, gotowych zażarcie bronić ciała duchownego, z którym wcześniej się przyjaźnili, stwierdziła, że nie warto ryzykować. Sierżant i chorąży byli w lepszym stanie od większości obecnych tu ludzi, lepiej więc było im się nie narażać.

– Musimy szybko przepchnąć go przez szparę – powiedział Chwieduszek.

Słowo „szpara” urosło niemalże do miana czegoś szlachetnego. Stanowiła ratunek przed smrodem i obcowaniem z gnijącymi ciałami. Ci żołnierze, którzy zachowali jeszcze resztki sił, dopychali się do niej, by móc odetchnąć czystym powietrzem. Była także jedynym kontaktem z zewnętrznym światem, ratowała niektórych przed obłąkaniem.

Z trudem podnieśli ciało księdza, po czym przerzucili je na drugą stronę. Usłyszeli uderzenie zwłok o zmarzniętą ziemię i przeżegnali się.

Broniek oparł się o ścianę niedaleko szpary. Robiło się tam coraz więcej miejsca, bo było coraz mniej chętnych do korzystania z życiodajnych powiewów świeżego powietrza. Ludzie nie mieli już siły nawet na doczołganie się do szpary.

Zaniewski coraz częściej myślał o Baranowiczach i Anieli, jednak nie zastanawiał się już nad tym, co się z nią stało po wybuchu wojny. Przywoływał tylko obrazy wspólnie spędzonych chwil, dzięki czemu czasem nawet się uśmiechał. Zapewne właśnie te wspomnienia pozwoliły mu przetrwać tak długo. Nie wiedzieć czemu, nagle naszły go mało przyjemne myśli o ostatnim ich spotkaniu, miesiąc przed planowanym ślubem.

OKOLICE CHEMNITZ, RZESZA,

KONIEC PAŹDZIERNIKA 1939 ROKU

Holzer, ruszając w kierunku Leitnera, wyciągnął zza paska sztylet, który zabrał jednemu z zamordowanych w Rawitschu żołnierzy. Żałował, że broń nie należała do Ernsta Heinlego, byłaby przynajmniej pamiątką po człowieku, który o mały włos pozbawiłby go życia. Uśmiechnął się na myśl o ironii losu – zaraz zabije oficera, który wtedy powstrzymał Heinlego. Bez jego interwencji z pewnością zostałyby dobity bądź też pozostawiony samemu sobie w lesie.

– Załatwiłeś właśnie sobie i swojej rodzinie pewną śmierć! – krzyknął do obersturmführera.

Christian, widząc szaleństwo na twarzy Torstena Blankenburga, spokojnie sięgnął po własny sztylet SS, wyjął go z pochwy i przejechał palcem wskazującym po grawerunku „Mój honor to wierność”.

Zaatakowanie Holzera nie było rozsądne, miał już jednak dość tego, że bandzior trzyma w rękę wszystkie atuty i kieruje jego poczynaniami. Musiał dać upust złości, a jednocześnie był przekonany, że mimo wszystko uratuje Johannę i Maximiliana.

Pojedynek odbyłby się niczym w westernie, gdyby nie fakt, że wcześniej cała broń została zamknięta w bagażniku kadetta, razem z innymi rzeczami. Pistolety nie były w tej sytuacji dla nikogo argumentem, bo każda ze stron wiedziała, że jest zależna od drugiej. Nikt nie mógł pozwolić sobie na to, by wyeliminować przeciwnika... A przynajmniej do teraz, gdy Christianowi puściły nerwy i racjonalność poszła w cholerę.

Na widok sztyletu SS, Holzer zatrzymał się przed Leitnerem. Okrążali się niespiesznie, zanim bandyta postanowił zaatakować. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, markując uderzenie z lewej, po czym szybko odbił się drugą nogą i wypchnął z prawej strony sztylet w kierunku szyi Christiana.

Marvin wraz z Kalbrennerem przyglądali się temu z niepokojem. W pierwszej chwili, gdy Leitner wyrzucił Holzera z samochodu, chcieli pomóc dowódcy, ten jednak powstrzymał ich ruchem ręki. Rodemeyer, patrząc na twarz przyjaciela, wiedział już, co chce zrobić, więc nie miał zamiaru interweniować. To była osobista sprawa i z całą pewnością Christian nie życzyłby sobie, by ktokolwiek mu pomagał.

Marvin doskonale pamiętał, że Leitner włada równie dobrze pistoletem, karabinem, jak i wieloma rodzajami białej broni. Był urodzonym wojownikiem. Większość żołnierzy Wehrmachtu, których podporucznik spotkał na swojej drodze, była dobra w swym fachu dzięki długotrwałemu treningowi. Natomiast jego przyjaciel miał wrodzony talent i do dowodzenia, i do bezpośredniej walki.

Christian uśmiechnął się w duchu, kiedy zobaczył, jak Holzer próbuje zamarkować uderzenie z lewej. Stanął bez ruchu, by przeciwnik uwierzył, że udało mu się go zwieść. Kiedy ostrze, zgodnie z oczekiwaniami esesmana, powędrowało w przeciwną stronę, ten wykonał gimnastyczny ruch tułowiem, nurkując pod sztyletem. Błyskawicznie znalazł się po drugiej stronie ostrza, trzymając swoje na wysokości niczym nieosłoniętego brzucha przeciwnika. Teraz bez większych problemów mógłby pozbawić go życia.

Holzer zdał sobie sprawę z błędu, jaki popełnił, nie zdążył podjąć jakiegokolwiek próby obrony. Sztylet SS rozciął jego ubranie pod żebrami. W poprzek brzucha pojawiła się strużka krwi. Bandyta był zdezorientowany i dopiero po chwili uświadomił sobie, że trwając w bezruchu, tylko czeka na cios, który przyniesie mu śmierć.

Ku jego zdziwieniu Leitner odsunął się spokojnie dwa kroki do tyłu i zmroził przeciwnika

spojrzeniem. Ten przełknął głośno ślinę, po czym napiął wszystkie mięśnie. Marszcząc nos i unosząc górną wargę, wyglądał jak byk, który właśnie zobaczył czerwoną płachtę. Rzucił się na oficera SS jak szaleniec, bez żadnego planu ataku.

I właśnie to, że Holzer chaotycznie wymachiwał ostrzem w lewo i prawo, zdezorientowało Christiana. Musiał przestać myśleć kategoriami wyuczony taktyki walki na noże i zaufać instynktowi. Torsten okazał się nieprzewidywalnym przeciwnikiem, kierującym się wyłącznie emocjami. Kiedy Leitner to pojął, wiedział już, że wygra. By tego dokonać, musiał tylko przetrwać lawinę niekontrolowanych cięć. I poczekać na dogodną okazję, by zwyciężyć jednym pchnięciem. Przy czym nie mógł sobie pozwolić na zabicie wroga.

Okazja nadarzyła się po kilku długich minutach parowania ciosów Holzera. Bandyta zaatakował ponownie, tym razem zbyt wysoko unosząc rękę. Kiedy jego broń opadała łukiem w stronę lewej skroni oficera, ten energicznie wysunął lewą rękę i z całej siły uderzył Holzera w koniec przedramienia. Ten mimowolnie rozwarł dłoń, upuszczając sztylet.

W tym samym momencie Leitner, zachowując kamienny wyraz twarzy, wycelował swoim ostrzem wprost w otwartą dłoń Holzera i przebił ją na wylot.

Rozległ się pełen wściekłości krzyk. Christian, unosząc nogę na wysokość, która była nieosiągalna dla niewysportowanego człowieka, kopnął przeciwnika w klatkę piersiową. Holzer runął na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Oficer natychmiast znalazł się tuż przy nim, położył but na jego głowie i obrócił ją w lewo. Nadepnął na prawy policzek przeciwnika i mocno wcisnął jego głowę w ziemię.

– Teraz możemy rozmawiać – powiedział mrozącym krew tonem, nachylając się nad ofiarą.

– Goń się – ledwo wycedził bandyta.

– Darowałem ci życie, kawale ścierwa – pogardliwie powiedział Leitner, po czym jeszcze mocniej przycisnął twarz Holzera do ziemi i dodał: – Nie mam zamiaru cię zabijać.

Odszedł kawałek, pozostawiając zdezorientowanego Holzera, po czym wyciągnął papierośnicę od Johnny i wyjął papierosa marki Salem Gold.

– Jednak zależy ci na życiu rodziny – powiedział Torsten, wstając i otrzepując ubranie. Zapiekleła go skóra na brzuchu, więc zdrową dłonią podciągnął koszulę i obejrzał czerwoną szramę. Leitner rzucił na niego przelotnie wzrokiem, po czym zajął się kontemplowaniem krajobrazu okolic Chemnitz.

Holzer podniósł ranną dłoń, odchrząknął i rzekł:

– Żeby była jasność, jeśli nie odezwę się do mojego człowieka w ciągu dwóch tygodni, twoja żona i syn...

– Zamknij mordę – spokojnie rzucił Leitner. Doskonale wiedział, że wielokrotny morderca, który uciekał przez pół życia przed niemieckim wymiarem sprawiedliwości, a potem z powodzeniem ukrywał się w Polsce, musiał się odpowiednio zabezpieczyć. Gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy, poderznąłby tej szumowinie gardło jeszcze w Breslau, a ciało wrzucił do ścieku.

– Sam zamknij, kurwa, mordę! – odparł wściekle Holzer i ruszył w stronę Leitnera.

Kiedy zobaczył, że ten kładzie rękę na pochwie sztyletu SS, oprzytomniał. Był bezbronny, poza tym sam musiał przed sobą przyznać, że były wehrmachtowiec jest od niego zwyczajnie lepszy w walce na noże. Christian odczekał chwilę, po czym uznał, że jego przeciwnik musi jednak posiadać coś w rodzaju instynktu samozachowawczego, więc spokojnie odwrócił się od

niego.

Zanim wsiedli do samochodu, zapytał:

- Gdzie oni są?
- Chyba nie sądzisz, że...
- Gina i Gottwin – przerwał mu oziębło.
- A, oni. Maria i Staszek.
- Nie obchodzą mnie ich imiona i nazwiska, jedynie miejsce pobytu.
- Mieli plan, żeby przedrzeć się do Francji. Do rodziny Żydówki.
- Gdzie? – powtórzył Christian, kiedy Karl zapalał opla.
- Louvigny, w Prowincji Moselle.
- Miałeś się tam z nimi spotkać?
- Nie.

Leitner zamilkł, bo dowiedział się już wszystkiego, czego potrzebował. Nie próbował nawet dopytywać o miejsce przetrzymywania swojej rodziny. Po wyjeździe z Breslau umowa pomiędzy nim a Holzerem stanowiła, że ten doprowadzi ich do miejsca, gdzie przebywają Gina i Gottwin, po czym odejdzie. Kiedy znajdzie się w bezpiecznym miejscu, wyśle im pocztą adres, gdzie znajdują się Johanna i Maximilian. Do tego czasu człowiek Holzera miał zakaz wyrządzania im nawet najmniejszej krzywdy. Miał podawać im jedzenie i picie oraz utrzymywać w dobrym zdrowiu, zapewniając względną wygodę. Nie był to idealny układ dla Christiana, ale obecnie nie miał innego wyboru, niż grać wedle scenariusza narzuconego przez Blankenburga.

Leitner zapewnił Holzera, iż jeżeli jego żonie lub synowi spadnie z głowy choć jeden włos, oskalpuje go i wyda na tortury, o jakich nie pomyśleli nawet najwięksi zwyrodnialcy. Bandyta zbył tę uwagę milczeniem.

LOUVIGNY, PROWINCJA MOSELLE, FRANCJA, POCZĄTEK LISTOPADA 1939 ROKU

– Smacznego – powiedziała Elisa do narzeczonych, którzy z niepokojem patrzyli na danie, które dziewczyna postawiła przed nimi i swoją rodziną.

Maria przelotnie zerknęła na Staszka, zauważając jego pełną powagi minę.

– Wygląda... – zaczęła i zrobiła pauzę, szukając odpowiedniego słowa – ...całkiem intrygująco, kuzynko. Nie wiedziałam, że masz talent kulinarny.

Mówiąc to, patrzyła na Elisę, która nie rozumiała ani słowa po polsku. Ciotka Marii przekładała na francuski, czasem jednak miała trudności z przypomnieniem sobie, co konkretny wyraz oznaczał. Właśnie tak warszawianka porozumiewała się z młodszą kuzynką, od kiedy wraz ze Staszkiem przekroczyli próg domu Boissów.

Luiza Herensztad była siostrą ojca Marii. Wiele lat temu wyjechała z Polski, a po ślubie znana była jako Louise Herenstadt-Boiss. Utrzymywała z bratem intensywne kontakty, mimo dzielących ich tysiąca kilometrów. Wiadomość o jego śmierci przyjęła z ogromnym smutkiem i przyjechała nawet do Warszawy, by uczestniczyć w pogrzebie.

Nigdy nie rozmawiała z bratową ani bratanicą na temat tego, jakim człowiekiem był zmarły. Maria przypuszczała, że ciotka nie ma pojęcia o tym, że był zwykłym potworem – do niej

zawsze odnosił się ciepło, a przede wszystkim nigdy nie miała okazji zobaczyć go, gdy szalał. Tym bardziej nie wiedziała, jak zginął.

Louise była podobna do brata, na szczęście tylko fizycznie. Była wysoką i raczej pulchną kobietą o kruczoczarnych, delikatnie kręconych włosach.

Kiedy przybyła do Nancy, przez długi czas pracowała jako pomoc domowa. Okazała się biegłą w prowadzeniu gospodarstwa i szybko została zatrudniona przez szanowaną rodzinę francuskich Żydów, Boissów. I tak poznała przyszłego męża, Brunona.

Wedle relacji ojca Marii, oboje zapałali do siebie gorącą miłością, wskutek czego Bruno Boiss został wyrzucony z domu, a mezalians odbił się szerokim echem w wyższych sferach Nancy. Młodzieniec miał jednak pręźnie rozwijającą się własną firmę, produkującą paski do spodni, więc nie był zależny od rodziców. Po jakimś czasie kupili niewielki, ale urokliwy dworek w miejscowości Louvigny, oddalonej o czterdzieści kilometrów od Nancy.

Kiedy Bruno i Louise stali obok siebie, sprawiali wręcz komiczne wrażenie. Ona – czarnowłosa i korpulentna, on – łysiejący blondyn, chudy jak szczypiorek. Na pierwszy rzut oka nie pasowali do siebie, jednak ich udane małżeństwo trwało już od osiemnastu lat, a jego owocem była dwójka dzieci.

Elisa i Emphrem Boiss byli bliźniakami. Urodzili się szesnaście lat temu, zaś poród odebrali Bruno i nieliczna wtedy służba dworku w Louvigny. Już w kilka dni po narodzinach można było stwierdzić, że dzieci w niczym nie przypominają matki, za to bardzo podobne są do ojca. Louise ubolewała nad tym przez pewien czas, obecnie jednak sprawa ta całkowicie jej zubożyła.

Bliźniaki, pomimo jasnych włosów i rysów twarzy ojca, odziedziczyły po matce zamiłowanie do spożywania zbyt obfitych posiłków oraz bujne włosy, na których brak uskarżał się Bruno.

– Co to jest? – rzucił Emphrem, patrząc na siostrę, która postawiła przed nim talerz.

Wszyscy w domu Boissów – teraz włącznie ze Staszkiem i Marią – wiedzieli, że do wszelkich prób kulinarnych Elisy należy podchodzić z zachowaniem największych środków ostrożności.

– Wątróbka z konfiturkami mirabelkowymi. *I ser le brie de Meaux*.

Mówiąc to, Elisa pochyliła głowę i zrobiła nadąsaną minę.

– A nie wygląda... – rzucił Emphrem, jednocześnie podnosząc widelec do ust.

Narzeczeni krótko po przybyciu do Louvigny zorientowali się, że tutejsi Francuzi darzą uwielbieniem żółte śliwki mirabelki, z których przygotowują wszystko, co tylko można wymyślić – od wina, przez konfitury, po nadzienie do pączków.

Tego wieczoru, podczas kolacji celebrowanej przez gospodarzy niemalże jak msza w kościele, Bruno Boiss uraczył ich wybitnie długą opowieścią o Stanisławie Leszczyńskim, jak Francuzi wymawiali imię i nazwisko polskiego króla Stanisława Leszczyńskiego, który po wygnaniu z kraju został księciem Lotaryngii. Louise i Emphrem słuchali głowy rodziny z uwagą, powoli łykając kęsy jedzenia, które Staszce wydawały się zabawnie małe. Wieczór ciągnął się w nieskończoność, a po ukradkowych spojrzeniach kuzynki na narzeczonego, Maria zorientowała się, że nudzi się nie tylko ona i Staszek.

Warszawiak wyłączył się już na wstępie opowieści, wracając myślami do tego, co przeżyli z Marią, wkraczając do Francji. Po raz pierwszy od długiego czasu byli bezpieczni, a dziwne poczucie wewnętrznego spokoju wydało się Staszce nienaturalne. Jednak mały Lucas, po krótkiej poprawie stanu zdrowia, zaczął coraz częściej łąpać się za brzuch, kulić z bólu i jęczeć.

– Zmarł niedaleko stąd, w Lunéville – głos Brunona Boissa przebił się przez myśli Staszka.

Na moment pozwolił sobie zamknąć powieki, a wyobraźnia zarysowała przed jego oczami obraz Lucasa, który po tym, jak Zaniewski podczas jednego z odpoczynków postawił go na ziemi, padł na plecy, półprzytomny z bólu.

Staszek dotknął głowy malca i stwierdził, że gorączka wzrosła jeszcze bardziej. Zaczął obawiać się, że chłopak nie dożyje następnego dnia.

Od Forbachu, dokąd skierował ich napotkany po przekroczeniu granicy człowiek, zapewniając, iż znajdą tam szpital, dzieliło ich jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów. Ruch na wąskich drogach, którymi szli, był minimalny, minęły ich zaledwie dwa samochody. Żaden z kierowców nawet nie pomyślał o tym, by zatrzymać się przy dwójce ludzi wyglądających na włóczęgów oraz dziecku, które sprawiało wrażenie, jakby odeszło już na tamten świat.

Mały Lucas umarł tego samego dnia, wieczorem, kiedy zatrzymali się przy stogu siana, na rozległych polach, które niczym nie różniły się od widoków, do których przywykli, przemierzając zachodnią Polskę.

Przed śmiercią, chłopak popatrzył na Staszka i Marię, wydając z siebie tylko cichy pomruk. Zaniewski musiał przystawić ucho do jego ust, by zrozumieć, co stara się powiedzieć.

– Dziękuję – udało mu się usłyszeć. Położył rękę na klatce piersiowej Lucasa i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Za co?

– Że mnie stamtąd zabraliście.

– Wytrzymaj jeszcze trochę, młody. Szpital jest już niedaleko – powiedział Polak, wiedząc, że tyfus brzuszny zostanie bez trudności wyleczony antybiotykiem w jakiegokolwiek cywilizowanej placówce medycznej.

– Opowiedz mi bajkę – odparł cicho Lucas, patrząc na Staszka błagalnym wzrokiem.

– Nie znam żadnej. Przykro mi – powiedział, jednocześnie panicznie poszukując w umyśle czegokolwiek, co mógłby opowiedzieć. Widział, jak iskra życia gaśnie w oczach malca, nie mógł jednak przypomnieć sobie niczego, co nadawałoby się jako opowieść dla dzieci. Ze smutkiem obrócił głowę i zaklął w duchu.

– Mama mi opowie, ona zna wiele bajek...

Staszek podniósł chłopaka i, siedząc na sianie, przytulił. Maria głaskała po włosach malca, kiedy uchodziło z niego życie.

Pochowali Lucasa w gęstym lesie na północ od nadgranicznej miejscowości Carling. Postanowili zapamiętać to miejsce i wrócić tutaj pewnego dnia. Prawie siedem godzin zajęło im przygotowanie miejsca pochówku. Staszekowi udało się sklecić porządną krzyż z drewna. Twardymi patykami wykopali w miękkiej ziemi dość głęboki dół i ułożyli w nim chłopca. Skrzyżowali Lucasowi ręce na piersi, po czym wspólnie zasypali grób.

Siedzieli pod grobem Lucasa do późnej nocy. Skonstruowali lichy płótek, którym otoczyli miejsce wiecznego spoczynku chłopca. O krzyż zrobiony przez Staszka oparli tabliczkę z wydrapanymi koślawymi literami, stanowiącymi jego epitafium.

W środku nocy ruszyli na północ, a nad ranem dotarli do przyzwoitej drogi. Tym razem mieli szczęście – zdołali przekonać chłopca jadącego furmanką, by podwiózł ich do Louvigny. Tak trafili do miasteczka, skąd na piechotę poszli do niewielkiego dworku, który był własnością rodziny Boissów.

**OKOLICE PUTYWŁA, ZSRR,
POCZĄTEK LISTOPADA 1939 ROKU**

Mgła przed oczami, dziwne uczucie bezwładności i gorąco, jakie poczuł na całym ciele, uświadomiły mu, że nabiera zbyt szybkie i duże hausty świeżego powietrza. Odchylił się do tyłu i ręką przejechał po szparze. Popęłniał ten błąd dosyć często.

Powietrze w wagonie było bogate chyba we wszystko prócz tlenu. Jeśli ktokolwiek z nielicznych ludzi, którzy mieli jeszcze siły wstać i podejść do szpary, zbyt szybko zaciągnął się pochodzącymi z zewnątrz podmuchami wolności, ulegał hiperwentylacji.

Bronek uspokoił oddech i poczuł mrowienie w okolicach karku. Wrócił myślami do tego dnia, w którym jego życie skreśliło na równię pochyłą. A raczej sam je tam skierował. Z perspektywy czasu wydawało mu się to tak łatwe do uniknięcia, że nie potrafił zrozumieć, jak zdołał zniszczyć całą budowlę, którą wspólnie z Anielą wzniesli.

Przyjechał na przepustkę do Baranowicz wraz z Maniurą, który po drodze raz po raz odgrażał się, że jeżeli nie zostanie jego świadkiem, zawróci do gospodarstwa rodziców pod Beresteczkiem. Zaniewski nie sądził, że tak mocno związany z rodziną Maniura w ogóle zdecyduje się poświęcić dni urlopu na podróż z nim do narzeczonej, ale z radością przyjął propozycję.

Wówczas od daty, gdy Aniela Błahoś miała stać się Anielą Zaniewską, dzielił ich już tylko miesiąc.

– To może ojciec chrzestny któregoś z bękartów? – spytał Maniura, kiedy Bronek oświadczył, że nie ma możliwości, by jego towarzysz broni zajął miejsce Staszka jako świadek.

– Jakich znowu... Pocięło cię?!

– Czyli chce mieć jedno, ja rozumiem. Mnie to wszystko obojętne.

– Jakie jedno, Maniura? Nie ma mowy o żadnym dziecku!

– Teraz tak mówi – odparł Wacek, po czym przyjął swój najmądrzejszy wyraz twarzy i, marszcząc czoło, popatrzył na krajobraz widoczny zza okna pociągu. Był z siebie wyraźnie zadowolony.

– Prędzej ty znajdziesz jakąś kobietę, ohydny skurczybyku, zanim ja zostanę ojcem – powiedział Bronek z uśmiechem.

Kiedy dotarli do Baranowicz, okazało się, że w „Szai” mają tego wieczoru komplet i mimo starań Anieli nie mogli znaleźć wolnego stolika. Co gorsza, szef narzeczonej tym razem nie zgodził się, by wcześniej zakończyła pracę. W efekcie Bronek i Maniura mieli do wyboru spędzić wieczór gdzie indziej lub poczekać na Anielę w jej domu, gdzie mieli zapewniony nocleg. Nie namyślając się długo, wybrali pierwszą możliwość.

Przechadzali się po Baranowiczach i w końcu wybrali kasyno na całkiem eleganckiej ulicy Szeptyckiego, która niedawno została pokryta porządnie wyglądającą kostką. Stacjonując tutaj podczas szkolenia, podkomendni Obelta często bywali w tych rejonach miasta, więc Bronek z Maniurą dobrze wiedzieli, że tuż obok kasyna jest kinematograf „Longinus” oraz księgarnia „Kresówka”, do której często zaglądał dowódca „Kompanii Bełtowej”.

W kasynie spotkali wielu znajomych z czasu pobytu w Baranowiczach. Była to doskonała

okazja do odświeżenia wspomnień i opowiedzenia kolegom, jak wygląda życie żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza. Przy okazji Maniura i Broniek, zanim się zorientowali, opróżnili już tyle butelek wódki, że nie byli w stanie składnie formułować zdań. Jakoś jednak zdołali przepuścić znaczną sumę w ruletkę. W ten sposób fundusz przeznaczony na część wydatków weselnych znacznie się uszczuplił.

Zaniewski nie pamiętał dlaczego, ale wiedział, że wyszedł z jedną z dziewczyn obsługujących gości kasyna. Wacek relacjonował mu później, że w przypiływie pijackiej bezmyślności sam go do tego namówił, licząc na to, że kelnerka weźmie ze sobą koleżankę, do której Maniura przez cały wieczór starał się zalotnie uśmiechać. Ta wprawdzie wyszła z nimi, jednak szybko się ulotniła, widząc, że przypadł jej niski i pulchny żołnierz o mało atrakcyjnych rysach twarzy. Po pewnym czasie Broniek został sam na sam z dziewczyną, a jego kompan zasnął na rynku. Rankiem znaleźli go żołnierze z Korpusu Ochrony Pogranicza, którzy obsługiwali tutejszy punkt gołębi pocztowych. Zaniewskiego nie namierzono. Obudził się około południa, zupełnie goły, nieopodal Jeziora Żłobińskiego.

Wieść o dwójce żołnierzy KOP-u, którzy na przepustce urządzili nieziemską zabawę, dotarła do kapitana Obelta, zanim przyjaciele zdążyli wrócić do kompanii. Jeszcze szybciej tragiczną w skutkach wiedzę posiadała Aniela.

Już w trakcie feralnego wieczoru docierały do niej informacje, że dwójka przyjezdnych żołnierzy bawi się w kasynie w najlepsze, przepuszczając spore sumy. Ubłagała Janusza, właściciela „Szai”, by wcześniej wypuścił ją z pracy, po czym pobiegła do przybytku, gdzie miał urzędować narzeczony. Po Bronku nie było już śladu. Kilku żołnierzy twierdziło, że pijany jak szerszeń opuścił kasyno z dziewczyną, która była dobrą znajomą Anieli z lat dzieciństwa, nie utrzymywały jednak kontaktu od czasu poważnej kłótni.

Kiedy po południu narzeczony dotarł wreszcie do domu Anieli, zastał tam ledwo żywego Maniurę, któremu gospodyni przygotowała zimny okład. Przyciskał go mocno do czoła, a krople lodowatej wody spływały mu w dół twarzy. Wyglądał jak siedem nieszczęść.

Broniek do końca życia nie zapomniął momentu, gdy z pokoju Anieli na piętrze wyłonił się jej ojciec, po czym powoli zszedł schodami do żołnierzy Korpusu. Oświadczył, że nie są mile widziani w jego domu, po czym odprowadził ich do drzwi.

Następny dzień – ostatni ich przepustki – Zaniewski spędził, próbując uprosić ojca Anieli o możliwość zobaczenia się z nią. Wszelkie próby spotykały się jednak ze stanowczą odmową i oświadczeniem, że córka nie chce go znać.

– Czyli jednak nie będę tym świadkiem – powiedział Wacek, gdy wracali pociągiem do jednostki.

Broniek popadł w marazm, który trwał przez cały następny miesiąc.

Przywołując te wspomnienia w bydlęcym wagonie, wciągnął głęboko powietrze. Jego płuca przyzwyczały się już do świeżego powietrza, nadal jednak źle widział, a dotykając swoich powiek stwierdził, że są jedynie w połowie otwarte. „Raczej w połowie zamknięte” – poprawił się w myślach.

Stwierdził, że zasłużył sobie na taki los. Wolał zresztą jechać tym przeklętym pociągiem, gdzie nieludzko stłoczeni ludzie, którzy niegdyś byli porządnymi żołnierzami, zamieniali się w kanibali, niż powtórzyć tamtą podróż powrotną z Baranowicz. Miał wtedy ochotę wyskoczyć przez okno wagonu i przywalić łbem w pierwszy lepszy słup przy torach.

Miesiąc później udało mu się dostać kolejną przepustkę i tym razem pojechał do Baranowicz sam. W domu Błahosiów pocałował klamkę, a kiedy tylko wszedł do „Szai”, jej właściciel, Janusz, spiorunował go wzrokiem. Broniek doskonale zdawał sobie sprawę, że całe Baranowicze trąbią o jego wyskoku. Afera nie mogła przejść bez echa, bo ślub z Anielą miał się odbyć z pompą, był długo zapowiadany, a do tego swoją obecność zapowiedziało wielu gości z Warszawy. Wszyscy w miasteczku bez wątpienia zostali już poinformowani przez rodzinę Anieli, z czyjej winy nie dojdzie do małżeństwa.

Od tamtej pory minęły dwa lata, a on ani razu nie wrócił do Baranowicz, choć w myślach jeździł tam prawie każdego dnia. Nawet gdy spędzał święta w Warszawie i spotykał atrakcyjne kobiety. Tak naprawdę żadną nie interesował się dłużej niż przez jeden wieczór.

Wysłał Anieli osiem listów, ale była narzeczona nie raczyła odpowiedzieć na żaden z nich.

Teraz, przemierzając kolejne kilometry na drodze śmierci, żałował, że nie próbował do skutku naprawić sytuacji, choćby siłą wyważając drzwi domu Błahosiów.

Oparł się o ścianę wagonu i popatrzył na chorążego. Doskonale zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie ten żywił wobec jego niedosłej żony. Pewnego razu rozmawiał nawet z nią o tym, ale zapewniła go, że Chwieduszek nigdy nie wykazał większej determinacji w smaleniu do niej cholewek.

Kiedy teraz patrzył na niego, nie mógł uwierzyć, że aż tak zmieniły się ich stosunki. Wspólne przeżycia i balansowanie na granicy śmierci sprawiły, że byłby gotów bez chwili zastanowienia ryzykować życie w obronie człowieka, którego uznawał za przyjaciela.

– Zatrzymaliśmy się, drodzy panowie – usłyszał cichy głos Kremmera.

Broniek otworzył szerzej oczy i zaczął nasłuchiwać odgłosów z zewnątrz. Nie odczuł wcześniej, że pociąg zwalnia, ale teraz z całą pewnością mógł stwierdzić, że nie słyszy stukotu, który towarzyszył im nieprzerwanie od wielu dni i stał się czymś tak normalnym, że dawno przestał na niego zwracać uwagę. Kiedy nastała cisza, wydawała się Bronkowi zupełnie nienaturalna. Po chwili usłyszał, jak ktoś odciąga rygiel, który oddzielał ich od realnego świata. Szerokie drzwi z hukiem się rozsunęły, a pozostali przy życiu żołnierze cofnęli się w głąb wagonu jak przestraszone zwierzęta.

Promienie słońca oślepiły sierżanta. Zasłonił oczy rękoma, jednocześnie próbując dojrzeć, co znajduje się na zewnątrz.

CHEMNITZ, RZESZA, POCZĄTEK LISTOPADA 1939 ROKU

Marvin, korzystając z tego, że zmęczeni długą jazdą, zdecydowali się przeznaczyć cały dzień na odpoczynek, postanowił skontaktować się z Raphaelem. Z terytorium Rzeszy było to kłopotliwe, gdyż rozmowy międzynarodowe budziły na poczcie podejrzenia, o ile w ogóle były realizowane. W Rawitschu, a wcześniej w okolicach Petrikau było to łatwiejsze, bo podstawiony agent umożliwiał mu bezpośredni kontakt. Teraz jednak, w sercu Rzeszy, Rodemeyer był zdany wyłącznie na siebie, bo nie miał pojęcia, czy jego siatka wywiadowcza sięga tak daleko.

Po odwiedzeniu kilku wątpliwych pod względem moralności ulic i przepytaniu kręcących się tam ludzi stracił nadzieję na to, że w sercu Rzeszy istnieje jakikolwiek przejaw zakazanej działalności, o którym nie wie władza. Szczegóły zachowywał dla siebie, rozpytując jedynie o ludzi, którzy „potrafią załatwić pewne rzeczy” – tacy znajdowali się w każdym mieście.

Poznań, Warszawa, Berlin czy Chemnitz, wszędzie w końcu trafiało się na szemrane towarzystwo. Normalnie Rodemeyer omijał ich szerokim łukiem, ale teraz niezbędne było ich namierzenie.

Późnym popołudniem, kiedy słońce chowało się za dachami domów, znalazł wreszcie człowieka, który mógł udostępnić mu linię i zapewniał, że jest ona bezpieczna. Niestety, kosztowało go to wszystkie marki, jakie miał w zanadrzu. Usiadł w niewielkiej piwnicy, a może raczej składziku, po czym gospodarz podłączył wszystkie urządzenia i Rodemeyer mógł wreszcie zameldować o tym, co się z nim dzieje.

- Rhodes – wypowiedział swój kryptonim z nienagannym brytyjskim akcentem.
- Wreszcie! Co się, do cholery, z tobą dzieje? – odparł ktoś schrypniętym głosem.
- Jestem w towarzystwie oficera SS.
- To niecodzienny zwrot. To ktoś z kierownictwa?
- Póki co – nie.
- Gdzie się znajdujesz?
- Chemnitz.
- Gdzie to, do cholery, jest?
- W centralnej Rzeszy.
- Mam nadzieję, że wiesz co robisz, Rhodes. Nie mamy tam nikogo.
- Zdążyłem zauważyć.
- W jakim celu tam przebywałeś? – włączył się ktoś mówiący poważniejszym głosem.

Raphael Alberts. W komórce wywiadu brytyjskiego, MI6, w której pracował Rodemeyer, wszyscy czuli respekt przed Albertsem. Był siwym, zasadniczym człowiekiem, który zazwyczaj emanował chłodem *à la* Leitner. Marvin poczuł się lepiej, słysząc jego głos, gdyż większość szpiegów – mimo dystansu, jaki szef próbował zachowywać – postrzegało go jako dobrego wujka. Rodemeyer przypomniał sobie kryptonim, jaki został nadany Christianowi Leitnerowi, po czym odparł:

- Podążam za Aegeanem. Został przeniesiony do SS. To nadal moje jedyne dojsście.
- Dobrze. Bądź ostrożny, Abwehra węszy. Niemcy wiedzą, że gdzieś jest kret, ale póki co, szukają na wyższych szczeblach.
- Rozumiem.
- Uważaj na siebie – powtórzył przełożony.
- Dziękuję, *sir* – odparł Rodemeyer i pokrzepiony dźwiękiem brytyjskich głosów, zapłacił człowiekowi, dzięki któremu mógł skontaktować się z przełożonymi, po czym wrócił do hotelu, gdzie wraz z towarzyszami miał spędzić noc.

Przez ostatnie kilka tygodni niemalże przestał czuć się jak szpieg. Wcześniej wydawało mu się, że z każdym kolejnym zdaniem, pytaniem czy bardziej przenikliwym spojrzeniem zdradza się przed kolegami z Wehrmachtu. Początkowo zaciągnął się do wojska po to, by chronić rodzinę przed podejrzeniami o sympatyzowanie z Żydami, szybko jednak jego motywacje uległy zmianie.

Przez ojca skontaktował się z nim pewien Brytyjczyk. Dobrze znał ich rodzinę i wiedział, że są Żydami, co zapewne brytyjskie MI6 potraktowało jako świetną okazję do nawiązania współpracy. W głowie Rodemeyera, na długo po spotkaniu z Anglikiem, odbijały się echem jego

słowa:

– Któż będzie lepszym szpiegiem, niż zakamuflowany Żyd w Wehrmachcie?

Po pewnym czasie okazało się, że była to ironia – czy też, jak twierdził sam autor tych słów, specyficzne wyspiarskie poczucie humoru.

Jego rola wywiadowcza nie była wielka, miał zbierać wszelkie możliwe informacje o ruchach wojsk, planach przełożonych i tak dalej. Marvin i jego ojciec przypuszczali, że MI6 traktuje go jako „lokatę długoterminową” i czeka, aż awansuje, bo tylko wtedy mógłby dostarczać informacji naprawdę istotnych dla Wielkiej Brytanii.

Kiedy podczas wycofywania się po bitwie nad Bzurą spotkał Christiana Leitnera, dostrzegł niebywałą okazję, by w szybkim czasie stać się dla MI6 cennym agentem. Sytuacja stała się jeszcze lepsza, gdy przyjaciel – z niejasnych przyczyn – został przeniesiony do SS, zaufanej formacji Hitlera. Teraz Marvin mógł liczyć na pozyskiwanie naprawdę cennych informacji.

Rodemeyer nigdy nie zamierzał wciągać Leitnera w swoją grę wywiadowczą, a jedynie użyć go jako trampoliny do szybszej kariery wojskowej. Wiedział, że Christian ma odpowiednie znajomości i umiejętności, by samemu w szybkim tempie wspiąć się wyżej, przy okazji jego ciągnąc za sobą. Kiedy jednak Leitner stał się przedmiotem zainteresowania MI6, Rodemeyer zaczął zastanawiać się, czy nie powinien wycofać się z jego otoczenia, by chronić przyjaciela. Raphael Alberts zapewnił jednak, że traktują go wyłącznie jako źródło informacji i nic mu nie grozi.

Po ośmiu godzinach niczym niezmaconego snu Leitner obudził się w swoim pokoju hotelowym. Przeciągnął się, po czym energicznie zeskoczył z łóżka. Po porannej toalecie zrobił trzydzieści pompek, po czym sześćdziesiąt brzuszaków i czterdzieści przysiadów. Ubrał się i popatrzył na siebie w lustrze, uśmiechając się lekko. Omiótł wzrokiem mundur, by sprawdzić, czy jest w perfekcyjnym stanie. Dzięki jego pedantycznym wysiłkom nie było widać żadnych efektów niedawnej szarpaniny z Torstenem. Skrzywił się, myśląc o tym, że jeszcze nie tak dawno temu z dumą nosił mundur kapitana Wehrmachtu, a teraz ma na sobie uniform organizacji, której do wojska wiele brakuje. A ponadto został zdegradowany...

Wyjechali z Chemnitz jeszcze przed południem. Rodemeyer przeżywał ciężkie chwile na tylnym siedzeniu, bo od Blankenburga aż zionęło smrodem jakiegoś trunku niezbyt dobrej jakości. Po chwili Marvin stwierdził, że musi to być raczej mieszanka podłych alkoholi. Holzer co pewien czas odchyłał głowę do tyłu i głośno bekał, nie przejmując się towarzyszami podróży.

– Coś wam nie pasuje, niemieckie kundle? – spytał w końcu niewyraźnym głosem.

Po dłuższej chwili odezwał się Marvin, który miał ochotę wyrzucić bandytę przez okno.

– A ty Niemcem nie jesteś, idioto?

– Jestem. Ale... nie, kurwa, kundlem.

Rodemeyer popatrzył na Leitnera i prowadzącego samochód Karla, do których albo nie docierały słowa pijanego Holzera, albo do perfekcji opanowali zdolność udawania, że ten nie istnieje.

– A wy jesteście – dodał Holzer z uśmiechem i oparł głowę o szybę. Zamknął oczy i zapadł w pijacki sen.

– Daleko jeszcze do granicy francuskiej? – Christian spytał Kalbrennera, w skupieniu

prowadzącego opła po autostradzie, która wyłożona była dobrze połączonymi betonowymi płytami, dzięki czemu jazda przebiegała komfortowo. Leitner pomyślał, że drogi tego rodzaju, zwane oficjalnie Reichsautobahn, były jedną z wielu zasług Hitlera dla rozwoju kraju. Kiedy władze niemieckie zdecydowały się na ich budowę, dały pracę całym rzeszom bezrobotnych ludzi. To była jedna z metod Führera na przełamanie kryzysu gospodarczego. Skuteczna zresztą, jak z zadowoleniem stwierdził oficer.

Nie mieli okazji jechać autostradą dłużej, gdyż kończyła się w okolicach Plauen. Wódz Rzeszy kładł największy nacisk na to, by w pierwszej kolejności budować długie odcinki autostrad na zachodzie, gdzie zostały wykorzystane do transportu wojsk z tamtych rejonów w kierunku Polski.

Zjechali na drogę numer sto siedemdziesiąt trzy, która – przechodząc potem w dwudziestkę dwójkę i ósemkę – miała doprowadzić ich do Frankfurtu. Leitner nieustannie wbijał wzrok w krajobraz za oknem.

– Około trzystu kilometrów, *Herr Obersturmführer* – odpowiedział kierowca.

Christian westchnął i uchylił okno, gdyż zapach gorzelnii, w której rozpanoszyła się pleśń, stał się nie do wytrzymania. Rodemeyer skorzystał z okazji, że Blankenburg śpi, i wysunął głowę między przednie siedzenia, po czym powiedział:

– Podróż w towarzystwie tego klozarda to tortura. – Nieznacznie odgiął głowę w stronę Holzera, po czym kontynuował: – Ale jeszcze większą jest dla mnie próba wymyślenia, jak przedrzemy się do Francji.

– Masz na myśli przejście Linii Maginota?

– Nie, Christian, świętego Mikołaja, który stoi na granicy francuskiej i pilnuje, czy żaden niemiecki żołnierz nie urządził sobie przechadzki na ich terytorium z workiem prezentów.

– Twoje poczucie humoru jest powalające, Marvin.

– Wiesz, co mam na myśli. Pistolety maszynowe, broń artyleryjska i wielu Francuzów, którzy są gotowi strzelać do ludzi w niemieckich mundurach.

– Gdyby byli gotowi, strzelaliby od pierwszego września.

Rodemeyer zamyślony popatrzył na długi, prosty odcinek szosy przed nimi, po czym pokiwał głową. Leitner kontynuował:

– Odcinek Linii, na którym możemy przekroczyć granicę, ma aż sto dwadzieścia kilometrów długości. Nie wszędzie są posterunki straży. Znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli niepostrzeżenie się przemknąć.

– Jesteś nad wyraz pewny siebie. Choć powinienem się do tego przyzwyczać.

– Ciszej tam, kurwa – wtrącił zbudzony ze snu Holzer, nie otwierając oczu.

Christian zignorował go i mówił dalej:

– Te fortyfikacje są zaprojektowane tak, by nie mogła ich pokonać armia. Ale czwórka ludzi nie powinna mieć z tym wielkich problemów.

LOUVIGNY, FRANCJA, POCZĄTEK LISTOPADA 1939 ROKU

– Stan, nie smakuje ci? – Staszka wyrwał z zamyślenia miękki głos Elisy, który kojarzył mu się z przyjemnym uczuciem, kiedy kawałek słodkiej czekolady rozpływa się na podniebieniu.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym dziwnym skojarzeniem, po czym odparł:

– Bardzo dobre. Tylko, jak zwykle, nie mogę dopasować swojego jedzenia do waszego tempa.

W tym samym czasie Bruno Boiss, jako głowa rodziny, dolał wszystkim destylowanej przez siebie bardzo mocnej *eau de vie*, pędzonej na zebranych w rodzinnym sadzie żółtych mirabelkach.

Jego córka uśmiechnęła się do dwójki Polaków, przypominając sobie rozmowę przeprowadzoną z nimi niedługo po ich przybyciu do Louvigny. Pierwszego wieczoru, kiedy zasiedli do stołu i zaczęli opowiadać o podróży, pochłonęli posiłek przygotowany przez Louise w dziesięć minut. Rodzina Boissów patrzyła na nich niemalże z przerażeniem, jak gdyby spotkali dwójkę wygłodzonych dzikusów. Kiedy młodzi narzeczeni skończyli, zreflektowali się, że domownicy dopiero napoczęli swój posiłek.

Tego samego wieczoru, tuż po kolacji, Louise wręczyła Marii dwa listy, które dotarły do Louvigny w połowie października. Adresowane były do Louise Herenstadt-Boiss, ale po ich otwarciu okazało się, że jedna z kopert zawiera kilkakrotnie złożoną kartkę z imieniem Staszka. To był list od jego matki, Róży. Drugi nadszedł od matki Marii – po ogólnikowych pozdrowieniach poinformowała, że wraz z siostrami obawiają się wywózki, bo kilkoro ich znajomych już zabrano. Mimo że list był napisany wyważonymi słowami, to gdzieś spoza nich przebijało przerażenie. Rodzina Marii przypuszczała, że ludzie wywożeni są gdzieś do Rzeszy na przymusowe roboty, nikt jednak nie miał pewnych informacji.

Staszek położył list od Róży na stole i długo na niego patrzył, zanim zdecydował się otworzyć. Każde kolejne zdanie czytał z wzbierającym gniewem, któremu towarzyszył jeszcze większy smutek. Stwierdził bez najmniejszych wątpliwości, że ledwo zauważalne plamy na kartce papieru są śladami po łzach matki.

„Kochany Stasiu,

mam nadzieję, że dotarliście bezpiecznie do Francji i jesteście teraz daleko od zawieruchy wojennej. Nie wiem, czy ten list trafi do Waszych rąk, ale muszę być dobrej myśli.

Szłam dziś Marszałkowską i, jak zawsze, zatrzymałam się przy słupach, na których Niemcy umieszczają ogłoszenia. Między nimi, znalazłam listę rozstrzelanych w dniu poprzednim.

Synku, figurowało na nim nazwisko ojca. Niemcy przy każdym rozstrzelanym podają powód, a jego oskarżyli o „znieważanie żołnierzy niemieckich oraz posiadanie broni”. Dotarły do mnie informacje, że wcześniej trzymali go w więzieniu na Pawiaku i męczyli”.

Zaniewski schował twarz w dłoniach. Maria podeszła, wyszeptając mu coś do ucha, po czym ten pokiwał głową. Stała za nim i dalszy ciąg czytali razem.

„Warszawa jest w opłakanym stanie. Masa budynków zrównana z ziemią. Niemcy urządzają masowe egzekucje, ale o tym już nie piszą na plakatach. Cieszę się, synku, że wyjechałeś, bo tutaj nie ma już życia. Nie ma nadziei.

Pod koniec września niemieckie samoloty urządziły nam rzeź. Podobno zginęło kilkanaście tysięcy ludzi w przeciągu kilku minut. Nie mieliśmy prądu, bo bomby spadły też

na elektrownię. Wcześniej pociski armatnie huczały w okolicach Zamku Królewskiego.

W szpitalu, w którym miałeś pracować, wywiesili flagi Czerwonego Krzyża, żeby ich nie bombardowano. Następnego dnia Niemcy zrzucili bomby dokładnie na szpital. Ludzie uciekali, a ci odważniejsi w panice ściągali oznaczenia Czerwonego Krzyża. Dziękuję Bogu, że wyjechaliście. Gdybyś tam wtedy był, nie wiadomo, co by się z Tobą stało.

Samoloty latały nad nami przez długi czas. Zrzucały bomby nawet na cmentarze, nie wiem dlaczego. Najgorsi byli ci, którzy latali nisko. Robili to chyba tylko po to, żeby móc trafić z karabinów do ludzi na ulicach. Siedziałam w domu i czekałam na ojca, bałam się wychodzić na zewnątrz.

Synku, często zastanawiam się, czy oni są ludźmi? Jak można tak, z zimną krwią, mordować niewinnych cywilów?

Proszę, odnajdź Bronka, jeśli Ci się uda. Razem sobie poradzicie.

Przełącz moje najlepsze życzenia Marii i Jej rodzinie.

Całuję,

Mama”

Kiedy Staszek odłożył kartkę, zgiął ją w ten sam sposób, w który uczyniła to jego matka, po czym schował do koperty i włożył do kieszeni koszuli. Położył na niej dłoń i opuścił głowę, siedząc przez chwilę bez słowa. Kiedy mógł już zebrać myśli, po francusku zrelacjonował doniesienia z Warszawy. Boissowie byli przerażeni. Elisa w pewnym momencie nie mogła dalej słuchać tej relacji i wyszła z pokoju. Emphrem nie wyglądał na zaskoczonego, za to Bruno i Louise słuchali relacji z otwartymi ustami. Tego wieczoru nikt nie prowadził przy stole już żadnych rozmów na inny temat.

– Dlaczego nie bombardowali pozycji wojskowych? – spytał Emphrem.

Staszek powoli podniósł głowę i utkwiał wzrok w suficie.

– Widzisz, synu, Niemcy to barbarzyńcy, którzy tylko udają ludzi cywilizowanych. Chcieli złamać morale miasta, by szybciej się poddało – zawyrokował Bruno Boiss, po czym odnotował, że narzeczony Marii nie ma ochoty rozmawiać na ten temat. Pospiesznie zakończył wymianę zdań z synem i zaproponował, by udać się na papierosa przed dom. Chętniej zakopciłby przy stole, jak robili to normalni ludzie, ale wolał nie rozsierdzać Louise, która nie tolerowała dymu.

Usiadł obok Staszka na werandzie i poczęstował papierosem marki Gauloises.

– Stan, jak przeszliście granicę? – spytał go, chcąc zająć chłopaka rozmową i odciągnąć jego myśli od masakry polskiego narodu, która odbywała się ponad tysiąc kilometrów dalej. Do tej pory nie zająknęli się nawet na temat samego przekroczenia granicy, zaś Bruno nie pytał, sądząc, że wspomnienia mogą się wiązać z czymś nieprzyjemnym, stąd ich milczenie. Teraz jednak doszedł do wniosku, że rozmowa na jakikolwiek temat będzie lepsza aniżeli pozostawianie Staszka sam na sam z jego myślami.

Polak już w pierwszej chwili zrobił na nim bardzo pozytywne wrażenie. Nie był typem głupiego młodzieńca, jakich było we Francji, a zapewne też w Polsce, na pęczki. Chodził dumnym i pewnym krokiem, robił wrażenie opanowanego człowieka, który ma coś w głowie. Gospodarz polubił go od razu, a teraz, gdy chłopak otrzymał smutne wieści, poczuł do niego jeszcze większą sympatię i chciał mu pomóc, choć nie wiedział jak.

Staszek zaciągnął się gauloisem, po czym się skrzywił. Nie przywykł do dziwnego smaku, jaki

miały te papierosy. Wiedział tylko, że Francuzi nazywają je „brunatnymi” z racji zawartości ciemnego tytoniu z Bliskiego Wschodu.

– Chodziliśmy wzdłuż waszych umocnień, aż znaleźliśmy zapory przeciwczołgowe.

– Przeciwczołgowe, mówisz? – zapytał Bruno, mrużąc oczy i zaciągając się głęboko, dając do zrozumienia Staszce, że to naprawdę są bardzo dobre papierosy.

– Tak. W większości miejsc, do których dotarliśmy, były to szerokie rowy, dość głębokie, w które wetknięte były pionowe szyny. Prawie wszędzie połączono je drutem kolczastym i sporo czasu zajęło nam znalezienie miejsca, w którym moglibyśmy przejść.

– Robiły wrażenie? Nasze zapory?

– Z pewnością. Popracujecie nad nimi jeszcze trochę, to może zdezonizujecie Wielki Mur w Chinach.

– Może, może. Żałuję, że twój kraj nie miał takich umocnień.

Staszek popatrzył na niego ostrym wzrokiem, a Bruno zorientował się, że jego uwaga, jakkolwiek nie niosła za sobą negatywnego wydźwięku, była niepotrzebna.

– Panie Boiss, proszę mnie źle nie zrozumieć. Umocnienia są imponujące, ale nic nie zatrzyma niemieckiej szarańczy.

Ojciec Elisy i Emphrema pokiwał ze zrozumieniem głową, choć w duchu myślał o tym, że trzy miliardy franków wydane na Linie Maginota z całą pewnością nie zostały wyrzucone w błoto. Umocnienia zapewnią im bezpieczeństwo przed Hitlerem.

Teraz Elisa badawczym wzrokiem spoglądała na talerz Staszka, na którym ostało się więcej wątróbki w konfiturach z mirabelek, niż wypadało zostawić. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, po czym zapytała:

– Skończyłeś, Stan?

– Jestem już pełny – odparł, a dziewczyna zabrała talerz, po czym posprzątała ze stołu.

– Gotowi, żeby jutro zobaczyć Metz? – zapytała Louise po polsku, nieznacznie kalecząc wymowę.

– Z chęcią. Od dawna nie odwiedziliśmy miasta, w którym nie musielibyśmy się ukrywać – odparła Maria.

Zgodnie z planem, Emphrem wraz z siostrą mieli zabrać ich następnego dnia do oddalonego o parędziesiąt kilometrów Metz. Głowa rodziny, Bruno Boiss, w przypływie sympatii dla Staszka zaproponował, że pożyczy im na tę wycieczkę swój samochód, zgnięzionego peugeota 402. Co więcej, powiedział, że Staszek może zasiąść za jego kierownicą. Louise otworzyła oczy szeroko ze zdumienia i położyła dłonie na biodrach, sygnalizując wszystkim wokół, że mąż nigdy nie pokusił się o takowy gest w jej stronę, mimo że od wielu lat miała prawo jazdy.

PUTYWL, ZSRR, POCZĄTEK LISTOPADA 1939 ROKU

– Wysiadać pojedynczo na szczenie i sranie – powiedział jeden z żołnierzy Armii Czerwonej, którzy ustawili się w rzędzie, celując z karabinów w stłoczonych w wagonie ludzi. Znaczna część Rosjan, którzy mieli pilnować, by jeńcy nie uciekli podczas postoju pociągu w punkcie przeładunkowym w Putywlu, cofnęła się machinalnie, gdy drzwi się otworzyły. W ich nozdrza

uderzyła fala smrodu.

– Pojedynczo! – krzyknął inny żołnierz, po czym poinstruował jeńców, że w przypadku, jeśli któryś zdecyduje się wyjść, zanim do wagonu wróci jego poprzednik, dostanie kulę w łeb.

Bronek zrozumiał większość z tego, co mówili Rosjanie, po czym przetłumaczył to reszcie zgromadzonych w wagonie. Większość nie zareagowała, byli ogarnięci zupełną rezygnacją.

Jeszcze tydzień temu możliwość załatwienia się poza wagonem byłaby tak kusząca, iż spowodowałaby zamieszanie i masowy napór ku wyjściu. Na tym etapie jednak wszyscy przyzwyczaili się do załatwiania czynności fizjologicznych na podłogę wagonu.

Zaniewski z Chwieduszką wzięli Kremmera pod rękę i poprowadzili do wyjścia z wagonu.

– Dziękuję, szanowni panowie. Doprawdy, nie pamiętam już, jak to jest móc załatwić się w prywatności.

Zarówno on, jak i dwójka prowadzących go polskich żołnierzy z trudem otwierali oczy. Nadal nie mogli przyzwyczać się do światła słonecznego.

Jeden z czerwonoarmistów kiwnął na Kremmera. Ten z trudem zszedł z wagonu i został poprowadzony dwa metry dalej.

– *Ssat ili diermo?* – odezwał się prowadzący go żołnierz. Co chwilę obracał głowę, gdyż nie mógł ścierpieć bijącego od staruszka smrodu.

– Słucham? Niestety, ja nie panimaju w pańskim języku – odparł ziemianin.

– Pyta, czy szanowny pan Kremmer raczy załatwić sprawę mniejszej czy większej wagi – krzyknął za nim Bronek, a kilku żołnierzy stłoczonych w wagonie cicho się roześmiało. Chwieduszek popatrzył na towarzysza, po czym powiedział:

– Poprawia ci się, Zaniewski.

Wracając, staruszek przeraził się, gdy zajrzał do wagonu. Wprawdzie codziennie widział ten obraz nędzy i rozpacz, teraz jednak, gdy mógł popatrzeć na jeńców z zewnątrz i w dziennym świetle, nie wierzył w to, co widział. Wyglądali gorzej niż zwierzęta zamrożone głodem i trzymane przez całe życie w brudnej oborze.

Popatrzył na wychudzoną, pokrytą gęstą brodą twarz Bronka, który uśmiechnął się i oświadczył, że teraz jego kolej. Kiedy Zaniewski oddalił się od wagonu z eskortującym go żołnierzem, postanowił zaryzykować i dowiedzieć się co nieco:

– Jak długo tu zostaniemy? – zapytał, posługując się niezbyt dobrym rosyjskim, ale żołnierz nie miał trudności ze zrozumieniem.

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Może coś słyszałeś. Widzisz, co się z nami dzieje.

– Nic nie słyszałem, odpierdolcie się ode mnie.

– Dobra, dobra – wycofał się Bronek. Po chwili milczenia, kiedy załatwił potrzebę, spróbował jeszcze raz:

– Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy?

– W Putywlu.

– ZSRR?

– *Da. Ukrajina.*

– *Balszoje spasiba* – odparł Polak, po czym bez słowa ruszył w stronę wagonu.

– Czekał – rzucił radziecki żołdat i dodał: – Jesteście w punkcie przeładunkowym. Stąd

pewnie pojedziecie dalej, w głąb kraju. Za parę godzin mają tu przyjść kupcy z jedzeniem i pić, więc załatw sobie jakieś pieniądze.

– Jak?

Żołnierz odpowiedział uniesieniem lufy karabinu. Bronek wrócił do wagonu, a wyszedł Chwieduszko. Jeszcze kilkunastu jeńców skorzystało z tej sposobności, podczas gdy reszta była zbyt wycieńczona psychicznie i fizycznie, by opuścić miejsce udręki.

Zgodnie z tym, co twierdził czerwonoarmista, pod wieczór zjawili się kupcy. Nie było jednak mowy o tym, by przyjęli polską walutę, zresztą niewielu jeńcom zostały jakiegokolwiek pieniądze. Zaniewski jakiś czas temu stał się szczęśliwcem, któremu udało się ściągnąć z jednego z trupów srebrny, nakręcany zegarek szwajcarskiej firmy Tissot, z regulowaną długością bransoletki.

Wyciągnął go w stronę człowieka, który oferował kielbasę i chleb.

– Zegarek za wszystko, co masz.

Tamten roześmiał się i wyciągnął w jego stronę pół pęta kielbasy i pół bochenka chleba, po czym powiedział:

– Jak nie chcecie, to won i zróbcie miejsce innym.

Bronek popatrzył na jedzenie i nie mógł zrobić niczego innego, niż oddać drogi czasomierz praktycznie za darmo. Największą część zdobyczy dał Kremmerowi, który wprawdzie początkowo wzbraniał się i apelował o sprawiedliwy podział, ale w końcu zgodził się i zaczął zajadać. Zaniewski żuł swój niewielki kawałek kielbasy najdłużej, jak tylko potrafił, delektując się nie tyle smakiem, co samym faktem, że ma coś w ustach.

Po zakończeniu wymiany handlowej, w której jedna ze stron była w zdecydowanie gorszej pozycji, drzwi zamknięto. Po usłyszeniu metalicznego dźwięku rygła, wszyscy zgromadzeni w wagonie czekali, aż skład ruszy dalej. Po godzinie ze zdumieniem stwierdzili, że nadal nie posunęli się choćby o centymetr. Po paru kolejnych, ludzie zaczęli znajdować sobie kawałek miejsca, żeby pograć się w chorych snach.

Bronek podszedł do szpary i zauważył księżyc, który właśnie wyłaniał się zza wolno przesuwających się jasnych chmur, oświetlonych jego blaskiem. Popatrzył na Kremmera, który ułożył się tuż pod szparą i spał z szeroko otwartymi ustami, a każdy jego oddech powodował nieprzyjemne dla ucha charczenie. Chwieduszko siedział oparty o ścianę wagonu i również był pogrążony we śnie. Zaniewski szybko zorientował się, że jest jedynym, który nie zmrzył oka.

Pozazdrościł pozostałym jeńcom, gdyż nie mógł przywyknąć do ścisku na tyle, by móc spokojnie zasnąć. Za każdym razem, gdy ogarniała go senność i udało mu się znaleźć trochę miejsca, zaczynał myśleć o tym, jak bardzo chce mu się spać. Entuzjazm wywołany tym uczuciem szybko przekształcał się w zaporę, która oddzielała go skutecznie od świata snu. W efekcie nie spał od wielu dni, nie miał nawet pojęcia od ilu.

W środku nocy, kiedy jego oczy powoli się zamykały, a on złapał się na tym, że osuwa się po ścianie, co z kolei spowodowało rozbudzenie, usłyszał cichy dźwięk. Otrząsnął się i nasłuchiwał.

– Ej – rozległ się po raz kolejny cichy szept, który drewniane ściany wagonu prawie stłumiły, po czym Bronek usłyszał delikatnie pukanie.

– Tutaj – powiedział równie cicho, wychylając głowę przez szparę.

– Odrygluję drzwi. Musicie być bardzo cicho – usłyszał polski głos.

Zaskoczony, nie wiedział co ma robić. Budzić wszystkich i ryzykować, że ogólne poruszenie

przykuje uwagę wartowników, czy obudzić tylko Chwieduszkę i Kremmera? Postanowił, że póki co, nie zrobi nic i poczeka na ruch człowieka z zewnątrz.

Ten, zgodnie z zapowiedzią, odciągnął rygiel, a z obawy przed nadmiernym hałasem, trwało to nadzwyczajnie długo. Bronek oczekiwał, że zaraz rozsună się drzwi wagonu, ale przez dziesięć minut nic się nie działo.

- Chwieduszko – powiedział cicho, kładąc rękę na barku przyjaciela.
- Co jest, do kur...
- Ciszej – przerwał mu Zaniewski, gdyż zbudzony ze snu przyjaciel mówił zbyt głośno.
- Co jest? – powtórzył chorąży.
- Ktoś odryglował drzwi. Spieprzamy.
- Kto? Kiedy?
- Przed chwilą, nie wiem kto. Budź Kremmera i chodź.

Kiedy we trzech stali przed drzwiami wagonu, ziemianin odezwał się cichym, chrapliwym głosem:

- Szacowni koledzy, musimy zawiadomić resztę towarzyszy niedoli.

Bronek obrócił głowę i popatrzył na tych kilku śpiących żołnierzy, którzy w porywach dobrej woli mogli być zakwalifikowani jako porządni ludzie. Ze zdumieniem zauważył, że jeden z nich obserwuje ich nieobecny wzrokiem. Zaniewski zarzucił szybko głowę w stronę wyjścia, po czym popatrzył z powrotem na żołnierza, dając mu znać, że uciekają. Ten nabrał powoli powietrza i położył głowę na siedzącym obok niego człowieku, po czym zamknął oczy i jak gdyby nigdy nic, zasnął.

- Srał ich pies, idziemy – powiedział Chwieduszko.

Bronek ostrożnie zdjął rękę Kremmera ze swojego ramienia, po czym odwrócił się do środka wagonu. Cicho zakomunikował, że uciekają i zaproponował każdemu, kto chce z nimi iść, by się szykował. Kilku żołnierzy otworzyło oczy i popatrzyło na niego, a jeden z nich dynamicznie wstał i podszedł do nich, przepychając się przez gęszcz ludzi.

- Co wam, na łeb padło? Wszystkich nas pozabijają, jak was złapią.
- Nikt nas nie złapie. Nie chcesz iść, to siadaj na dupie – odparł sierżant.
- Nigdzie nie idziecie. Narazicie nas wszystkich – mówiąc to, żołnierz zatarasował wyjście z wagonu.

- Daj im przejść. Jak chcą zdechnąć, to niech zdychają – odezwał się cichy głos ze środka.

Bronek popatrzył w stronę źródła głosu i powiedział:

- Przynajmniej nie zdechniemy tutaj, jak zwierzęta.
- Wracajcie na swoje miejsca – powiedział stanowczo człowiek, który blokował im wyjście.

– A kim ty w ogóle, kurwa, jesteś? – rzucił Chwieduszko, w którym zaczynało się gotować. Zaniewskiego naszły obawy, czy ta wymiana zdań nie odbywa się trochę za głośno i czy nie zwróci uwagi strażników. Zanim żołnierz stojący przed nimi zdążył odpowiedzieć, Bronek odwrócił się ponownie do środka wagonu i pozwolił swojej prawej ręce swobodnie opaść wzdłuż ciała. Nie sygnalizując ruchu, wziął szybki i duży zamach, po czym wyprowadził dobrze przygotowany i potężny cios podbródkowy. Stojący przed nimi służbista wyrznął o drzwi wagonu, po czym upadł na podłogę.

Przez chwilę nasłuchiwali jakiegokolwiek reakcji z zewnątrz, ale jedynym odgłosem były słowa

jednego z jeńców:

– Won stąd! Bo wszyscy przez was zginiemy.

Powoli i spokojnie odciągnęli drzwi, po czym postawili Kremmera na ziemi i sami zeskoczyli z wagonu. Chwieduszko zahaczył nogą o wystający kawałek deski, ale utrzymał równowagę i nie wydał żadnego odgłosu. Usłyszeli cichy szelest i obrócili głowy w stronę źródła dźwięku. Ich oczy były przyzwyczajone do ciemności, więc bez trudności zauważyli człowieka, który wychylił się zza ostatniego wagonu w składzie i gestem ponaglał ich, by poszli w jego kierunku.

– Wiektor Iwanowicz Sidorienko. Dziękować będziecie później, a teraz chodu – powiedział cicho, schylając głowę i patrząc na nich ze zmarszczonym czołem, jednocześnie uśmiechając się od ucha do ucha.

„Podoba się skurczybykowi cała ta akcja” – stwierdził Broniek, widząc entuzjazm Rosjanina, który postanowił ich uratować.

– Gdzie reszta waszych? – rzucił, kiedy oddalali się od dworca. Serce Zaniewskiego szaleńczo waliło w klatce piersiowej z powodu nieopisanego szczęścia, które rosło wraz z każdym kolejnym metrem, jaki dzielił ich od bydlęcych wagonów. Po chwili namysłu powiedział:

– Oni już są martwi.

NIEDALEKO GRANICY FRANCUSKO-NIEMIECKIEJ, POCZĄTEK LISTOPADA 1939 ROKU

– Musicie mieć jakieś cywilne ciuchy – oświadczył Holzer, kiedy Karl zatrzymał opla na jednej z ulic miasta Trier. Dojechali tam o świcie, po całej nocy spędzonej w podróży. Poprzedniego dnia dotarli do Mainz, a stamtąd drogą numer czterdzieści siedem niemalże do samej granicy z Luksemburgiem.

Zabrali z samochodu swoje rzeczy, po czym Holzer udał się do „Residenz Hotel”, gdzie miał wynająć pokój na dwa tygodnie, podczas gdy reszta wybrała się na zakup cywilnych ubrań.

– Wyglądasz jak gorsza kopia siebie – rzucił do Leitnera Rodemeyer, gdy ten przymierzył jasnobrązową marynarkę i spodnie oraz nieskazitelnie białą koszulę. Christian był zadowolony ze swego wyglądu, gdyż z premedytacją dobrał kolory, w których występował Adolf Hitler. Zawiązał kilkoma sprawnymi ruchami beżowy krawat i odparł:

– Dobrze, że nie widzisz siebie.

– Ja jestem przyzwyczajony do występowania bez munduru. Ale ty chyba w nim śpisz.

Przyjaciel popatrzył na niego z rezygnacją.

– Ostatni raz po cywilu widziałem cię chyba na studiach – dodał Marvin.

– Lepiej skup się na tym, żeby wyglądać normalnie po tym, jak przekroczymy granicę.

– Tak jest – odparł z uśmiechem Rodemeyer, po czym rozejrzał się wokół i zapytał: – Co zamierzasz zrobić?

– Z Giną?

Podporucznik Wehrmachtu popatrzył na niego zdziwiony. Po chwili się uśmiechnął.

– Nie. Miałem na myśli Blankenburga i twoją rodzinę.

– Zabiję skurwiela, kiedy tylko powie, gdzie trzyma moich bliskich. Będzie konał długo i błagał o litość.

– Tak też sądziłem.

– Masz inną propozycję?

– Nie, nie, ten plan bardzo mi się podoba. Sam chętnie poderżnąłbym mu gardło za ten nieustanny pijacki smród, jakim od niego zionęło w samochodzie.

Christian żałował, że nie mogli wjechać do Francji oplem, nie było jednak żadnej możliwości przetransportowania samochodu przez fortyfikacje Linii Maginota. A gdyby chcieli przejechać obok niemieckiego posterunku granicznego, musieliby pokazać swoje papiery. Jako zaś, że Leitner i Rodemeyer znajdowali się w tej części kraju bez żadnych rozkazów, naraziliby się na kłopoty. Nie wspominając już o pokonaniu posterunku granicznego po drugiej stronie. Mimo, że wojna z Polską dobiegła końca, nikt nie zwolnił ich ze służby, nie otrzymali też przepustki. Jako żołnierze nie mogli swobodnie przemieszczać się po kraju. Marvin wprawdzie otrzymał od zwierzchnika pozwolenie na wyjazd z obersturmführerem Leitnerem do Breslau, ale w żadnym wypadku nie miał prawa nagle znaleźć się na zachodnich rubieżach Rzeszy, a tym bardziej przekraczać jej granicę.

Ich plan zakładał, że z terytorium Luksemburga przejdą do Francji, omijając najgorszy odcinek umocnień granicznych.

– Tyle się Francuzi nabudowały, a my po prostu to omiemy – skonstatował z uśmiechem leutnant, kiedy przyjaciel przedstawił mu dalszą część swojego planu.

– Trzy miliardy franków wyrzucone w błoto.

– Christian, a co z Giną? – spytał Rodemeyer, nawet nie zwracając uwagi na sumę, o jakiej mówił Leitner.

– Póki co, nie wiem. Logika podpowiada, że należy ją przykładowo ukarać.

– Śmierć?

– To jej grozi w świetle prawa. Owszem.

– Rozumiem – odparł Marvin i uśmiechnął się na myśl o tym, że przykładowy oficer SS, Christian Leitner, najprawdopodobniej darzy uczuciem polską Żydówkę.

– Uważasz, że odpowiadam wymijająco.

– Po czym wnosisz, Leiner?

– Po twoim głupawym uśmiechu – rzucił esesman, po czym wyszedł ze sklepu, na odchodnym dodając: – Ty płacisz, Marvin.

Holzer zapłacił za pokój pieniędzmi, które dostał od Leitnera, po czym wyszedł przed „Hotel Residenz” i usiadł na chodniku. Splunął najdalej, jak potrafił, ale nie udało mu się dosięgnąć chodnika po drugiej stronie ulicy. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego, a wypuszczając dym w stronę fasady hotelu, myślał o tym, co robi, kiedy znajdą się w Louvigny.

Umowa z Leitnerem przewidywała, że kiedy Blankenburg otrzyma od niego fałszywe dokumenty, które ten zapewne miał już przy sobie, rozstaną się w pokoju. A kiedy on sam uzna, że nic już mu nie grozi ze strony oficerów, wyśle do Louvigny pocztą informacje o miejscu przetrzymywania rodziny Leitnera.

W zasadzie plan ten nie stwarzał dla Holzera choćby cienia ryzyka. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że Christian zrobi wszystko, by się zemścić.

Po tym, czego Holzer doświadczył, gdy zatrzymali się w okolicach Chemnitz, był przekonany, że obecnie największym marzeniem Leitnera jest pozbawienie go życia. Uznał, że prędzej czy

później nadejdzie moment, kiedy będzie musiał wybierać między zemstą a wiadomością o miejscu przetrzymywania rodziny.

Torsten nie miał nic przeciwko temu, by rodzina Leitnerów znów była razem. A właściwie – mało go obchodziło, co się z ową rodziną stanie. Mając w rękawie asa, jakim była dokładna lokalizacja schronienia Marii i Staszka, na dobrą sprawę mógłby już teraz zdradzić Leitnerowi, gdzie powinien szukać swoich bliskich.

Problem polegał jednak na tym, że Holzer nie miał pojęcia, gdzie znajdują się Johanna i pięcioletni Maximilian.

Z początku dziwiło go, że tak poważany żołnierz, jakim był Leitner, uwierzył w bajkę, że Holzer mógłby porwać dwójkę aryjsko wyglądających ludzi z dworca w Breslau. Ale zaryzykował, zarzucił przynętę i – ku jego zdziwieniu – okazało się, że Christian złapał haczyk. Kiedy jego przydupas Rodemeyer wrócił z poszukiwań i stwierdził, że nie może ich nigdzie znaleźć, historyjka Holzera niespodziewanie znalazła potwierdzenie.

Prawda była jednak taka, że kupił w Breslau bilet do Francji, gdzie miał zamiar udać się do domu Boissów, o którym Staszek z Marią mówili jako o celu swojej podróży, i tam szukać schronienia. Stał na peronie, czekając na pociąg, gdy zobaczył dwóch esesmanów, dziarsko kierujących się w stronę jednego z wagonów, który chwilę przedtem zatrzymał się na stacji. Holzer schował się w obawie, że wystawiono za nim list gończy. Jego twarz była łatwo rozpoznawalna i nieraz miał przez to wiele problemów.

Po chwili zobaczył, że esesmani szukają kogo innego. Podeszedł więc bliżej, kiedy zatrzymali się przy urokliwej, wysokiej kobiecie o złocistych włosach i wąskich ustach.

– Johanna Leitner? – spytał jeden z nich, a Holzer wyprostował się i nasłuchiwał z uwagą.

– Tak, o co chodzi?

– Maximilian Leitner? – spytał drugi, wskazując na małego chłopaka, który chował się za matką.

– O co chodzi? – butnie powtórzyła kobieta, kiwając nieznacznie głową.

– Proszę z nami.

– Moim mężem jest *Obersturmführer* Christian Leitner. Nie będzie mi wydawał poleceń drugorzędny esesman.

– Mamy zaprowadzić panią i pani syna do męża.

– Sama trafię.

– Sytuacja jest niebezpieczna. Proszę z nami. Pański mąż czeka w innym miejscu, niż to z panią umówił.

Holzer obserwował, jak pełna podejrzeń Johanna bierze za rękę młodego Maximiliana i idzie za dwójką esesmanów. Wcześniej widział Leitnera, który podjechał pod jeden z hoteli ze swoją świtą. Trudno było przegapić ten esesmański orszak w centrum miasta. Torsten szybko zdał sobie sprawę z tego, że coś tu nie gra.

Uważając, by nikt go nie spostrzegł, ruszył za rodziną Leitnera. Właśnie wybijała godzina podstawienia jego pociągu na peron, ale machnął na to ręką i poszedł dalej.

Kiedy tylko opuścili dworzec, zatrzymał się, jakby wpadł prosto na ceglany mur. W ułamku sekundy cofnął się za róg, a na jego czoło wystąpił pot. Otarł go rękawem i przetarł oczy, wbijając wzrok w człowieka, którego widział w oddali.

Jego brat, Johann Blankenburg, ukłonił się żonie Leitnera, po czym zaprosił ją do czarnego

BMW. Holzer po raz pierwszy od kilku lat znalazł się w stanie, o którym już niemal zapomniał. Ogarnęło go przerażenie.

Kątem oka obserwował, jak samochód skręca w prawo i znika mu z pola widzenia. Próbował wymyślić wersję inną od tej, że jego brat najwyraźniej zlokalizował go w Breslau i przybył tutaj, by go schwytać. Nie wiedział jednak, czemu ma służyć porwanie Johannya Leitner. Przez chwilę zastanawiał się, czy istnieje możliwość, że Johann zwyczajnie podwozi żonę Leitnera do hotelu.

Uśmiechnął się sam do siebie, odrzucając tę absurdalną tezę. Znał brata zbyt dobrze.

Gdy się uspokoił, zorientował się, że może tę sytuację wykorzystać na swoją korzyść. Po tym olśnieniu biegiem ruszył do hotelu, w którym zatrzymał się Leitner.

Teraz, znajdując się na zachodnich rubieżach Rzeszy, wbił wzrok w Christiana, który kierował się ku niemu dumnym i powolnym krokiem. Miał trudności z przyzwyczajeniem się do wizerunku służbisty ubranego w zwyczajny garnitur. Stwierdził, że wygląda niemalże jak człowiek. Kilka godzin później przekroczyli granicę z Luksemburgiem, a następnego dnia postawili stopę we Francji, która od trzeciego dnia inwazji na Polskę pozostawała w stanie wojny z Rzeszą.

METZ, FRANCJA, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

Louise i Bruno zaproponowali, by młodzi wybrali się do miasta przede wszystkim po to, żeby odciągnąć myśli Staszka od wiadomości, które otrzymał z Warszawy. Od tamtego wieczoru zdawał się być permanentnie nieobecny myślami, choć nie uzewnętrzniał negatywnych emocji. To jeszcze bardziej martwiło Louise, która czuła się odpowiedzialna za Marię i jej narzeczonego. Wolałaby, żeby młody Polak płakał i krzyczał wniebogłosy, zamiast zamykać się w skorupie. Uznała, że wypad do Metz może choć trochę mu pomoże, jako że miasto oferowało wiele atrakcji. Przy odrobinie szczęścia może na moment przestać zadrećcać się myślami o ojcu rozstrzelanym przez Niemców.

Przed wyjazdem z Louvigny, Elisa zaproponowała, by na śniadanie zjeść tylko croissanty, a porządny posiłek spożyć w miejscu, które określiła jako „Grand Bois de la Hautonnerie”, z czego Staszek zrozumiał jedynie tyle, że chodzi o jakiś duży las. Reszta przystała na ten pomysł i po przejechaniu trzech kilometrów pustą drogą, wokół której rozciągały się szerokie pola uprawne, dotarli do ściany lasu, który, wbrew nazwie, był niewielki. A przynajmniej taki się wydawał narzeczonemu, którzy podczas swojej podróży zdążyli przywyknąć do ciągnących się bez końca polskich lasów.

Elisa poprowadziła ich kilkaset metrów w głąb zarośli. Staszek z Marią niechętnie powłóczyli nogami. Popatrzyli na siebie znacząco i uśmiechnęli się.

– „Nie wejść do żadnego lasu przez pół roku”? – spytał z uśmiechem po polsku, cytując jej słowa.

– Widzisz, jaka jest moja rodzina. Lubią się pastwić nad innymi.

Zatrzymali się na niewielkiej polanie, a Staszek i Emphrem rozłożyli koc. Elisa zachowywała się jak dziecko, które właśnie otrzymało dom dla lalek z pełnym wyposażeniem, i ustawiając swoje zabawki w pokoju gościnnym, udaje, że nalewa herbaty. Usadziła wszystkich na kocu, po czym zaczęła rozdzielać jedzenie. Dwójka Polaków siedziała obok siebie ze zwieszonymi

głowami, czekając tylko, aż ich „gospodyni” da sygnał do opuszczenia tego przeklętego miejsca.

Kiedy Staszek z Marią dotarli do dworku Boissów, drzwi otworzyła im właśnie młoda Elisa. Zaniewski stał w progu zupełnie zdezorientowany i mimo tego, że układał sobie wcześniej w głowie francuskie formułki powitania, nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Jego oczom ukazała się szesnastoletnia, niezwykle ładna dziewczyna o bezładnie opadających, długich włosach oraz oczach, które potrafiłyby zaczarować największego stoika na globie. Staszek popatrzył w jej prawe oko, emanujące spokojnym brązem, po czym przeniósł spojrzenie na lewe, którego źrenica błyszczała złotem miodu.

Poczuł szturchnięcie Marii, po czym przeskoczyła jakaś zastawka w jego mózgu i wyrecytował wszystko, co ułożył sobie wcześniej w głowie. Elisa krzyknęła coś w stronę wnętrza domu, po czym ucałowała Marię i Staszka kilkakrotnie w policzki.

Gdy teraz siedzieli na kocu w lesie, Zaniewski uśmiechnął się na samą myśl o tym, że mogła mu się spodobać taka smarkula. Odchrząknął, przygotowując się do podzielenia się z narzeczoną inną myślą, która kołatała się w jego głowie od pewnego czasu.

– Zastanawiam się nad tym, czy nie wrócić do Polski.

– Ty naprawdę masz barani łeb.

Nie odpowiadał, wbijając zamyślony wzrok w ścianę drzew.

– Dopiero co dotarliśmy do bezpiecznej przystani, a ty chcesz wracać tam, gdzie szaleje nazistowski sztorm? Czy ty jesteś normalny?

– Muszę odnaleźć Bronka. Sprowadzić go do Warszawy, a potem wspólnie zaopiekować się matką.

– A gdzie go znajdziesz, co?

– Nie wiem, będę szukać.

– Masz duże szanse powodzenia – odparła ironicznie, po czym dodała ciepło, biorąc go za rękę: – Broniek pewnie został przerzucony do Francji albo Wielkiej Brytanii. Nie ma żadnego sposobu, żeby ustalić, gdzie jest. To gorsze, niż szukanie igły w stogu siana.

– Albo nie żyje – powiedział, nadal wbijając wzrok w drzewa.

– Przestań. Na pewno wszystko z nim w porządku, spotkacie się po wojnie.

– Może jest w Baranowiczach, u Anieli – Staszek mówił, jak gdyby nie docierały do niego słowa narzeczonej.

Zrezygnowana Maria pokręciła głową i wyciągnęła z plecaka papierosy.

– Gdzie indziej miałyby być? Jeśli jest w kraju, to tylko tam. Przecież to oczywiste... Ty zostaniesz tutaj, ja wrócę do Polski. Jeśli nie znajdę Bronka, to przynajmniej matka nie będzie sama.

– Coś jeszcze król Stanisław ma zamiar oświadczyć? – spytała ostrym tonem, który sprowadził go na ziemię. Siedział przez chwilę w milczeniu, po czym wziął od Marii papierosa, a w jego oczach pojawiła się iskra zrozumienia.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Rozumiem, co czujesz, ale...

– Ale co?

– Powrót do Polski to samobójstwo.

– Zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy, uciekając. Powinniśmy walczyć, tak jak Broniek czy ojciec.

– Ty i ja świetnie byśmy się do tego nadawali – odparła z ironią.

Popatrzył na nią i niemrawo się uśmiechnął.

Nie nadawał się do tego – owszem, ale tylko na początku wojny. Teraz jednak czuł, że coś się w nim zmieniło. Powoli stawał się innym człowiekiem. Zastrzelił policjanta, okradł niemiecką rodzinę, uczestniczył w jatce pod francuską granicą. A teraz list od matki – właśnie on postawił kropkę nad „i”.

Czuł, że jego zadaniem jest walczyć. Jego obowiązkiem jest bronić ojczyzny. Ojciec całe życie mu o tym mówił, ale on nie chciał słuchać. Bardziej interesowała go szkoła, nauka, a potem praca w dobrym szpitalu i leczenie chorych. Teraz doszedł do wniosku, że zamiast leczyć ofiary wojny, powinien zrobić coś, by było ich jak najmniej.

Cofnął się myślami do momentu, kiedy po raz pierwszy pozbawił życia innego człowieka. Glogau. Głogów. Nigdy nie zapomni tej miejscowości. Kiedy pytał Marię o nazwisko tego funkcjonariusza policji, nie mogła sobie przypomnieć. Przypuszczała, że przedstawił się jako Warkowetz lub Markowetz, ale nie miała pewności.

Nie znał więc nawet nazwiska osoby, której życie zakończył. Policjant mógł mieć rodzinę. Żona i dzieci zapewne opłakiwały teraz Warko- lub Markowetza, tymczasem Staszek nawet nie potrafił sobie przypomnieć jego twarzy. Sądził, że kiedy spojrział mu prosto w oczy i oddał drugi strzał, którym miał dokończyć swoje dzieło, obraz oblicza ofiary wyryje się w jego pamięci na całe życie. Dziś nie potrafił go odtworzyć.

Wtedy, w Glogau, zmienił się tak bardzo, że nie był już tym samym człowiekiem, który opuścił Warszawę. Przypomnił sobie swój spokój i opanowanie, kiedy Holzer zaatakował go ciosem w potylicę, po czym przywołał inne momenty, w których zachował się zgodnie ze swoim sumieniem.

– Nie przekonasz mnie do tego, żebym tu został.

– Wiem, po przeczytaniu listu od mamy zdążyłeś już wykoncypować coś w tym swoim małym mózdzku.

Powoli skinął głową.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że to czyni z ciebie kompletnego idiotę.

– Naprawdę? – zapytał rozbawiony.

– A jak nazwiesz kogoś, kto przebył ponad tysiąc kilometrów tylko po to, żeby odebrać list i wrócić tam, skąd przyszedł?

– Może masz rację – odparł z uśmiechem. – To nie zmienia faktu, że muszę wrócić. Nie wybaczę sobie, jeśli jeszcze matce coś się stanie, a mnie przy niej nie będzie.

Gdyby mówił to ktokolwiek inny, Maria nie mogłaby słuchać takich bzdur.

– I jak zamierzasz dostać się do Warszawy?

– Tego jeszcze nie wiem.

– To radzę ci się dowiedzieć, bo podróż w drugą stronę może być bardziej kłopotliwa. A numer z niemym dziennikarzem już raczej nie przejdzie.

– Przystaniecie wreszcie? – nadąsanym tonem zapytała Elisa. Staszek przeprosił i zapewnił, że postarają się ograniczyć niezrozumiałe dla Francuzów „szumienie” – jak bliźniaki określiły

kiedyś polską mowę – do minimum.

Staszek popatrzył na nastolatkę i poczuł się winny wobec siebie i Marii. Młoda, jasnowłosa dziewczyna robiła na nim piorunujące wrażenie, choć gdyby tylko potrafił narzucić coś własnej podświadomości, zablokowałby wpływ jej uroku.

Narzeczeni starali się robić wszystko, by ten piknik zakończył się jak najszybciej, Elisa jednak uparcie celebrowała każdy jego element. W końcu to przykre dla nich przedstawienie zakończyło się i po godzinie byli już w Metz. Miejska sceneria była wytchnieniem od rustykalnych widoków, które towarzyszyły im od tak dawna.

Emphrem i Maria postanowili iść do teatru, ale ani Staszek, ani Elisa nie mieli na to ochoty. Rozdzielili się więc, a młody Polak poczuł jakieś niezrozumiałe zadowolenie, że został z piękną nastolatką.

– Stan, macie w Polsce kina?

– Żartujesz?

Dziewczyna zmieszała się, a Zaniewski uśmiechnął się, by zakomunikować jej, że nie miał nic złego na myśli.

Po chwili Elisa zaproponowała:

– Może zobaczymy *Wichrowe Wzgórza*? Lubisz romantyczne filmy?

Od niechcenia pokiwał głową, więc niedługo potem zasiedli na fotelach w sali projekcyjnej. Przy wejściu do kina mignął Polakowi odpadający ze ściany afisz westernu *Dyliżans* z Johnem Wayne'em i Claire Trevor, ale Staszek był tak zubożony, że nie wykazał się inicjatywą i nie zaproponował filmu, który mu bardziej odpowiadał.

Les Hauts de Hurlevent, jak po francusku brzmiał tytuł filmu, opowiadał o nieszczęśliwej i skomplikowanej miłości cygańskiego chłopaka i dziewczyny z wyższych sfer. Mimo wszystko Staszekowi film całkiem się spodobał, a przynajmniej go nie zanudził.

W pewnym momencie jego myśli poszybowały daleko na wschód. Najpierw wyobraził sobie samego siebie w towarzystwie Elisy, zapatrzonego w obraz z projektora i siedzącego w wygodnym kinowym fotelu. Potem w jego wyobraźni zarysował się widok zakrwawionego i zmęczonego Bronka, który gdzieś daleko oddaje ostatnie strzały do Niemców lub Rosjan, broniąc kraju, w którym się urodził.

OKOLICE PUTYWŁA, ZSRR, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

Wiekto Sidorienko poprowadził trójkę polskich zbiegów ciemnymi ulicami Putywła na południe, na obrzeża miasta. Tam na chwilę przystanęli, chowając się za niewielkim magazynem, z którego ścian odpadała farba. Rosjanin ruszył przodem i szybko znikł za winklem. Wrócił po kilku minutach i ponaglącym ruchem ręki zaprosił ich do środka budynku, który stał obok magazynu.

– Połóżcie go tutaj – powiedział, kiedy przekroczyli próg niewielkiego, obskurnego mieszkania. Żółtą tapetę, która kiedyś była biała, chaotycznie zapełniały proste figury, głównie kwadraty i romby. Stary zestaw wypoczynkowy – kanapa i fotel z dziurą w oparciu – dawno

wypłowił i teraz nadawał się co najwyżej do tego, by urządzić na nim wygodne legowisko dla jakiegoś zwierzęcia. Sufit pokrywały żółte plamy, tynk leniwie zwisał, jakby chciał odpaść, ale z jakiejś przyczyny nie mógł.

Mimo to dla Bronka był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widział. Po pieprzonym wnętrzu cuchnącego wagonu, wszystko byłoby lepsze.

Wiektor krzątał się energicznie po mieszkaniu. Mimo że miał ponad trzydzieści lat, wyglądał jak młody chłopak, który po raz pierwszy bawi się w podchody ze swoją drużyną z harcerstwa. Emanował od niego entuzjazm, który jednak dla Polaków był irytujący.

Żołnierze położyli Kremmera na starej kanapie. Co rusz otwierał i zamykał oczy, wbijając wzrok w odpadający z sufitu tynk. Mamrotał coś pod nosem, ale kiedy Zaniewski zbliżył ucho do jego ust, zrozumiał tylko jedno słowo „masło”. Nie trzeba było geniusza, by stwierdzić, że staruszek majaczy.

Chwieduszek podszedł do Rosjanina, który uratował ich przed piekłem, po czym się przedstawił.

– Wiektor Iwanowicz Sidorienko – powtórzył Rosjanin jeszcze raz, a potem przeniósł wzrok na warszawiaka.

Ten ukłonił się, jeszcze raz podziękował za ocalenie życia i przedstawił, jako że wcześniej nie było okazji, by dopełnić tej formalności. W drodze do mieszkania zalewali niespodziewanego wybawcę słowami podziękowania, choć teraz, gdy opadły emocje, Bronek nie był przekonany, czy Rosjanin ma czyste intencje.

– Nie ma problemu, kolego – powiedział Wiektor po rosyjsku, nie chcąc wysłuchiwać dalszych peanów na swoją cześć. – Zajmijcie się tylko tym dziadem i nogą tego drugiego. – Wskazał na półprzytomnego Kremmera, po czym na nogę Chwieduszki, który rozciął sobie skórę podczas zeskakiwania z wagonu.

– To twoje mieszkanie? – spytał Bronek. Była to raczej cuchnąca kanciapa, ale zachował tę uwagę dla siebie.

– Nie no, gdzie tam. Znajomego. Ale spokojnie, spokojnie, jest zaufany.

Zaniewski jeszcze raz omiół wzrokiem pomieszczenie, podczas gdy chorąży usiadł przy ziemianinie, oceniając jego stan.

– Nie zrozum mnie źle, ale dlaczego pomogłeś nam uciec?

– Pomogłem? Ja zorganizowałem waszą ucieczkę, kolego!

– Tak, jak najbardziej – przytaknął Bronek z uśmiechem.

– No cóż, kto by nie zorganizował? Przewożą was jak bydło. A we mnie płynie polska krew.

Wiektor przeszedł na polski i z rosyjskim akcentem dodał:

– Moja matka Polka! Lucja na imię ma.

Sierzant zaśmiał się cicho, a Sidorienko, biorąc jego reakcję za entuzjazm, podszedł, mocno go objął i po bratersku kilkakrotnie przywalił mu w plecy, mówiąc donośnym głosem:

– Ruskie i Poliaki dwa braty!

Bronek też poklepał go w odpowiedzi, choć brakowało mu siły, by uczynić to tak samo mocno.

– Oj, słabawy ty, słabawy. Idźcie spać, jutro przyjdę, to pogaworzemy trochę. Przyniosę wam jakieś łachmany i wodę, bo capiecie jak... No, zresztą nieważne, odpocznijcie.

Zaniewski spał kilkanaście godzin. Co jakiś czas budził się, po czym odwracał na drugi bok i ponownie pogrążał we śnie. Raz zobaczył Chwieduszkę, który siedział obok Kremmera.

– Wszystko w porządku? – zapytał zaspanym głosem.

– Tak, śpij, Zaniewski – usłyszał cichą odpowiedź, po czym znów zaczął zapadać w sen.

Nim ponownie się obudził, Wiektor opuścił mieszkanie, a wrócił około dziesiątej, niosąc spory garnek wypełniony zupą. Chwieduszko pomyślał, że pachnie jak kartoflowa.

– Co to? – spytał cicho, by nie obudzić Bronka i Kremmera.

– Śpij jak zabici – ocenił Sidorienko, patrząc na jego towarzyszy, po czym postawił garnek na popękany blacie aneksu kuchennego. Po chwili dodał: – *Pochliopka*.

– Nic mi to nie mówi.

– To nie ma nic mówić, tylko smakować. Tazczył ja to dobre pięćdziesiąt metrów.

– Dzięki – odparł Chwieduszko bez wyrazu, po czym nachylił się nad zupą i jeszcze raz powąchał.

– Moja mama gotowała to cały dzień – oświadczył Rosjanin.

Chorąży kiwnął głową, a Wiektor zaczął zastanawiać się, czy od tego mruka kiedykolwiek usłyszy coś więcej w podzięce za cały swój trud.

Zbudzony głosami i zapachem zupy, Osmund Kremmer podniósł się z łóżka, podczas gdy jedynym ruchem, jaki wykonał Bronek, było nakrycie głowy poduszką, z której wychodziły pióra. Tym samym sierżant przegapił moment, kiedy jego towarzysze mogli wskoczyć w ubrania załatwione przez rosyjskiego wybawcę. Daleko im było do świeżych, ale w niczym nie przypominały skorup, które mieli na sobie dotychczas. Starali się też ściągnąć z ciał warstwy brudu i potu, ale jedna gąbka i wiadro wody na dwie osoby nie mogły zdziałać cudów. Tym bardziej, że trzeba było zostawić trochę wody dla Zaniewskiego, kiedy już śpiąca królowna raczy się obudzić.

Chwieduszko popatrzył na staruszkę i stwierdził, że wygląda coraz lepiej. Wprawdzie miał przekrwione oczy, a pod nimi prawie czarne smugi zmęczenia, ale przynajmniej mógł wstać o własnych siłach. Kremmer, powłócząc nogami, podszedł do garnka, powąchał i szeroko się uśmiechnął.

– Pochliopka, szanowny panie chorąży – powiedział.

– *Pochliopka* – poprawił go Wiektor.

– A, najmocniej przepraszam, panie gospodarzu, *pochliopka* – powiedział ziemianin, starając się dokładnie powtórzyć słowo wypowiedziane przez Sidorienkę.

– Brać, częstować się, bo stygnie.

Kremmer i Chwieduszko usiedli na krzesłach, których stan nie napawał nadzieją na zbyt długie utrzymanie ciał nawet wygłodzonych żołnierzy, i zaczęli rozkoszować się smakiem pochliopki. Wiektor w tym czasie postawił na stole cztery kieliszki i wyciągnął z torby butelkę wypełnioną przezroczywą cieczą. Szkło nie było opatrzone żadną etykietą.

– Pijmy, za zdrowie Mendelejewa i Piotra Aleksandrowicza Smirnowa! No i za wasze.

– Nie będę pił za jakichś Ruskich – rzucił Chwieduszko.

Sidorienko popatrzył na niego z politowaniem i dodał:

– To są towarzysze, którzy wymyślili współczesną wódkę!

Chorąży, nieprzekonany co do zasadności toastu, dołożył sobie zupy.

– Trzeba za nich wypić!

– Dobra już, dobra. Tylko się nie drzyj.

Wiektor popatrzył na śpiącego Bronka i pokiwał głową. Rzucił uwagę, że śpi jak zabity, po czym zaczął rozlewać wódkę do kieliszków. Kremmer początkowo wzbraniał się przed więcej niż jednym, ale ostatecznie, zanim zakręcili z powrotem butelkę, każdy z nich wypił po cztery. Przy każdym kolejnym stary ziemianin narzekał na gorzki smak. Pierwszy poważny toast, jaki wzniesli, był za pamięć Romana Kiljana.

Dwóch Polaków siedziało potem przez długi czas w ciszy.

– Dobrze, że chociaż szanowny pan szeregowy, niech mu wiekuista światłość świeci, nie musiał przeżywać katongi, jakiej doświadczyliśmy podczas podróży tu.

Chwieduszko pokiwał głową, a Wiektor zaczął wypytować o Kiljana. Osmund Kremmer chętnie opowiadał wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu kojarzyło mu się z młodym szeregowym pozbawionym życia przez czerwonoarmistów. Poczerwieniał ze złości, kiedy przypomniał sobie, że żołnierze nie zezwolili na stosowny pochówek.

– Jemu niech ziemia lekką będzie. A mnie polejcie. – Rozległ się głos Bronka. Wszedł do części kuchennej, przeczesując ręką włosy i przeciągając się jak kot.

– Nie mógł pan się wyrwać z objęć Morfeusza, który zasklepił je na pańskiej duszy.

Zaniewski dawno zrezygnował z przekonywania Kremmera, by przestał zwracać się do niego per pan, a na tym etapie ich znajomości już nawet tego nie odnotowywał.

– Co to? – spytał, patrząc na podłogę pod krzesłem Chwieduszki. Widniała tam spora, czerwona kałuża.

– O kurwa, to z twojej nogi – oznajmił zaspanym głosem Zaniewski. Chorąży dopiero teraz popatrzył na swoją prawą łydkę i zrozumiał, że obficie krwawi.

– Co też pan chorąży sobie za krzywdę wyrządził? – spytał Kremmer.

Chwieduszko popatrzył na niego, zastanowił się chwilę i odparł:

– Jak wyskakiwaliśmy z wagonu... Musiałem rozerwać skórę, nic poważnego. Zahaczyłem o wystającą z podłogi belkę.

– Gdyby to było nic poważnego, nie byłoby tyle krwi – powiedział Bronka. Popatrzył na gospodarza i spytał łamanym rosyjskim: – Wiektor, masz jakieś środki do dezynfekcji? Cokolwiek?

Sidorienko uniósł butelkę wódki własnej roboty, po czym blado się uśmiechnął.

– Może być, dawaj – rzucił sierżant.

Obmyli nogę Chwieduszki, po czym Wiektor stwierdził:

– Do tego czasu dawno wdało się zakażenie. Czekać tutaj, załatwię może jakieś strzykawki czy coś.

– Bandaże i spirytus – Bronka rzucił za gospodarzem, gdy ten zamykał drzwi.

– Dajcie mi spokój, dobrze się czuję – mruknął chorąży.

– Mało mnie obchodzi, jak się czujesz.

– A mnie mało obchodzi, ile ciebie to obchodzi.

– Drodzy panowie, nie czas na przekomarzenie się – wtrącił Kremmer.

Bronka potrząsnął głową i dodał:

– Jeśli skaleczyłeś się o podłogę wagonu, to masz przesrane. Wyobrażasz sobie, ile tam

musiało być syfu?

Chwieduszko popatrzył na niego i przez chwilę głębiej zastanowił się nad jego słowami. Mimo że nie czuł się źle, naszała go myśl, że udało mu się przeżyć podróż bydłęcym wagonem, a umrze na wolności z powodu jakichś tam bakterii.

METZ, FRANCJA, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

– Nie wiem czy wiesz, ale Polacy są we Francji drugą najliczniejszą obcą grupą...

– Etniczną?

– Tak – odparła Elisa nieco zawstydzona, gdyż chciała zaimponować starszemu chłopakowi swoją wiedzą, zaś zacięła się w pół zdania. Po chwili mówiła dalej, zadowolona, że pamięta szczegóły na ten temat: – Zaraz po Włochach. Stanowią ponad jeden procent ogółu ludności.

– To bardzo ciekawe – odparł Staszek z uśmiechem, choć mało go to obchodziło. Urzekło go jednak to, że chciała wywrzeć na nim dobre wrażenie. Przypuszczał, że tę wiedzę zdobyła, słuchając jednego z długich wywodów jej ojca, Brunona Boissa, podczas rodzinnych kolacji. Miał wybitny talent do zanudzania słuchaczy.

Dziewczyna tylko lekko odwzajemniła jego uśmiech, uznając, że pochwała była nieco wymuszona.

Szli Rue de la Princerie w kierunku Ogrodów Tanneurs, w których mieli spotkać się z Marią i Emphremem.

Zaniewski mimowolnie spojrział na Elisę, kiedy ta, niezbyt zadowolona z przebiegu rozmowy, w milczeniu stawiała kolejne kroki. Pomyślał, że jej brzoskwiniowa cera, jej złote włosy i różnobarwne tęczówki zasługują na utwalenie przez jakiegoś wybitnie utalentowanego malarza. Po chwili skarcił się w myślach. Był zaręczony z Marią, a jakby tego było mało, Elisa miała dopiero szesnaście lat. Mimowolnie uśmiechnął się.

– Co cię rozbawiło? – spytała.

– Nic, nic – odparł czym prędzej.

– Przecież widzę, że się uśmiechasz.

– Po prostu cieszę się, że przebywam w miłym towarzystwie – odparł, nie myśląc zbytnio o tym, jak jego słowa zostaną odebrane.

Elisa popatrzyła na niego i uśmiech odmalował się nie tylko na jej ustach, ale też w oczach. Wyglądała, jak gdyby otrzymała właśnie największy z możliwych komplementów. Szli przez chwilę w milczeniu, po czym dziewczyna odezwała się:

– Jakby królik przebiegł i zostawił bobki.

– Słucham? – spytał zdeorientowany. Kiedy popatrzył na nią, okazało się, że dziewczyna zadziera głowę, więc i on skierował wzrok na niebo i dostrzegł masę małych, podłużnych chmur, porzrzucanych po nieboskłonie.

– Rzeczywiście, jak bobki – odparł, starając się, by jego głos nie zabrzmiał prześmiewczo.

Maria z Emphremem zdecydowali się na sztukę Jeana Cocteau pod tytułem *La voix humaine*. Chciała zażyć trochę francuskiej kultury, a kino odpadało – tam byłaby skazana na gadające głowy na ekranie. W teatrze liczyła na to, że – choć nie rozumiejąc dialogów – będzie mogła

docenić walor samej gry aktorskiej. Ku przerażeniu Marii w sztuce występowała wyłącznie jedna aktorka, która przez cały czas jej trwania, prowadziła na scenie monolog. Maria próbowała zrozumieć cokolwiek choćby z mimiki twarzy czy gestów, ale koniec końców musiała uznać tę przeciągającą się w nieskończoność godzinę w teatrze za czas kompletnie stracony.

Po *La voix humaine* miała dość teatralnych desek na długi okres. Emphrem dopiero po fakcie poinformował ją, że tytuł znaczy *Głos ludzki*, a kobieta, która prowadziła na scenie monolog, rozmawiała po raz ostatni ze swoim kochankiem przez telefon. Oświadczył jej, że ją zostawia i ożeni się z inną, a ona przeżywała dramat. Mówiąc to Emphrem był wyraźnie poruszony, a Maria tylko głęboko westchnęła. „Tylko Francuzi potrafią serwować takie pierdoły” – stwierdziła w duchu.

Idąc w kierunku Ogrodów Tanneurs, zaczęła myśleć o metamorfozie narzeczonego, która budziła jej niepokój. Ten zawsze logicznie postępujący stoik, najwyraźniej oddał się pod władanie emocji, w szczególności poczucia winy. Uznała, że jego irracjonalna chęć powrotu do Polski będzie trudna do stłamszenia. „Ale nie do takich rzeczy już tego baraniego łba nakłaniałam” – pomyślała po chwili, już trochę bardziej optymistycznie.

– Twój... *fiancé* świdruje wzrokiem moją siostrę – wypalił bez zapowiedzi Emphrem, gdy spoczęli na jednej z ławek w Ogrodach, a na horyzoncie pojawili się Staszek i Elisa, pogrążeni w ożywionej dyskusji.

Maria popatrzyła na kuzyna i uśmiechnęła się, po czym odpowiedziała:

– „Narzeczonego”. Tak, widzę, będę musiała poważnie z nim porozmawiać.

– Nie traktujesz tego... *sérieusement*.

– Poważnie? Pewnie, że nie, Emphrem, dlaczego miałabym?

– No, sama widzisz. – Wskazał na niespiesznie zbliżającą się dwójkę. Najwyraźniej nie umiał znaleźć odpowiednich słów po polsku.

– Daj spokój – odparła z uśmiechem.

Gdy tamci podeszli, Elisa zajęła się rozmową z bratem, opowiadając mu o filmie, ale sama była niespecjalnie zainteresowana sztuką, na której był wraz z Marią. Ta zaś stanęła przed narzeczoną, krzyżując ręce na klatce piersiowej.

– Serwus, barani łbie – powiedziała.

– Serwus, kochan... – nie zdążył dokończyć, gdyż Maria popatrzyła mu głęboko w oczy, uśmiechając się przebiegle, po czym pstryknęła go mocno w ucho.

– Au! Za co? – spytał zaskoczony.

– Ty już dobrze wiesz za co.

Popatrzył na nią i uniósł brwi, delikatnie wzruszając ramionami.

– Przestań się głupawo uśmiechać.

Roześmiał, a wtedy oberwał w drugie ucho.

Cała czwórka skierowała się na rynek, by goście z Polski obejrzelik najciekawszą część miasta.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, co przeżywałam w teatrze. Kobieta przez godzinę gadała do siebie po francusku. W dodatku smęciła o zupełnych pierdołach – oznajmiła Maria i na moment urwała, po czym pokręciła głową. – Może i dobrze, że gadała po francusku.

– Nieciekawie – odparł zamyślony, więc narzeczone uznała, że jej słowa ledwo do niego docierały.

– Naprawdę chcesz wyjechać? – spytała poważnym tonem, czym wreszcie przyciągnęła jego uwagę. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Marysiu – zaczął i już wiedziała, że czeka ją litania argumentów. – Muszę żyć z tym, że zostawiłem ojca w Warszawie. Może gdybym tam był, udałoby mi się go ściągnąć do domu i dziś by żył. Nie wybaczę sobie, jeśli i matce coś się stanie.

– Z całą pewnością byś temu wszystkiemu zapobiegł i własnoręcznie uśmiercił Hitlera.

Pokręcił głową.

– Nie można niczego wykluczyć. Może gdybym tam był, ojciec wróciłby do domu i nigdy nie wpadł na Niemców, których rzekomo obraził czy cholera wie co.

– A matkę jak zamierzasz ochronić?

– Nie wiem jeszcze.

– No właśnie, Staszek. Nie wiesz, jak tam wrócić, nie wiesz, jak obronić mamę... Nic nie wiesz! Włącz ten swój cholerny logiczny tok myślowy i zastanów się przez chwilę.

Pokiwał głową i lekko się uśmiechnął.

– Wiem, że to ma mało sensu.

– Mało sensu? Delikatnie to ująłeś. Nie wspomnę już o tym, że aby tu dotrzeć i żyć spokojnie, odbyliśmy morderczą podróż, zostawiając za sobą trupy. Twoi rodzice na pewno chcieliby...

– Nie wszystko, co robimy, musi być logiczne – przerwał jej.

– Ale zazwyczaj, jeśli już wiemy, że coś nie ma sensu, to nie ciągniemy tego dalej. Zdajesz sobie z tego doskonale sprawę, a jednak chcesz iść.

– Bo muszę. Inaczej nie umiałbym potem spojrzeć w lustro.

– To idź w cholere, uparty koźle. I nie wracaj – ucięła dyskusję i przyspieszyła kroku.

Jednak zanim zrównała się z idącymi przodem Elisą i Emphemem, obróciła głowę i rzuciła do Staszka:

– Pomyślałbyś też czasem o mnie, egoisto. Co z naszym ślubem? Co z naszą przyszłością? To nie jest już dla ciebie ważne? Liczy się tylko zaspokojenie jakiejś niczym nieuzasadnionej, chorej potrzeby?

– Marysiu...

– Nie marysiuj! – podniosła głos. – Zrozum, że w Warszawie nikomu nie pomożesz, zresztą zwinie cię pierwszy lepszy patrol niemiecki.

– To niech mnie zwijają.

Maria pokręciła głową z dezaprobatą, ściskając wargi i odwróciła głowę przed siebie.

Kiedy zgniłozielony peugeot 402, prowadzony przez Staszka, sunął niespiesznie w stronę Louvigny, Elisa nagle wyprostowała się i powiedziała przejętym głosem:

– Musimy wrócić do lasu!

– Co się stało? – spytał Staszek.

– Zostawiłam tam mój grzebień. Chyba tam.

– Nie ma problemu. Zajedziemy po drodze.

– O nie, nie – wtrąciła Maria, używając niemieckiego, by była zrozumiana przez kuzynkę. – Wysadzicie nas przy lesie, a sami pojedziecie do domu. Zrobimy sobie babski spacer do Louvigny, to niedaleko.

– Ale po co macie... – chciał spytać Zaniewski.

– Co o tym myślisz? – przerwała mu, patrząc na Elisę z uśmiechem.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała dziewczyna.

Staszek uznał to za nienajlepszy pomysł, a w jego umyśle zarysował się obraz kuzynek, które powoli idą ścieżkami przez pola. Jego narzeczona niewątpliwie miała zamiar uciąć sobie pogawędkę z Elisą na jego temat.

Wysadzili je w miejscu, w którym wcześniej weszli do lasu, po czym udali się do Louvigny. Staszek obserwował je w tylnym lusterku, kiedy odezwał się Emphrem:

– Której się przyglądasz?

Zaniewski popatrzył na niego pytającym wzrokiem.

– Widziałem, jak się zachowujesz przy mojej siostrze.

– Emphrem, posłuchaj... – zaczął Staszek i musiał zwalczyć w sobie ochotę, by po prostu spuścić na to zasłonę milczenia. – Twoja siostra jest bardzo miła i darzę ją sympatią, ale nic ponadto. Nie zrozum mnie źle, ale ona ma szesnaście lat.

Emphrem spojrział na niego krzywo, najwyraźniej odbierając to jako generalny przytyk pod adresem szesnastolatków. Zamilkł, a kilka minut później dotarli do dworku Boissów.

PUTYWL, ZSRR, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

– Chwieduszko, nie rób sobie jaj! – krzyknął Bronek wprost w twarz leżącego towarzysza broni.

Chorący od kilku godzin zmagał się z wysoką gorączką. Ciągłe zalewały go fale potu, był błydy jak śmierć, a jego ciałem targały dreszcze. Wił się na łóżku jak węgorz, aż w końcu zastygł w kamiennej pozie.

Kremmer pomyślał z niepokojem, że podoficer udał się w zaświaty.

– Chwieduszko! – krzyknął jeszcze raz Bronek, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nerwowo starał się sprawdzić, czy przyjaciel oddycha, ale sam był tak roztrzęsiony, że nie potrafił się skupić. Położył palec wskazujący w miejscu, gdzie, jak mu się wydawało, powinna znajdować się tętnica szyjna.

Odetchnął, wyczuwając słaby puls. Godzinę później rozległo się ciche pukanie do drzwi i wszedł Wiektor. Pojawiał się co jakiś czas, ale poprzednio nie miał dobrych wiadomości – nie udało mu się załatwić żadnych leków, przyniósł więc jedynie kilka butelek wódki własnej produkcji, którą nazywał piercowką.

Ostatnim razem zostawił im wiadro, przepaszając, że wcześniej o tym nie pomyślał. Zdążyli już zorientować się, że w mieszkaniu nie ma ubikacji, ale byli zbyt przyzwyczajeni do takich warunków, by się na nie uskarżać. Liczył się dla nich dach nad głową i poczucie bezpieczeństwa.

– Co z nim? – spytał Wiektor.

– Bez zmian, oprócz tego, że prawie zszedł z tego świata – odparł Bronek, uspokajając własny oddech.

Sidorienko popatrzył na leżącego z zamkniętymi oczami Chwieduszkę. Pomyślał, że faktycznie, ten człowiek wygląda, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha. Rosjanin pokręcił głową z rezygnacją, po czym sięgnął do kieszeni torby, którą miał luźno przewieszoną przez lewe ramię.

– Zdobyłem to – powiedział, kładąc na stole z trudem zdobyte bandaże i nożyczki chirurgiczne.

– Na to już za późno, Wiektor – odparł Bronek, omiatając wzrokiem znaleźiska i cicho zasyczał, jak gdyby ktoś posypał mu solą świeżą ranę. W zupełnej ciszy słyszał teraz cichy i płytki oddech Chwieduszki.

– To co robimy? – spytał Sidorienko.

– Potrzebujemy czegoś do pokonania infekcji i uśmierzania bólu naszego szacownego kompana – odparł Kremmer.

– Czyli czego? Poszukam, popytam, ale on ledwo zipie.

– Proszę się postarać, miły panie gospodarzu.

– No dobrze, dobrze. Ale o co?

Ziemianin popatrzył na Zaniewskiego, który nadal tkwił w swojej pozycji.

– Panie sierżancie...

Bronek również skierował wzrok na niego i trwał tak przez dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami. Czuł się bezradny, nie miał żadnego pomysłu na to, co mogłoby pomóc Chwieduszcze, skoro antybiotyki były nie do zdobycia.

Wcześniej, gdy chorąży był jeszcze przytomny i wyglądał całkiem dobrze, położył nogę na jednym z krzeseł, które owinęli w prześcieradło długo moczone w wódce Wiektora. Początkowo z rany ciekła krew, ale po jakimś czasie cała łydka zaczęła puchnąć, a zaczerwienie obejmowało coraz większą jej część. Kiedy Bronek polewał jego nogę domowym środkiem odkażającym, który przechrzcili na „wiktorówkę”, Chwieduszko jęczał z bólu. Był to dobry znak, ale niedługo potem z rany zaczęła sączyć się gęsta, jasnożółta ropa. W końcu zaś chorąży zaczął gorączkować.

– Zdechnę tutaj – wymamrotał, rozglądając się z przerażeniem po obskurnym pokoju.

– Nie zdechniesz, nie teraz. Już nie takie rzeczy przeżyłeś, skurczybyku – odparł Bronek, zauważając jednocześnie wąskie, czerwone pasmo, które biegło od rany w górę nogi. Zakażenie.

Kiedy pomogli chorążemu ściągnąć spodnie, odkryli, że pasmo kończy się w okolicach miednicy. Widząc wzrok swoich przyjaciół, Chwieduszko niespodziewanie poprosił Zaniewskiego, by przekazał Anieli, iż ją kocha. Ten z uśmiechem odparł, że jeśli chce przekazywać jej takie informacje, to musi sam pofatygować się do Baranowicz, gdyż on nie ma na to najmniejszego zamiaru. Odniósł jednak wrażenie, że tracący przytomność chorąży nawet nie usłyszał jego słów.

Teraz, kiedy pojawił się Wiektor z bandażami, należało coś wreszcie zrobić.

– Musimy cię – powiedział w końcu Bronek, starając się przełamać poczucie bezradności. Od pewnego czasu zdawał sobie sprawę, że może okazać się to jedynym wyjściem, a teraz był już o tym zupełnie przekonany – Chwieduszko odchodził z tego świata i Zaniewski czuł się w obowiązku zrobić wszystko, co mogło go tu zatrzymać.

– Cóż takiego? Chce pan sierżant pozbawić nogi chorążego? – zapytał Kremmer, a jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

– Tak.

Krótką odpowiedź zaskoczyła starego ziemianina, który przeniósł wzrok na gospodarza. Wiektor stał obok, podpierając rękę o boki.

– Nie ma innego wyjścia, rąbamy – potaknął, a Broniek spiorunował go wzrokiem przepełnionym złością.

Sidorienko rozłożył ręce w geście bezradności i przeprosił, po czym opuścił ich, by skompletować sprzęt potrzebny do „rąbania”. Wrócił szybko i rzucił swoją torbę na ziemię. Coś w jej środku zabrzęczało metalicznie.

Kremmer opalił nad ogniem świecy ostrze siekiery i tasaka, które przyniósł Wiektor.

Zaniewski przygotował miejsce na podłodze, gdzie ułożyli Chwieduszkę. Pod jego nogą złożył dwa prześcieradła, uprzednio dokładnie namoczone w wiktorówce. Nie miał pojęcia, czy to zapewni sterylność, ale nie przyszło mu do głowy nic lepszego.

Kremmer wziął w jedną rękę siekiere, a w drugą tasak, ale stał bez ruchu, jakby panicznie bał się, że zaraz zrobi komuś krzywdę.

– Kto tnie? – spytał Wiektor.

Broniek stwierdził, że Rosjanin nie może być do końca normalny. Kiedy pomagał im uciekać z transportu, bawił się przy tym tak dobrze jak dziecko w fabryce czekolady, a teraz pytał o to, kto pozbawi drugiego człowieka nogi – i to z wyraźną nadzieją w głosie, że ten „zaszczyt” przypadnie właśnie jemu.

Zaniewski wziął bez słowa siekiere, a Kremmerowi polecił trzymać tasak w pogotowiu, gdyby trzeba było poprawić jego cięcie. Wlali w gardło Chwieduszki niebezpiecznie dużą ilość wódki, ale woleli spić go do granic wytrzymałości, niż ryzykować, że obudzi się w środku zabiegu. Rosjanin trzymał niefortunnego pacjenta w pasie, a Kremmer wpatrywał się w jego twarz, szukając oznak, czy przypadkiem nie wraca mu trzeźwość wraz z przytomnością. W rękę ostrożnie trzymał tasak, nie osuwając jego ostrza znad płomienia świecy.

Broniek wziął głęboki oddech, po czym podniósł siekiere. Kilkakrotnie wykonał nią ruch w górę i w dół, przymierzając dokładnie w miejsce, gdzie miał dokonać cięcia. Ponownie uniósł ją i z całej siły uderzył w nogę Chwieduszki.

W pokoju rozległ się przeraźliwy wrzask, aż zadźwięczało im w uszach. Chwieduszko zaczął się rzucać i wciąż krzyczał. Nieruchomo leżała tylko odcięta część jego nogi, od kolana w dół. Wycie chorążego sparaliżowało Zaniewskiego. Wyteżył jednak wzrok i zmusił się, by popatrzeć na ranę. Stłumił odruch wymiotny i stwierdził, że przeciął zarówno kość, jak i ścięgna. Obawiał się przede wszystkim tego, że będzie musiał poprawiać cięcie, czym spowoduje jeszcze większe cierpienie Chwieduszki.

– Tasak – powiedział, zaskoczony tym, jak słabo zabrzmiał jego głos. Kiedy Kremmer podał mu narzędzie, przyłożył bok rozgrzanego ostrza do kikuta chorążego. Ponownie rozległ się przerażający krzyk. Zaniewski poczuł smród spalonego mięsa i odłożył tasak, po czym szybko obandażował ranę. Przyjaciel jeszcze przez chwilę darł się wniebogłosey. Potem coraz bardziej cichł.

Broniek usiadł obok cicho jęczącego Chwieduszki i otarł pot z czoła.

– Masz papierosa? – spytał Wiektora.

– Nie palę. Ale...

– ...ale załatwisz – odpowiedział. – Postaraj się, bo przydałby mi się. A jemu jeszcze bardziej.

Popatrzył na chorążego, który pogrążył się w pijackim śnie, a może po prostu stracił przytomność z nadmiaru bólu. Broniek stwierdził, że jeśli cierpiał takie męki po tym, jak wlali w niego tyle wódki, to na trzeźwo prawdopodobnie by tego nie przeżył.

Sidorienko schował odciętą nogę do starej torby, którą wyciągnął z szafki, po czym zwinął prześcieradła i upchnął je w tej samej szafce. Zaniewskiego uderzyło to, że Rosjanin wykonywał te czynności, jakby były dla niego czymś normalnym, niczym zbieranie grzybów w lesie.

– Co pan gospodarz raczy z tym zrobić? – spytał Kremmer, ciężko oddychając.

– Znajdę dobre miejsce. Zakopię gdzieś może.

– Bardzo trafna idea.

Wiektor kiwnął głową i znikł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Nie wybaczy mi tego – cicho powiedział Broniek.

– Będzie się radował, że uratował mu pan życie.

– To się jeszcze okaże, czy uratowałem.

LOUVIGNY, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

Staszek zaparkował pod dworkiem Boissów, po czym wraz z Emphrem opuścili samochód. Przeszło mu przez myśl, by zapalić jeszcze przed wejściem do środka, ale uznał, że wyjdzie później na spotkanie Marii i zakopcą sobie razem.

Przeciągnąwszy się, pociągnął za klamkę i gdy przestawił nogę przez próg, nagle znieruchomiał.

– Witaj, Gottwin – rozległ się chłodny i poważny głos Christiana Leitnera.

Przerażony Zaniewski odwrócił się, chcąc uciekać, lecz tuż za nim wyłonił się jak spod ziemi młody chłopak, celując do niego z pistoletu. Staszek, kompletnie zdezorientowany, odwrócił się do Leitnera.

– Tylko go nie zastrzel, Alex – powiedział człowiek, który właśnie wszedł z kuchni do pokoju, spokojnie popijając kawę z ulubionego kubka Brunona Boissa.

W tym samym czasie Maria i Elisa, którym udało się znaleźć grzebień, wracały niespiesznie pełną drogą w kierunku Louvigny.

– Niedługo będzie ciemno – powiedziała Polka po niemiecku.

– Nic nie szkodzi, znam na pamięć każde drzewo w tym lesie – odparła Elisa, kalecząc niemiecki wyraźnym francuskim akcentem. Robiła długie pauzy, upewniając się, że używa odpowiednich form. W rezultacie nie wychodziło jej to najgorzej, choć Maria nie mogła znieść jej akcentu.

Popatrzyła na Elisę i uśmiechnęła się. Ostatni raz widziała kuzynkę kilka lat temu, kiedy tamta wyglądała, jakby niedawno nauczyła się chodzić i mówić. Dzisiaj widziała atrakcyjną kobietę. Łatwo było zapomnieć, że ma dopiero szesnaście lat.

– Puścisz Stana z powrotem do Polski? – spytała nagle Francuzka.

– Skąd wiesz o takim pomysle? Myślałam, że nie rozumiesz nic po polsku.

– Emphrem przypadkowo usłyszał waszą rozmowę.... Mama starała się nas nauczyć swojego języka, ale...

– Bratu szło lepiej, co?

– Jak widać. Za to ja umiem co nieco po niemiecku.

Maria pokiwała głową, po czym dodała:

- Gdybym mogła, to bym go nie puściła.
- Ale on żyje swoim życiem.
- Dokładnie tak. Jak się uprze, to nawet najlepsza gimnastyka argumentami nic nie pomoże.

Dziewczyna zmarszczyła delikatnie czoło, sygnalizując, że nie do końca zrozumiała to zdanie, choć wyłapała jego sens.

– Spójrz – powiedziała, wskazując na zakręt drogi, którą szły. Polka wyteńczyła wzrok i zobaczyła postać, która szybko biegła w ich stronę.

- Biegnie do nas? Może to Staszek lub Emphrem? – spytała Elisa.
- Nie, chyba nie – odparła Maria, mrużąc oczy.

Nagle zatrzymała się i cała zeszywniała.

Wcześniej tego dnia, gdy młodzi byli w Metz, nieświadomi grożącego im niebezpieczeństwa, Karl Kalbrenner zaparkował czarne renault juvaquatre w centrum Louvigny. Zdobycie środka transportu, gdy już przekroczyli granicę francusko-luksemburską, nie stanowiło większego problemu. Zadanie zostało powierzone Holzerowi, który po kilkudziesięciu minutach sunął w ich stronę zdobyczym juvaquatre, szczerząc zęby.

- Zostawiłeś ślady? – spytał Rodemeyer.
- Żadnych. Oprócz tego, że jest na świecie jednego Francuza mniej.

Christian popatrzył na niego obojętnie, po czym polecił młodemu Karlowi, by zajął miejsce za kierownicą. Kiedy dotarli do Louvigny, było około południa. Zjedli porządny obiad i zaczęli układać plan działania, starannie i bez pośpiechu planując każdy krok.

Torsten poinformował ich, że Staszek i Maria powinni znajdować się w domu rodziny Boissów. Karlowi i Rodemeyerowi nie zajęło wiele czasu zlokalizowanie dworku, a niedługo potem wraz z resztą towarzyszy stanęli przed drzwiami domu, pukając do nich delikatnie.

– *Entrer!* – rozległ się przyjemny kobiecy głos, więc Marvin nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Nagle energicznie sięgnął po pistolet, który chował za pazuchą marynarki, a na jego twarzy odmalowało się skrajne zdziwienie. Widząc ruch przyjaciela, Leitner złapał za mausera i, trzymając go oburącz, wycelował do środka, tuż obok Karla, który jako jedyny nie zorientował się w sytuacji.

– Witaj, Christian – rozległ się głos Johanna Blankenburga. Esdek siedział na krześle, zwrócony przodem do drzwi. Stojący za Leitnerem Holzer, słysząc dobrze znany sobie głos, znieruchomiał, po czym odwrócił się i pobiegł, ile sił w nogach przed siebie. Działł instynktownie, nie zastanawiając się, dokąd zaprowadzi go droga. Musiał jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od brata. Miał nadzieję, że Johann nie zdążył go zauważyć.

Leitner, Rodemeyer i Karl stali w sieni, celując z pistoletów w Blankenburga. Christian zobaczył kątem oka, że ze szpary między framugą a drzwiami prowadzącymi do kuchni wystaje lufa. Domyślił się, że celuje do nich podwładny obersturmführera, Alexander Klaas.

- Siadaj, Leitner, długo kazaliście na siebie czekać.
- Co tu robisz?
- Siedzę i zapraszam cię do tego samego. Gdzie mój zwyrodniały brat?
- Właśnie obrócił się na pięcie i uciekł.

Blankenburg popatrzył za plecy Leitnera, wyciągając szyję niczym żyrafa.

– Rufin, masz go znaleźć. Jak nie wrócisz, ja odwiedzę twoją rodzinę w Lesznie, jasne?

– Tak, proszę pana – odparł Rufin wyłaniając się z innego pokoju. Kiedy wybiegł z domu, Blankenburg rzucił za nim:

– Aport!

Christian popatrzył na niego z niesmakiem, a po chwili namysłu opuścił broń. Widząc to, tak samo postąpił Rodemeyer.

– Karl, biegnij z nim – Leitner polecił kierowcy.

Choć nie dał po sobie tego poznać, po raz pierwszy od dłuższego czasu ogarnęło go przerażenie. Jedyne miejsce, która mogła wyjawiać mu miejsce pobytu rodziny, uciekła i zapewne zrobi wszystko, by nikt nie trafił na jej trop. Zaklął w duchu. W momencie, gdy Holzer rzucił się do ucieczki, on został zaskoczony widokiem Blankenburga. Oficer SD tutaj, w Louvigny...

– Wyglądasz jak pierdoła w tych cywilnych ciuchach – zauważył obersturmführer.

– Wzajemnie – odparł chłodnym tonem Christian.

Blankenburg podsunął swoje krzesło do stołu, a Leitner stanął obok niego.

– Byłem w Breslau, kiedy tam przyjechałeś. Nie mieliście dobrego tempa.

– Ach tak – burknął Leitner i poszedł do kuchni, by nalać sobie kawy. Starał się stwarzać wrażenie, jakby nie obchodziło go to, co mówi Blankenburg. W kuchni zobaczył dwójkę leżących na podłodze, związanych ludzi. Mężczyzna i kobieta mieli zakneblowane usta i patrzyli na niego błaganie. Szybko odwrócił od nich obojętny wzrok, po czym nalał sobie kawy i wrócił do salonu.

– A potem ciągnęliście się za nami jak smród po gaciach – rzucił do Blankenburga, kontynuując rozmowę jak gdyby nie odnotował obecności dwójki związanych Francuzów.

– Niezupełnie tak było. W Chemnitz Karl zrelacjonował nam wszystko. Potem spotkaliśmy się z nim, kiedy zatrzymaliście się na dłużej w Mainz.

Leitnera ogarnęła wściekłość. Kalbrenner był kretem Blankenburga. Przez cały ten czas... Zacisnął mocno zęby i powiedział:

– Musimy znaleźć twojego brata.

– Wierz mi, planowałem z nim skończyć, kiedy tylko wskaże dom, w którym ukrywa się dwójka tych reporterów. Mamy wspólne cele, Christian. Obaj chcemy dorwać ludzi, którzy mieli czelność splunąć na Rzeszę.

– A jednak znalazłeś się tu przed nami i...

– Stwierdziłem, że zrobię lepsze wrażenie, jeśli to ja będę czekał na niego.

– Jesteś chory.

Blankenburg wyszczerzył się i cmoknął kilkakrotnie, pijąc kawę.

– Skąd wiedziałeś, że ukrywają się tutaj?

– Wystarczy tych pytań. Przesłuchujesz mnie, ty marna imitacja żołnierza SS? – uciął obersturmführer ostrym tonem. Nie miał zamiaru być przepytany przez Leitnera, co do którego odczuwał jedynie odrazę i pogardę. Kiedy dzień wcześniej dotarł do Louvigny, zauważył dwie osoby odpowiadające opisowi z listów gończych. W towarzystwie dwójki Francuzów przechadzali się po miasteczku, więc oficer SD kazał Rufinowi, by ten zaczął ich pod byle pretekstem, przedstawił się i ucisnął rękę blondynce lub blondynowi. Kiedy wrócił, powiedział, że młodzieniec nazywa się Emphrem Boiss. Jak się prędko okazało, każdy

w Louvigny wiedział, gdzie znaleźć dom Boissów, przy okazji jeden ze starców przeklął ich żydowską naturę i potrzebę gromadzenia pieniędzy.

– Niech pan się nie martwi, wypatroszę tych Żydów – powiedział do niego po niemiecku Blankenburg i poklepał go po ramieniu, a dziadek otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się, prezentując dziąsła pozbawione zębów.

Leitner nie miał zamiaru odpowiadać na liche zaczepki ze strony obersturmführera. Zamiast tego omiół wzrokiem pomieszczenie. Po prawej stronie stał Marvin, a po lewej, przy wejściu do kuchni, opierając się o ścianę, Klaas. Christian nigdzie nie widział Giny ani Gottwina, dodatkowo nic nie wskazywało na to, by zostali tutaj zaskoczeni. Nie było śladów krwi ani walki. Wnętrze domu sprawiało zupełnie normalne wrażenie, dopóki nie weszło się do kuchni i nie ujrzało dwójki ludzi związanych grubymi sznurami.

– Nie było ich, kiedy tu dotarłem – rzucił Blankenburg, domyślając nad czym zastanawia się były kapitan Wehrmachtu.

– Jeśli się pojawią, aresztuję ich i przewiozę do Rzeszy.

Oficer SD się roześmiał.

– Słyszałeś, Alex? Chce nam odebrać naszą nagrodę.

Klaas uśmiechnął się i przytaknął ruchem głowy.

– Nie łudź się, Leitner. Jesteś płótką, a ja rekinem. Wrócę do Berlina z dwójką Polaków, którzy podszywali się pod Niemców, zabili żołnierzy Wehrmachtu i uciekli ci sprzed nosa.

– Tych ludzi zabił twój brat.

– Och tak, ale Torsten ma na swoim koncie wystarczająco dużo. Zresztą, jak tylko go znajdą, nie planuję wsadzać go do żadnego więzienia. Zasili tutejszą glebę.

– Zabijesz własnego brata?

– Jest dla mnie nikim. Zresztą, sam chciałbyś widzieć go martwego.

Christian popatrzył na niego zimnym, nieprzyjemnym spojrzeniem. Blankenburg poprawił się na krześle i przeklął w duchu wzrok tego człowieka.

– Muszę najpierw dowiedzieć się... – zaczął Leitner.

– Tak, tak, gdzie jest twoja rodzina – odparł kat Obelta. Christian zrozumiał, że esdek musiał o tym wiedzieć od tej gnidy Kalbrennera. – Oczywiście, wydobędziemy z niego tę informację. Potem ty ich uratujesz, a ja w obronie własnej zabiję jednego z największych zbrodniarzy Rzeszy, po czym ujmę dwójkę partyzantów, którzy targnęli się w Rawitschu na życie niemieckich żołnierzy.

– Będziesz pierdolonym bohaterem – wycedził Rodemeyer, włączając się do rozmowy. Blankenburg zupełnie go zignorował, świdrując wzrokiem Christiana.

– Jako ochłap możesz dostać tych dwoje z kuchni. To żydowskie nasienie.

Były kapitan pokręcił głową i upił łyk kawy. W tym samym momencie wrócił Rufin, a zaraz za nim Kalbrenner.

– Melduję, że nigdzie nie znalazłem Torstena, *Herr Obersturmführer* – powiedział Karl do Leitnera, ale ten nawet nie podniósł wzroku, by na niego popatrzeć.

– Szopka jest już niepotrzebna, chłopcze – odparł Blankenburg, po czym dodał: – Bierz latarkę i przeszukuj okolicę. Weź ze sobą tego... – Popatrzył na Marvina.

– *Leutnant* Rodemeyer – tamten przedstawił się i popatrzył pytająco na Leitnera, który kiwnął

głową.

– ...Rodemeyera. Nie wracajcie bez mojego brata. Możecie go obić do nieprzytomności. Zależy mi tylko na tym, żebyście dotarli go tutaj żywego.

Staszek czuł, że zamiera każdy miesiąc w jego ciele. Wlepił zdezorientowany wzrok w siedzącego przy stole Leitnera. Bardziej spodziewałby się spotkać tu samego Hitlera niż tego służbistę z Rawitscha.

Człowiek trzymający kubek kawy stanął tuż przed Zaniewskim. Spojrzał mu głęboko w oczy i pociągnął nosem, po czym okrążył młodzieńca, mierząc go wzrokiem, a po chwili usiadł obok Leitnera.

– *Setz euch, Gottwin* – powiedział Christian, a Polak bez problemu zrozumiał stanowczo wydaną komendę i podszedł do krzesła.

– Staszek – powiedział pewniejszym głosem, niż się spodziewał.

– Mówi, że nazywa się Stanislaus – przetłumaczył na niemiecki Rufin.

– Gównu mnie obchodzi, jak się nazywa – rzucił Blankenburg, po czym stanął za Zaniewskim i z impetem posadził go na krzesło. Polak obrócił głowę i popatrzył mu prosto w oczy. Stwierdził, że bije z nich jakaś pierwotna dzikość.

– Miło mi słyszeć, że odzyskałeś głos – spokojnie powiedział Leitner, a Rufin zaczął pełnić rolę tłumacza.

– Wybacz to całe zamieszanie w Rawiczu – odparł równie spokojnie Staszek. Przez moment wyglądali jak dwójka starych znajomych, którzy spotkali się przy kawie. Blankenburg stanął za warszawiakiem i kilkakrotnie poklepał go otwartą dłonią po głowie. Christian nie mógł zrozumieć, czym kieruje się i o co chodzi temu człowiekowi.

– Gdzie Gina... Maria? – spytał oficer SS.

– Została w Metz.

– Doprawdy?

– Tak – pewnym głosem odparł Staszek.

– Masz mnie za idiotę?

– Ja z całą pewnością tak – wtrącił rozbawiony Blankenburg, po czym zaczął przywiązywać Zaniewskiego do oparcia krzesła grubym sznurem.

– Została w Metz razem ze swoją kuzynką – powtórzył warszawiak.

Christian popatrzył na niego ze zrezygnowaniem i stwierdził, że dalsza rozmowa jest bezcelowa.

– Usuń auto sprzed domu – rzucił do Blankenburga, który spiorunował go wzrokiem.

– Ty ścierwo, pierdolące na boku Żydówki i wypuszczające przestępców ze swojego – położył nacisk na to słowo – miasta, masz czelność mi rozkazywać?

Leitner nie odpowiedział, tylko skupił wzrok na stojącym na komodzie porcelanowym zegarze.

– Żydzie, przeparkuj ten samochód tak, żeby nie było go widać. Spodziewamy się gości – esdek polecił Rufinowi, gdy zobaczył, że były wehrmachtowiec nie zamierza wdawać się w jakąkolwiek utarczkę słowną.

Zwrócił wzrok na Klaasa, po czym – wskazując na skamieniałego ze strachu Emphrema –

rozkazał umieścić „Żyda z Żydami”. Alex wykonał polecenie i związał młodego Boissa razem z jego rodzicami.

Blankenburg dłuższą chwilę patrzył na przywiązanego do krzesła Polaka, aż ten poczuł się nieco dziwnie. Obersturmführer stwierdził, że ten człowiek jest uderzająco podobny do jednego z Polaków, którzy wykosili dwie einsatzgruppe w okolicach Beniowej. „Dziwne” – pomyślał, po czym przypomniał sobie twarz rzekomego untersturmführera Reinholda Winterberga. Miał się za niego zabrać po skończeniu z kapitanem Obeltem. Ten jednak okazał się twardy, no a potem trzeba było opuścić Lesko. Ale Obelt mu nie ujdzie... Johann uśmiechnął się na myśl o tym, że dwójka jego zaufanych funkcjonariuszy SS powinna już do tej pory wyciągnąć tę polską gnidę z Murnau i zakatować w jakimś ciemnym lesie.

PUTYWL, ZSRR, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

Chwieduszko obudził się, wyjąc nieludzko. Okrutny ból przeszywał całą jego nogę. Złapał się za kikut kończyny. Szeroko rozwarł oczy i spanikowanym wzrokiem omiół wnętrze samochodu. Obok siedzieli Broniek i Kremmer. Wóz podskakiwał na nierównościach drogi.

Zaniewski ścisnął przyjaciela za bark.

– Spokojnie, chorąży. Wszystko będzie dobrze.

– Co wyście mi, kurwa, zrobili?!

– Musieliśmy, inaczej umarłbyś w tamtej dziurze.

Chwieduszko wystrzelił w ich stronę kanonadę przekleństw, po czym stracił przytomność.

– Śmiem przypuszczać, iż takowe zachowanie jest normalne w tym stanie – odezwał się Kremmer.

Broniek nieprzytomnym wzrokiem spoglądał przez szybę samochodu.

Musieli w pośpiechu opuszczać Putywl, gdyż sąsiedzi, zaniepokojeni przeraźliwymi krzykami, zawiadomili NKWD, że w jednym z mieszkań ktoś torturuje jakiegoś człowieka. Podali też nazwisko Wiektora Iwanowicza Sidorienki, przez co, godzinę później dotarły do niego informacje, że jest poszukiwany. Naprędce zorganizował dla Polaków środek transportu, którym był rozklekotany samochód GAZ-AA, rocznik trzydziesty drugi.

– Dokąd? – spytał rozentuzjasmowanym głosem Wiektor, kiedy zasiadł za kierownicą. Zaniewskiego zaczynało powoli męczyć jego wesołe podejście do sytuacji, którą normalny człowiek odbierałby jako poważne utrapienie. Rosjanin natomiast wydawał się czerpać radość ze wszystkiego, co niosło za sobą jakiegokolwiek emocje, bez znaczenia, czy były one pozytywne, czy negatywne.

– Jak najdalej stąd, szanowny panie szoferze – powiedział Kremmer, nerwowo rozglądając w poszukiwaniu enkawudzystów. Wszyscy w samochodzie przynajmniej słyszeli, jak działa aparat represji Stalina. Także w Polsce echem odbiła się przeprowadzona przez NKWD wielka czystka, którą kilka lat wcześniej następcą Lenina zafundował swoim oponentom. Wedle wiedzy Kremmera w jej wyniku życie straciło kilka milionów osób, a o wiele więcej trafiło do rosyjskich obozów pracy.

– Na zachód – odparł Broniek po krótkim namyśle.

– Macie tam jakąś kryjówkę? – spytał Sidorienko, odpalając GAZ-a.

– Nie. Ale mam tam ważną sprawę do załatwienia.

– Jak dla mnie, może być. Mów, gdzie jechać. – Wyciągnął pogniecioną mapę i wcisnął ją w ręce Polaka.

Ten przez dłuższy czas studiował mapę, kiedy wyjechali z Putywła w kierunku Kijowa. Stwierdził, że od miejsca, gdzie ujeli ich Rosjanie, czyli Palikrów, dzieliło ich obecnie około sześćset kilometrów. Popatrzył na Chwieduszkę, po czym powiedział do ziemianina, siedzącego na tylnym siedzeniu obok chorążego:

– Wie pan, panie Kremmer, że tym cholernym pociągiem przejechaliśmy sześćset kilometrów?

– Niebawale, szacowny panie sierżancie – odparł żywo zaciekawiony staruszek.

– Niebawale jest to, że tak długo przeżyliśmy.

Bronek poinstruował Wiektora, którą ma jechać, po czym oparł głowę o szybę samochodu, chcąc się przespać. Stan rosyjskich dróg jednak skutecznie mu to uniemożliwił. Kiedy po raz enty uderzył głową o szybę, zrezygnował.

Westchnął i wbił wzrok przed siebie, mrugając kilkakrotnie. Popatrzył na Rosjanina, który prowadził samochód z głupawym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Kim ty jesteś, co? – spytał.

– Wiektor Iwanowicz Sidorienko – odparł rozbawiony kierowca.

– Mam na myśli to, że najpierw wyciągasz nieznajomych z pociągu, a potem zostawiasz cały swój dobytek i jedziesz z nimi do Polski. Masz coś za uszami, co?

– *Niet* – odparł szofer. – A Polski to już nie ma, towarzyszu. Jedziemy na zachód ZSRR.

Bronek pokręcił głową, a Wiektor nagle spowaźniał i dodał:

– Każdy normalny człowiek by was uratował. A teraz po prostu nie mam innego wyjścia, jak uciekać z wami. Zresztą, nie miałem w Putywlu żadnej przyszłości.

– Wyglądasz, jakbyś przeżywał największą przygodę swojego życia – powiedział Zaniewski po namyśle.

– Bo tak jest! – krzyknął rozentuzjasmowany Sidorienko.

– Jesteś nienormalny.

Rosjanin pokiwał głową w odpowiedzi i ostantacyjnie wyduł usta.

Następnego dnia dotarli do dawnej granicy polsko-rosyjskiej niedaleko Krzywina. Nie wiedzieli, czego mają się spodziewać w tamtych okolicach, więc zatrzymali się, po czym niewzbudzający podejrzeń swoim wyglądem Kremmer wysiadł, by rozeznac się w sytuacji.

Kiedy wrócił, opowiedział, czego dowiedział się od jednego z mieszkańców niedalekiego Ostroga. Rosjanie szybko zlikwidowali wszelkie najbardziej wyraźne przejawy polskości, w pierwszym rzędzie administrację. Potem stworzyli własne struktury w każdym urzędzie, banku, drukarni czy piekarni. Przede wszystkim zaś, aresztowali wszystkich, którzy przed wojną angażowali się w życie publiczne.

Zorganizowali też szybkie wybory, podczas których oddawanie głosów odbywało się pod czujnym okiem funkcjonariuszy NKWD. W efekcie Bronek i jego kompani znajdowali się teraz w socjalistycznej Zachodniej Ukrainie, a nie, jak by to było trzy miesiące temu, we wschodniej Polsce.

Napotkany człowiek zrelacjonował też Kremmerowi rozmiary grabieży bolszewików.

Twierdził, że Rosjanie demontowali i wywozili na wschód całe fabryki, dziesiątki samochodów, a nawet pociągi. Wyglądało to tak, jakby chcieli rozebrać wschodnią Polskę i w częściach przewieźć ją do Rosji.

W niewesołych nastrojach uciekinierzy pojechali dalej. Przez Krzemieniec dotarli pod Beresteczko, gdzie znużony Wiektor przekręcił powoli kluczyk w stacyjce i wyłączył silnik. Wysiadł z samochodu, przeciągnął się i powiedział z uśmiechem:

– Nie ma to jak w domu. Rosja dotarła tutaj, a ja razem z nią.

Bronek miał ochotę po prostu dać mu w mordę. By się uspokoić, spojrzął na leżącego na tylnym siedzeniu Chwieduszkę. Przyjaciel poruszał się niemrawo, jakby męczył go jakiś koszmar.

Budził się kilkakrotnie podczas dwudniowej podróży, ale nigdy na dość długo, by z nim porozmawiać. Miał jedynie chwilowe przebłyski świadomości. Mimo to ziemianin i Zaniewski sądzili, że wróci do zdrowia. Wszystko wskazywało na to, że do rany po amputacji nie wdało się zakażenie.

Osmund Kremmer ponownie został wybrany na przedstawiciela grupy w terenie, po czym udał się zebrać informacje, któredy mogą dostać się do wsi Sołoniów, w której mieszkała rodzina Maniury.

Podczas gdy staruszka nie było już kilkadziesiąt minut, Chwieduszko po raz pierwszy przebudził się na dłużej. Spojrzął spanikowany na swoją kończynę, po czym zamknął oczy i odwrócił głowę. Bronek zauważył ten ruch, ale dał przyjacielowi czas na to, by mógł poradzić sobie z okrutną rzeczywistością. Po chwili chorąży uniósł się na jednej ręce, a drugą sięgnął do nogi. Dotknął kikuta i głośno przełknął ślinę, jednocześnie się krzywiąc.

– Najważniejsze, że żyjesz – cicho odezwał się Bronek. Chwieduszko popatrzył mu prosto w oczy, podczas gdy sierżant uciekł wzrokiem w bok.

– Dziękuję – w końcu oschle rzucił chorąży, choć z jego twarzy przebijała wściekłość.

LOUVIGNY, FRANCJA, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

– Holzer... – powiedziała cicho Maria i zawiesiła głos.

– Co takiego? – spytała Elisa. Nie kojarzyła takiego słowa ani po polsku, ani po niemiecku.

– Ten człowiek, który tutaj biegnie.

– Znasz go?

– Dość dobrze.

Ilekróć widziała szkaradną twarz warszawskiego bandyty, przypominała sobie, że był jedyną osobą, która знаła prawdę na temat śmierci jej ojca. Kiedy przebywali ze sobą dłużej podczas ucieczki z Warszawy, przyzwyczaiła się do niego na tyle, że nie czuła zagrożenia z jego strony. Teraz jednak Holzer zmaterializował się znikąd, jakby dzięki czarom przebył osiemset kilometrów z miejsca, w którym ostatnio go widziała. Zanim zamordował Ernsta Heinlego i uciekł, zostawiając ich na pożarcie pełnemu podejrzeń Leitnerowi.

Dobiegł do Marii zdyszany. Nie wyglądał, jakby był zaskoczony jej widokiem.

– Spierdalaj – wycedził z trudem, ledwo łapiąc powietrze.

– Co?! – odparła oburzona. Machnęła ręką, pokręcił głową i zgiął się wpół, łapiąc powietrze.

– Uciekaj! Niemcy!

– Co „Niemcy”?

– Gonią mnie! – krzyknął, odwracając głowę, po czym wskazał ręką w stronę lasu, z którego przed chwilą wyszły z Elisą. Maria, nie zastanawiając się długo, oznajmiła kuzynce, że muszą uciekać, po czym w trójkę puścili się pędem w stronę ściany ciemnych drzew.

– Znasz w okolicy jakąś kryjówkę? – spytała Elisy, kiedy dobiegły do lasu.

– Zależy przed kim. Bo moi rodzice znają tutaj każdy zakątek...

– Przed Niemcami.

– Jakimi Niemcami? Co Niemcy mieliby...

– Nie ma czasu, Elisa. Gdzie możemy się ukryć?

Dziewczyna przez chwilę się zastanawiała, ale widząc zniecierpliwiony wzrok niezwykle brzydkiego i głośno sapiącego człowieka oraz ponagląjące spojrzenie kuzynki, podała pierwsze miejsce, jakie przyszło jej do głowy.

– Sillegny. Stąd to może z dwadzieścia minut szybkim marszem przez pola. Mam tam dobrego... cóż... znajomego.

– Może być – odparła Maria, po czym dodała zdecydowanym tonem: – Prowadź. Byle żwawo.

Popatrzyła na wyczerpanego Holzera. Jego kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Przypomniała sobie, jak podczas morderczej podróży na zachód Polski nie pozwalał im na żadne przerwy, a kiedy nabawiła się ganglionem, chciał jak najszybciej ruszyć dalej. Uśmiechnęła się.

– Holzer, co ty tu, do cholery, robisz?

– Nie miałem dokąd pójść. Wszędzie byłem spalony.

– Więc wybrałeś się do nas, ciągnąc za sobą Niemców?

– Nie zostawili mi żadnego wyboru. W zamian za doprowadzenie ich do was miałem ujść z życiem i nowymi papierami.

Maria zatrzymała się i popatrzyła na niego ze złością. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła go otwartą dłonią w prawy policzek. Zdezorientowany, zatoczył się i złapał za głowę.

– Co ci, do cholery...

– Zamknij się!

Elisa nie mogła uwierzyć, że jej kuzynka jest zdolna do uderzenia mężczyzny w twarz. Żałowała, że nie rozumie ani słowa z ich rozmowy, ale domyślała się, że ten człowiek musi być winny czegoś poważnego. Była gotowa rzucić się na niego, gdyby zdecydował się oddać Marii.

– Uwierz mi, że nie miałem innego wyjścia. Poza tym, planowałem was ostrzec.

– Ty gnoju, ty padalcu, ty kanalio...

– Uspokój się, pogadamy, jak będziemy bezpieczni – przerwał jej.

– Gdzie Staszek? Co z nim? – spytała stanowczo.

Francuzka ożywiła się na dźwięk imienia narzeczonego kuzynki i zaniepokoiła tonem głosu Marii.

– Niemcy go mają. Służbista Leitner i mój zwyrodniały brat.

– Twój brat?! – niemal wykrzyczała.

– Długa historia. Póki co, biegnie za nami dwójka żołnierzy niemieckich, więc proponuję odłożyć pogadankę na później.

Maria przez chwilę zastanawiała się, co powinni zrobić, ale nie mogła wymyślić nic sensownego. Bez słowa popatrzyła na Elisę, po czym powiedziała:

– Jest w tej mieścinie posterunek policji?

– W Sillegny?

– Nie, w cholernym Paryżu! – wrzasnęła, dając upust złości.

– Nie wiem, nie wiem. – Kuzynka nerwowo patrzyła po okolicy, jak gdyby mogło to pomóc. – Chyba nie, to mała wieś.

Maria dała znać ruchem ręki, by szli dalej. Zamierzała jak najszybciej dotrzeć do miejsca, w którym będzie mogła zawiadomić francuskie władze o tym, że żołnierze niemieccy przebywają na terytorium ich kraju. Ratunek musiał być gdzieś blisko, trzeba go było tylko znaleźć. W końcu byli na terytorium Francji – i ten atut musiała wykorzystać.

Ku jej zmartwieniu, w Sillegny nie odnaleźli posterunku policji, ale jeden z mieszkańców skierował ich do pobliskiego Verny, oddalonego o niecałe pięć kilometrów. Maria porzuciła plan zakładający, że ukryją się u znajomego Elisy.

– Poproś go uprzejmie, ale stanowczo, żeby nas podwiózł – powiedziała do niej.

Ta uśmiechnęła się szeroko w stronę napotkanego człowieka, po tym przedstawiła sytuację, mówiąc, iż jej rodzina znajduje się w niebezpieczeństwie i musi jak najszybciej donieść o tym władzom. Mężczyzna ochoczo oświadczył, że im pomoże. Maria zauważyła, że nie może oderwać wzroku od twarzy Elisy, a w szczególności od jej różnokolorowych oczu.

Kiedy dotarli do Verny, Maria prawie wyskoczyła z samochodu, widząc zbawienny napis *Gendarmerie Nationale* na budynku. Wpadła do środka, ciągnąc za rękę Elise, czym od razu zwróciła uwagę oficera dyżurnego.

Znudzony Johann Blankenburg przechadzał się po salonie Boissów. Miał dosyć czekania na ludzi, którzy najprawdopodobniej już się tutaj nie zjawią.

– Straciłem wystarczająco dużo czasu – oznajmił.

– Co proponujesz? – spokojnie spytał Leitner.

– Ten twój przydupas, nawet z pomocą mojego człowieka, niczego nie znajdzie. Czas się stąd związać.

– Skąd pewność, że Maria się nie zjawi?

– Kto? – spytał znudzony obersturmführer.

Christian nie odpowiedział, dając mu czas, by sam się zorientował.

– Powinna już tu dotrzeć. A skoro jej nie ma, to znaczy, że musiała nas zobaczyć. Albo spotkała uciekającego Torstena.

Niedługo potem Kalbrenner i Rodemeyer wrócili z poszukiwań. Pierwszy z nich udał się do kuchni, gdzie Blankenburg stał nad związanymi Francuzami.

– Mogą być wszędzie – powiedział Marvin, kiedy zorientował się, że oprócz Holzera brakuje jeszcze kobiety, która udawała Ginę Henckel von Donnersmarck.

Leitner pokręcił głową, obracając w ręce papierośnicę od Johanny. Rzucił ją na stół, po którym przejechała jak po lodzie, by w końcu spaść na podłogę. Widząc to, Rufin szybko ją podniósł i podał Niemcowi.

– Dziękuję – powiedział Christian, wprawiając tym Rufina w niemałe zdziwienie. W najśmielszych przypuszczeniach, nigdy nie sądził, że spotka członka SS, który kiedykolwiek

podziękuje Żydowi.

– Masz rację, Marvin – powiedział w końcu niepokieszony oficer.

– Zabierajmy się stąd, nie mamy tu czego szukać.

Leitner oczyścił papierośnicę z kilku paprochów, które przyłgnęły do niej, gdy spadła na podłogę, po czym zapalił papierosa. Pokiwał głową w kierunku Rodemeyera i powiedział:

– Mam jeszcze jeden pomysł. Chodź.

Kiedy wszedł do kuchni, by oznajmić Blankenburgowi, że opuszczają dworek Boissów, zastał go pochylonego nad Brunonem i Louise. Esdek szczyrzył się do nich i szeptał coś po niemiecku. Byli przerażeni, choć zapewne nie rozumieli ani słowa. Ich syn wyglądał na nieprzytomnego, a może nawet martwego. Christian uznał tę drugą możliwość za mało prawdopodobną, jako że nie słyszał żadnych dźwięków świadczących o tym, by obersturmführer pozbawił kogoś życia.

Blankenburg zbył niedbałym machnięciem ręki informację o tym, że Leitner wraz z Rodemeyerem wracają do Rzeszy. Wychodząc z domu, Christian popatrzył jeszcze na Staszka, który siedział przywiązany do krzesła, nerwowo rozglądając się po pokoju.

– Spokojnie, nie zabije cię. Jesteś mu potrzebny jako trofeum.

Kiedy Rufin przetłumaczył jego słowa, zdezorientowany Zaniewski blado uśmiechnął się do oficera SS i skinął głową. Leitner i Marvin opuścili dom Boissów.

Tymczasem w kuchni Blankenburg nie mógł się zdecydować.

– Tak się zastanawiam, Alex...

– Nad czym, *Herr Obersturmführer*?

– Czy samemu wykończyć te zwierzęta, czy zrobić tobie prezent...

Klaas popatrzył na trójkę związanych ludzi. Nie zauważył żadnych cech fizycznych, które mogłyby świadczyć, że są Żydami. A mimo to ludzie we wsi dobitnie to zaakcentowali, czyli i Francuzi nie przepadali za tymi semickimi dorobkiewiczami.

– Nie śmiałbym odbierać panu tej przyjemności – powiedział młody scharführer z nadzieją, że Blankenburg nie będzie upierał się, by to jemu przypadło zadanie znęcania się nad małżeństwem Francuzów.

– Dobrze więc, skoro nie chcesz potem pochwalić się w Rzeszy, jak bohatersko ubiłeś dwójkę francusko-żydowskich psów... – odparł Blankenburg i obrócił się w kierunku drzwi. – Żydzie!

Po chwili zjawił się Rufin. Johann zapytał go, czy będzie umiał przetłumaczyć jego słowa na francuski.

– Znam jedynie podstawowe wyrażenia, proszę pana – powiedział usłużnie chłopak z Leska, wbijając wzrok w podłogę.

– Trudno. Nie będzie zatem żadnej zabawy.

Rozwiązał sznury krępujące Louise, po czym rozkazał Klaasowi pilnować dwójki mężczyzn, kiedy on zajmie się kobietą. Delikatnie ujął jej dłoń, jak gdyby zapraszał do tańca. Louise popatrzyła na niego podejrzliwie, ale wstała.

Siedzący w salonie Staszek usłyszał przerażający krzyk matki Elisy oraz Emphrema. Dźwięk ten przeszył mu głowę, powodując ból w skroniach. Polak próbował zerwać się z krzesła, ale efekt był oślakany – wyrznął wraz z nim o podłogę. Nie mógł zrobić nic, poza słuchaniem.

Doszedł do niego przejmujący pisk Louise, któremu towarzyszył niewyraźny, stłumiony krzyk. Staszek domyślił się, że to zapewne Bruno próbuje protestować mimo knebla w ustach.

Kiedy zapadła cisza, Zaniewski wiedział, że matka Elisy właśnie straciła życie.

Niedługo potem Niemcy musieli wyjąć Brunonowi knebel, gdyż Polak usłyszał serię obelżywych słów po francusku, które uciął głuchy dźwięk.

Blankenburg wyszedł z kuchni, ocierając ręce z krwi i uśmiechając się od ucha do ucha. Poleciał Rufinowi, by ten oświadczył więźniowi, iż spotka go to samo, jeśli nie będzie grzeczny.

– Nie próbuj niczego – chłopak dodał od siebie. – Widziałem, do czego ten człowiek jest zdolny.

– Kim on jest?

– Johann Blankenburg. Byłem przy tym, jak torturował polskiego żołnierza, kapitana Obelta, w Lesznie.

Staszкови to nazwisko wydało się znajome. „Obelt, Obelt... – zaczął powtarzać je w myśli, starając się skojarzyć je z twarzą i przypomnieć sobie człowieka. Po chwili go olśniło. – Dowódca Bronka. Mówił o nim podczas świąt”. Zwrócił wzrok w kierunku Rufina, a w tym czasie rozległ się głos Blankenburga:

– Cicho tam, psy. Zbierajcie się, za chwilę ruszamy do Rzeszy.

SOŁONIÓW, ZSRR, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

Kiedy Kremmerowi udało się ustalić, którędy mogą dostać się do rodzinnej wsi Maniury, prowadzący GAZ-a Bronek skręcił w prawo, po czym przez chwilę jechali wąską, lokalną drogą wzdłuż rzeki Styr. Kiedy dotarli do Sołoniowa, Zaniewskiemu serce zaczęło szybciej bić. Wedle informacji zasięgniętych u mieszkańców wsi, gospodarstwo Maniurów znajdowało się na samym jej końcu.

Wizyta nieznanym w samochodzie rosyjskiej produkcji, który wyglądał jak jakaś nedorobiona ciężarówka, wzbudził ogólne zainteresowanie. Szczególnie kiedy zaczęli wypytywać o rodzinę, która mieszkała w małym Sołoniowie od bardzo dawna.

Dom Maniurów był położony nad samą rzeką, a mimo że wyglądał na nieco zaniedbany, sprawiał malownicze wrażenie, komponując się z naturą.

– Towarzyszyć panu sierżantowi? – spytał Kremmer, na co Zaniewski pokręcił przecząco głową i stwierdził, że sam musi to zrobić. Miał nadzieję, że ktoś ich zauważył i wyjdzie z chaty, nic takiego jednak się nie stało. Czuł psychologiczny opór przed tym, by zapukać do drzwi domu Maniury i oświadczyć jego rodzicom, że ich syn nie żyje od ponad dwóch miesięcy.

Zgasił papierosa i powolnym krokiem skierował się do drzwi. Stanął przed nimi, wciągnął powietrze głęboko i zapukał trochę zbyt cicho. Po chwili spróbował jeszcze raz, tym razem nieco głośniejsze. Nasłuchiwał jakichkolwiek odgłosów, ale dopiero po długiej chwili usłyszał skrzypienie desek.

– Tak? – spytała starsza kobieta, jedynie uchylając drzwi.

Bronek obawiał się najbardziej tego, że otworzy mu właśnie matka Maniury, do której adresowany był list. Popatrzył na nią i stwierdził, że ten brzydki skurczybyk nie odziedziczył po niej urody. Mimo zaawansowanego wieku, nawet dziś można było bez trudu dostrzec, że niegdyś mężczyźni musieli za nią szaleć.

– Dzień dobry. Nazywam się Bronisław Zaniewski, proszę pani.

– Janina Maniura... – odparła, uśmiechając się lekko, po czym dodała: – Bronek? Bronek od mojego synka?

– Tak, proszę pani – powiedział nieco zmieszany.

Rzuciła mu się na szyję, po czym poklepała po policzku.

– Czekaliśmy tutaj na niego. Proszę, proszę, niech wejdzie.

Wprowadziła go do przestronnego pokoju, którego głównym wyposażeniem był poszarpany, perski dywan lub raczej to, co z niego zostało. Zaniewski rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiegoś krzesła czy stołka.

– Przepraszam, że mamy takie pustki, ale Rosjanie zabrali wszystko, czego nie zdążyliśmy schować.

– Nic nie szkodzi, proszę pani – powiedział Bronek i usiadł na dywanie.

– Mój mąż jest z tyłu, reperuje krzesła, które połamali. Może do kuchni wejdzie?

– Nie, nie, tutaj jest w porządku.

– Dobra. No to przyniosę herbaty trochę. Nie ma nikogo z nim?

– Jest kilku przyjaciół, ale poczekają.

Zaniewski wstał, zastanawiając się, po co w ogóle siadał. Podszedł do gospodyni i z kieszeni sfatygowanej marynarki wyciągnął list.

– Co to?

– List od pani syna – powiedział, wręczając go kobiecie, po czym obrócił się i przeszedł dwa kroki, spuszczać głowę w dół.

Kobieta obejrzała go z każdej strony, uśmiechając się, po czym rozłożyła kartkę.

Matulu,

niech się matula o mnie nie troska tylko zajmuje sprawami matuli. I ojcu powie że walczyłem dzielnie jak mówił cały czas – przeczytała pierwsze zdanie i pokiwała głową. Po chwili zaczęła czytać resztę, a Bronek usłyszał, jak pociąga nosem. Obrócił się i zobaczył łzy, spływające powoli po jej policzkach.

Uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Durny, durny.

Zaniewski zacisnął mocno usta. Mimowolnie przypomniała mu się treść listu i zobaczył samego siebie, gdy siedział w lesie przy granicy polsko-słowackiej, nie mogąc powstrzymać łez i złości.

– Durny ten Bronek! – krzyknęła kobieta.

Popatrzył na nią zdezorientowany, nie wiedząc, jak ma się zachować. Gospodyni głośno się zaśmiała, ocierając łzy.

– Waław żyje, ty durny!

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Sam wyjmowałem ten list z jego munduru, kiedy... Proszę pani, z przykrością muszę stwierdzić, że...

– Że co? Ja go wysłała dziesięć minut temu do wsi po zakupy! Durny ty!

Kompletnie skołowany, zaczął rozglądać się po pomieszczeniu, jakby szukał czegoś, dzięki czemu zrozumie to, co właśnie usłyszał. Był pewien, że pod Użokiem widział ciało Maniury, nie miał co do tego wątpliwości. Znajdowało się w miejscu, gdzie wcześniej leżał przyjaciel.

A w kieszeni munduru spoczywał list do matki. Wprawdzie Broniek nie mógł rozpoznać Wacka po zmasakrowanej twarzy, jednak nie było możliwości pomyłki.

„Przeżył? I zostawiłem go tam samego?” – pomyślał i poczuł ciarki na całym ciele.

Nie mówiąc ani słowa, wyszedł z domu i skierował się do samochodu. Oparł się o bok GAZ-a jedną ręką i położył głowę na przedramieniu, a drugą sięgnął do kieszeni i wyjął zgniecioną paczkę papierosów.

– Tak źle? – spytał Chwieduszek, leżący na tylnym siedzeniu.

– Maniura żyje.

Chorąży popatrzył na niego i zmrużył oczy.

– Tak twierdzi jego matka.

– Kobieta nie wie, co mówi. Oprócz nas, Kiljana i Obelta nikt nie przeżył tego ataku.

– A może jednak? Nie sprawdzaliśmy wszystkich ciał. Mogło go odrzucić.

– I list wyczarowałeś z kieszeni innego żołnierza?

Broniek zaczął się nad tym zastanawiać. Najwyraźniej stres, strach i zmęczenie zrobiły swoje, skoro pomylił ciała. Pochylił głowę i potarł czoło. Wyteżył umysł i starał przywołać obraz chwili, kiedy wyciągał list z kieszeni martwego Maniury.

Zapalił kolejnego papierosa. W pewnym momencie podniósł głowę, patrząc szeroko otwartymi oczami na Chwieduszkę.

– Co? – ten spytał Bronka.

– On dał mi ten list wcześniej. Nie wyciągałem go z jego kieszeni.

– Jaja sobie robisz?

– Nie. Musiało mi się to wszystko pomieszać, sam wiesz, jaki wtedy był rozpierdziel.

Na twarzy Zaniewskiego zagościł szeroki uśmiech. Obrócił się energicznie w stronę domu Maniury, gdzie na ganku stała gospodyni i pytająco spoglądała w jego stronę. Puścił się biegiem w jej stronę i tym razem to on rzucił się jej na szyję, po czym ucałował dwukrotnie w każdy policzek.

Zaprosiła ich wszystkich do domu, zaparkowali więc GAZ-a na podwórzu, po czym Broniek z Wiektolem wzięli Chwieduszkę pod rękę i zaprowadzili do środka. Ojciec Maniury przedstawił się jako Janusz i stwierdził, że jest dla niego zaszczytem przyjmować kolegów syna, którzy walczyli dzielnie o kraj.

Położyli chorążego na, naprędce zrobionym przez gospodynię, posłaniu na dywanie, które składało się z kilku poduszek i dwóch prześcieradeł. Chwieduszek protestował, twierdząc, że zbyt się nad nim rozczulają, ale gospodyni zbyła jego słowa machnięciem ręki. Reszta przybyszów zasiadła obok niego.

Maniurowa oświadczyła, że łóżka zabrali Rosjanie, co wybitnie rozbawiło Sidorienkę.

– Co go tak bawi? – spytała matka Wacka.

– Jest nienormalny – krótko skwitował Broniek.

– *Izwinitje* – wtrącił Wiekto. – Po prostu bawi mnie to. Nie mieli u nas łóżek?

Pani Janina pokręciła głową, nie widząc nic zabawnego w zagrabieniu dobytku przez żołnierzy obcego państwa.

Kiedy Zaniewski usłyszał odgłos otwierania drzwi, odwrócił głowę, po czym szybko wstał.

Na widok Maniury, który ciągnął coś, co wyglądało na worek z ziemniakami, nie mógł się

ruszyć. Przez ostatnie trzy miesiące myślał o nim jako o martwym. A teraz żywy Wacek wchodził do własnego domu. I ponownie do życia Bronka.

– Niech matula pomoże, no! – powiedział zniecierpliwiony przyjaciel, nie mogąc sobie poradzić z zamknięciem za sobą drzwi.

– Maniura, ty stary buraku – odezwał się Zaniewski, a Wacka zamurowało. Stał pochylony, trzymając worek. Po chwili go puścił, a ziemniaki rozsypały się po podłodze. Maniura wyprostował się i z coraz szerszym uśmiechem patrzył na Bronka. Dwójka przyjaciół objęła się i zaczęła mocno poklepywać po plecach.

Następna godzina upłynęła im na opowieściach. Kiedy Zaniewski się zmęczył, pałeczkę przejął Kremmer i z nadmierną dbałością o szczegóły opowiadał o grupie czterech bohaterów, patriotów, samotnych wilków, którzy wybili dwie einsatzgruppe, oczyszczając okolice z hitlerowców i tym samym ratując mieszkańców przed niechybną śmiercią. Stwierdził, że sam może zaliczać się do szczęśliwców, którzy uszli z życiem dzięki tym zesłanym z nieba odważnym ludziom.

W czasie opowieści Wacek co chwila spoglądał na Chwieduszkę.

– Co się tak, kurwa, gapisz? Kikuta nie widziałeś? – spytał ostro chorąży.

– Przepraszam, chorąży. Ja po prostu...

– A zamknij się. Powiedz lepiej, gdzie się, tchórze, ukrywałeś, zanim tu trafiłeś.

– W porównaniu z tym, co wyście robili, ja rzeczywiście okazałem się tchórzem.

– Daj spokój, Maniura – wtrącił Bronek, od razu reflektując się, że nie powinien mówić do niego w ten sposób przy rodzicach przyjaciela. Popatrzył na nich, ale nie zauważył żadnej negatywnej reakcji. – Mów, co ty robiłeś – dodał.

Wacek zaczął swoją opowieść od tego, że obudził się w jakichś krzakach. Początkowo, zupełnie spanikowany, zaczął się wyrywać z gęstych zarośli, ale tylko się pokaleczył. Kiedy się uspokoił, usłyszał nadchodzących żołnierzy. Szybko stwierdził, że w jego kierunku zbliżają się Niemcy. Zastygł w bezruchu i poczekał, aż się oddalą, po czym systematycznie, gałązka po gałązce, zaczął się uwalniać. Zbadał okolicę i stwierdził, że wybuch bomb zrzuconych przez heinkle musiał odrzucić go dość daleko od pola bitwy, o ile w ogóle można było mówić o jakiegokolwiek bitwie. Nie znalazł nikogo żywego, ani też ciała Bronka, ruszył więc na północ, czyli w kierunku przeciwnym do tego, w którym udali się nieco wcześniej żołnierze niosący ранnego Obelta.

Pierwsze dni spędził, próbując odnaleźć jakikolwiek polski oddział, ale szybko stwierdził, że większość do tej pory musiała zostać rozbita. Pokonując góry, a potem wzgórza, dostał się w końcu nad Stryj. Padał z nóg, był wycieńczony i zagłodzony niemal na śmierć. Żywił się jagodami i innymi owocami leśnymi, szybko jednak miał ich dość.

Dotarł w końcu do Lwowa, gdzie w połowie września uczestniczył w obronie miasta. Relacjonował dramatyczne wydarzenia tylko pobieżnie, mówiąc tylko, że ze względu na mundur Korpusu przydzielono go do resztek jednej z kompanii KOP-u, która skupiała saperów. Miał przede wszystkim obserwować ich przy pracy i uczyć się od nich saperskiej roboty. Wraz z nimi uczestniczył w rozminowywaniu linii kolejowych, którymi – jak wszyscy wierzyli – miały nadejść pociągi ze wsparciem z Rumunii i ZSRR.

Widząc zdziwione spojrzenie Bronka, Maniura dodał, że wtedy we Lwowie ludzie wierzyli w to, że ZSRR włączy się do wojny po stronie Polski, kiedy tylko Rosjanie zobaczą, jak blisko

Niemcy podchodzą pod ich terytorium. Poza tym, bardziej wykształceni lwowiacy podkreślali, że ZSRR zawarło z Polską pakt o neutralności, więc agresja z tamtej strony wydawała się niemożliwa.

Stało się jednak inaczej i Lwów bronił się przez wiele dni, mimo że z jednej strony nacierał Wehrmacht wsparty przez bombowce Luftwaffe, a z drugiej Armia Czerwona. Maniura nie chciał mówić o tych wydarzeniach, zaznaczył tylko, że nigdy w życiu nie głodował tak, jak podczas obrony miasta. Ostatecznie dowództwo zdecydowało się podpisać kapitulację przed Rosjanami, którzy zagwarantowali polskim oddziałom bezpieczne opuszczenie miasta i przejście do Rumunii. Wacek był wśród żołnierzy, którzy wyrazili niezadowolenie z takiego układu. Skończyło się jednak na słowach, choć podobno znalazła się grupa, która wzięła na cel własnych dowódców i groziła, że ich zastrzeli, jeśli nie będą prowadzić dalszej obrony.

Kiedy uformowano kolumny, w jakich miano opuścić miasto, Maniura i dwaj inni saperzy ukryli się w niewielkiej piwnicy, którą udostępnił im jeden z mieszkańców miasta. Spędzili tam osiem dni, a kiedy wyszli, ludzie uciekali na ich widok. Rozdzielili się, a Wacek uciekł na północ. Chwilę, kiedy mył się w rzece, chyba Pełtewi, opisywał jako jedną z najszczęśliwszych w życiu. Widząc czystą wodę, rzucił się do niej w ubraniu, nie zważając nawet na to, czy w pobliżu znajdują się jacyś czerwonarmiści.

Stamtąd powędrował do Beresteczka i takim sposobem trafił do rodzinnej wioski i bezpiecznego portu, jakim były objęcia matuli.

DEPARTAMENT MOZELA, FRANCJA, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

Christian popatrzył na czarne renault juvaquatre, którym tutaj przyjechali, po czym spytał Rodemeyera:

– Masz kluczyki?

Kiedy Marvin pokiwał głową z uśmiechem, obaj wsiedli do samochodu, a leutnant zajął miejsce kierowcy.

– Dokąd? – spytał.

– Póki co, w kierunku Metz. Gottwin... Staszek twierdził, że tam byli. Musieli wysadzić Ginę gdzieś po drodze.

– I myślisz, że nadal kręci się gdzieś „po drodze”?

– Nie, Marvin. Ale to nasz jedyny ślad. Spotkanych ludzi popytamy o najbliższe posterunki policji.

– Świetny pomysł – odparł z ironią Rodemeyer.

– Nie będziemy się do żadnego zbliżać. Ale ona na pewno tak.

Leutnant z uznaniem kiwnął głową.

– I w ten sposób ją znajdziemy. A razem z nią tego kryminalistę, Torstena – dodał Leitner, kiedy Rodemeyer odpalił samochód i ruszał w stronę Metz. Christian uśmiechnął się. Stwierdził, że jeśli Gina faktycznie dowiedziała się o tym, że Niemcy na nią czekają – a zapewne tak było, skoro się nie pojawiła – to znając ją, zakładał, że poszła na policję. Mogła wprawdzie zostawić na pastwę losu swojego towarzysza podróży, ale to by do niej nie pasowało.

Leitner obserwował las i ponownie uśmiechnął się na myśl o tym, że przy odrobinie szczęścia może uda mu się znaleźć Ginę. I Blankenburga, który będzie musiał wyjawić mu, gdzie znajduje się jego rodzina.

Gdyby Christian zdawał sobie sprawę, jak blisko Marii się znajdował, zapewne jego uśmiech byłby jeszcze szerszy.

– Proszę się uspokoić – powiedział żandarm, na którego uniformie widniała plakietka z napisem *Adjutant Pierre Copin*.

Przed chwilą zdyszana Maria wpadła na posterunek i zaczęła wylewać z siebie potok niemieckich słów. Ale żandarm wzruszył tylko ramionami. Dopiero wtedy Elisa zaczęła tłumaczyć na francuski, dodając część od siebie:

– W naszym domu znajdują się Niemcy. Niemieccy żołnierze. Na pewno już zabili rodziców, na pewno...

Pierre Copin popatrzył na nią ze zdziwieniem. Przeczesał palcami rzadkie włosy, zamknął pióro i odłożył je na blat biurka, po czym nieznacznie przechylił głowę i wbił wzrok w dziewczynę.

– Proszę mówić dalej – odparł spokojnym głosem.

– Napadli nasz dom! Słyszysz pan? – krzyknęła Elisa.

– Skąd się wzięli ci Niemcy?

Maria prawie wybuchła, gdy usłyszała spokojny ton francuskiego żandarma.

– A skąd ja mam wiedzieć?! Proszę ogłosić alarm, niech pan coś zrobi!

– Proszę się uspokoić – odparł żandarm i rozprostował plecy. Sprawiał wrażenie, jakby spędził zbyt wiele godzin przy biurku. – Ilu jest tych Niemców?

– Nie mam pojęcia.

– A ta Niemka to kto? – spytał, patrząc na Marię.

– To nie żadna Niemka, tylko moja kuzynka z Polski. Panie Copin, no niechże pan...

– Jeszcze raz powtarzam, proszę się uspokoić.

Maria nie wytrzymała i rąbnęła zaciśniętą pięścią w blat jego biurka, wskutek czego żandarm prawie podskoczył na krześle. Jego ręka automatycznie powędrowała do kabury pistoletu, która powinna być przy pasie, ale jako że mu zawsze przeszkadzała, chował ją wraz z bronią w szufladzie. Wstał powoli, mierząc wzrokiem rzekomą Polkę. Ta wzruszyła ramionami i przeprosiła po francusku na tyle, na ile umiała wypowiedzieć słowo *désolé*.

– Niech pan ratuje moich rodziców, błagam pana... – powiedziała płaczącym tonem Elisa.

Pierre Copin namyślał się, nic nie mówiąc. Widział, że jego zachowanie coraz bardziej działa na nerwy tej Polce czy Niemce, która wpadła na posterunek i zaczęła krzyczeć w języku wroga zza wschodniej granicy. Musiał przyznać, że było to jedno z najbardziej ciekawych wydarzeń całego roku. Na co dzień w Verny nie działo się w zasadzie nic. Kilka osób przychodziło ze skargami, więc trzeba było wtedy wybierać się w teren i sprawdzać doniesienia, ale poza tym praca tutaj polegała na siedzeniu za biurkiem i przerzucaniu papierów. Czterdziestopięcioletni Copin tak przyzwyczał się do takiego trybu życia, że nawet trudno było mu uwierzyć w to, co mówiły te młode dziewczyny. A poza tym... po prostu nie chciało mu się ruszać. Nie po to kraj wydał tyle swoich funduszy na budowę umocnień granicznych, by teraz byle Niemiec mógł przedostać się do Francji.

– Gdzie są ci Niemcy?

– Louvigny. Musimy się pospieszyć, panie adiutancie – powiedziała jeszcze bardziej płaczącym głosem Elisa. Żandarm zanotował coś na kartce papieru, schował ją do szuflady biurka, po czym niespiesznie wyjął kaburę z pistoletem i przymocował ją do paska.

– Dobrze, chodźmy – rzucił, po czym powoli wstał.

Holzer obserwował to wszystko zza drzwi posterunku, nieznacznie tylko wsuwając głowę do środka. Dziesięć lat temu obiecał sobie, że nie postawi stopy na posterunku policji i do tej pory udało mu się dotrzymać słowa. Kiedy jednak obserwował reakcję tego „żółtowego żandarma”, jak określił go w myślach, miał ochotę wbiec tam i przywalić mu prosto w łeb.

Nigdy nie miał zaufania do wszelakich służb bezpieczeństwa, nawet zanim został profesjonalnym kryminalistą. Zawsze dostrzegał w ich strukturach przede wszystkim właśnie takich funkcjonariuszy jak ten Francuz. Siedzą, myślą, notują, dalej siedzą, zjedzą coś, upiją łyk kawy, po raz kolejny coś zanotują, a dopiero później ociężałe zwłoką się ze swojego legowiska i ruszą do akcji. Holzer przeklął pod nosem, gdy Maria i Elisa wyszły w towarzystwie żandarma. Popatrzył na niego i zmarszczył nos, dla Pierra Copina prezentując się jako wyjątkowo mało przyjemny byk.

– Ten belfegor jest z wami?

– Tak – odparła Elisa, po czym pospiesznie dodała: – To mój wujek. Uciekł z domu, kiedy przyszli Niemcy.

Żandarm popatrzył na Holzera i przeniósł wzrok na młodą dziewczynę. Wzruszył ramionami, po czym cicho mlasnął z niewiadomej przyczyny i machnął ręką, sygnalizując, że jest gotowy do drogi.

Staszek odetchnął z ulgą, gdy Rufin rozwiązał sznury, którymi był unieruchomiony. Polak wziął głęboki oddech i poczuł, jakby jego klatka piersiowa wypięła się dalej, niż mógłby osiągnąć wyprostowaną ręką. Kilka razy powtórzył tę czynność, po czym powiedział cicho:

– Kapitan Obelt dowodził oddziałem mojego brata. Był z nim ktoś jeszcze?

Rufin rzucił spojrzenie w stronę kuchni, gdzie Blankenburg, Klaas i Kalbrenner przeglądali szafki, najwyraźniej w poszukiwaniu łupów z wyprawy do Francji. Co chwilę tłukli coś o posadzkę, po czym głośno się śmiali. Alex sprawiał wrażenie nieco zażenowanego, ale chłopak z Leska ocenił, że i tak stara się wyglądać jak najbardziej naturalnie.

– Nie, torturowali tylko jego. Ale wiem, że major Mikorski z innymi żołnierzami urządzili akcję odbicia go.

– Major Mikorski... – powtórzył Staszek i zamyślił się, próbując sobie przypomnieć, czy słyszał o nim od brata.

– Znasz go?

– Niestety. Nie kojarzę tego nazwiska. Udało im się odbić Obelta?

Rufin znów popatrzył w stronę Niemców, po czym cicho odparł:

– Nie, ten zwyrodnialec w ostatniej chwili przeniósł go do ciężarówki, która jechała do innego obozu.

Zaniewski pokiwał głową, a wtedy młody Żyd dodał:

– Jakiś czas temu słyszałem, jak Blankenburg wydał rozkaz, by Obelta wyciągnąć z obozu i zabić bez żadnych...

Urwał, kiedy esdek wyszedł z kuchni, dzierżąc w ręce talerz, który wyglądał na zabytkowy.

– Wstawaj, szczurze – rzucił do Polaka, nie fatygując się nawet patrzeniem na niego.

– Zwyrrodnialec uprzejmie pana prosi, żeby pan wstał – przetłumaczył Rufin, a Staszek szeroko się do niego uśmiechnął. Kątem oka dostrzegł, jak obersturmführer robi zamach i rozbija talerz na głowie Żyda. Zaniewski w mimowolnym odruchu zamknął oczy, co nie mogło przeszkodzić – i nie przeszkodziło – odłamkom talerza uderzyć w jego twarz.

Rufin zatoczył się i oparł o ścianę. Z tyłu jego głowy sączyła się krew.

– No, Żydzie, Żydzie. Myślałem, że jesteś dobrze wytresowany. Przeinaczasz moje słowa, co?

Blankenburg obrócił się bokiem do chłopaka, po czym z całej siły kopnął go w kolano. Rufin zawył jak małe dziecko i padł na podłogę.

– Właśnie, pełzaj, to twoje przeznaczenie – rzucił oficer SD i kiwnął na Karla, który złapał Staszka za szyję i podniósł go. Związał mu ręce za plecami i popchnął do przodu. Zaniewski stwierdził, że tak mocne uderzenie wojskowym butem musiało zgruchotać rzepkę Rufina. Zatrzymał się przy nim i lekko nachylił, ale w tym samym momencie poczuł kopniaka w tyłek. Wyrznął głową o twardą posadzkę i przez chwilę czuł, jakby znalazł się na samym dnie bardzo głębokiej studni.

Usłyszał głos Blankenburga, dochodzący niczym z innego świata. Oficer krzyknął coś do Kalbrennera, po czym ten ostatni podniósł Staszka i wyprowadził zataczającego się jeńca z domu. Kiedy jakiś czas później Zaniewski odzyskał na moment świadomość, znajdował się w pędzącym samochodzie. Wtedy chłopak z Leska nachylił się nad nim i wyszeptał:

– Jedzie pan do Berlina.

Maria, Elisa i Holzer jechali niespiesznie polną drogą, prowadzącą do głównej, którą łączyła Louvigny z Metz. Torsten kłął w duchu jak szewc, oceniając styl prowadzenia samochodu przez Pierre'a Copina. Już kilkakrotnie miał ochotę przywalić mu w tył głowy, po czym złapać za włosy i poprawić, parokrotnie uderzając tym pustym francuskim łbem o kierownicę. Wydawało mu się, że żandarm prowadzi samochód z zamkniętymi oczami.

Maria i Elisa miały podobne odczucia. Nie mogły zrozumieć, jak stróż prawa może tak bagatelizować sytuację, a co więcej, nie wierzyć w ich słowa.

– Proszę pana, moich rodziców mogą teraz mordować – powiedziała stanowczym głosem dziewczyna.

– Ci Niemcy, tak? – odparł Copin spokojnie, czym wywołał jej konsternację. Pokręciła kilkakrotnie głową i odparła:

– Tak, ci Niemcy.

– I skąd oni się wzięli?

– Mówiłam już, że nie wiem. Ale wątpię, by sam dał im pan radę. Niech pan wezwie posiłki.

– Już pani tłumaczyłem, jak wygląda procedura – zrobił głęboki oddech, po czym powiedział, jakby tłumaczył przedszkolakowi, dlaczego z chmur pada deszcz: – Najpierw muszę zrobić rozpoznanie, a jeśli stwierdzę naruszenie prawa, zawiadomię moich kolegów z żandarmerii.

– Aż strach pomyśleć, co zrobicie, jak przyjdzie wojna.

– Żadna wojna nie przyjdzie. Oddzielają nas od Niemców szczelne fortyfikacje.

– Ach tak. Moja kuzynka nie miała jakoś problemu z ich przejściem.

Pierre Copin popatrzył na Marię i westchnął.

– Tak czy inaczej, ciężko mi uwierzyć, by jakimkolwiek Niemcom się to udało. A tym bardziej, żeby atakowali zwykłych obywateli w... gdzie pani mówiła?

– Louvigny! – odparła Elisa wzburzonym głosem.

Maria wbijała wzrok w rozległe pole po lewej stronie, próbując się uspokoić. W pewnym momencie mignął jej czarny samochód, a gdy przelotnie ujrzała kierowcę, zamarła. „Christian”.

Obróciła szybko głowę do tyłu i zauważyła, że renault juvaquatre z piskiem opon hamuje, zjeżdżając na pobocze. Spod opon wzbily się tumany pyłu. Po kilku sekundach czarny samochód wyłonił się z chmury i popędził w ich stronę.

SOŁONIÓW, ZSRR, POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU

– I mówi, że z Chwieduszką się zaprzyjaźnił. No, to, to, to jest...

– Widzisz, co wojna z ludźmi robi? Gdyby Hitler mógł przewidzieć, że się zaprzyjaźnimy, pewnie zabroniłby nawet jednemu panzerowi wjechać do Polski.

Maniura roześmiał się. Siedział z Bronkiem nad rzeką Styr, która spokojnie płynęła tuż za gospodarstwem. Minał dzień, od kiedy GAZ-AA zjawił się w Sołoniowie. Jego pasażerowie mieli okazję porządnie się wyspać, mimo że łóżko zastępowała im podłoga pokryta podziurawionym dywanem. Biorąc jednak pod uwagę warunki panujące w pociągu, którym Polaków wieziono do Putywła, tutaj mieli niezwykle komfortowe posłanie.

Siedząc nad rzeką i uzupełniając swoje opowieści, palili skręcone przez Janusza Maniurę papierosy i sączyli wątpliwej jakości wódkę – również jego wytwór.

– Więc Kiljan... – powiedział Maniura, zapatrzony w wody Styru, po czym dodał: – Nie kojarzę, który to był.

– Też go nie kojarzyłem, zresztą wiesz, ilu było szeregowych.

– No tak, tak. I mówi, że dzielny?

– Jak na takiego chłopaka, to... – Broniek zastanowił się chwilę, po czym dodał: – Nie znam drugiego takiego.

– Że bohaterski?

– No. – Broniek skinął głową, po czym podniósł butelkę i wypił toast za Kiljana. Skrzywił się i zaciągnął papierosem, by zdusić nieprzyjemny smak samogonu.

– Szkoda go w takim razie.

– Nie jego jedyne. Powoli zapominam, kto stracił życie od pierwszego dnia wojny.

– Nie jest od tego, żeby pamiętać, tylko żeby walczyć.

– Tak, tak, Maniura. Walczę dzielnie, aż się kurzy.

Wacek popatrzył na niego pytającym wzrokiem, po czym stwierdził, że przyjaciel najwyraźniej czuje się wojskowo niespełniony, więc wzruszył ramionami.

– Niech walczy, co mu przeszkadza?

– Gdzie? Jeśli nie zauważyłeś, nie ma już naszego wojska.

– Podobno we Francji się formujemy.

Zaniewski uśmiechnął się i kiwnął głową w odpowiedzi. Wymienili się porozumiewawczymi

spojrzeniami, po czym sierżant powiedział:

– Muszę najpierw zajechać do Baranowicz.

Maniura milczał, więc Bronek szturchnął go butelką w bok, po czym mu ją podał.

– Nie chciałem mówić przy wszystkich, ale byłem w Baranowiczach.

Zaniewski wyciągnął szyję jak żyrafa, choć siedzieli obok siebie. Przyjaciel aż się odsunął.

– Dlaczego nic nie mówiłeś? – spytał nerwowo.

– Niech się uspokoi. Nie mówiłem, bo nie wiedziałem jak.

Warszawiak popatrzył na niego z niepokojem, by po chwili z przerażeniem stwierdzić, że Wacek nie ma dla niego dobrych wiadomości.

– Pojechałem tam, zaraz jak wróciłem do wsi. Ojciec nie chciał puścić, ale się uparłem. Tyle że pojechał ze mną, niby handlować.

– Dziękuję – odparł Bronek, kiedy przyjaciel milczał i zastanawiał się, jak sformułować dalszy wywód.

– Myślałem, że go tam znajdę. Że jeśli przeżył, to pognał do Anieli ją ratować.

– Miałem taki zamiar, Maniura. Tylko...

– No wiem, wiem. Dużo do roboty było, opowiadał.

– I? – Zaniewski ponaglił go, choć jednocześnie nie chciał znać końca opowieści.

– Anieli nigdzie nie znalazłem. Chodziliśmy z ojcem po Baranowiczach, zniszczonych jak, jak... No, zniszczonych. Zbombardowali dużą część miasta.

Wacek pociągnął łyk wódki i popatrzył na prawie pustą butelkę, po czym odłożył ją pod drzewo.

– Kiedy wypytywałem o Zaniewskiego, to już zdążyli go zapomnieć, czyli wcale się nie pojawił. Ale jeśli chodzi o nią...

– To co, Maniura, do cholery?

– Poprawiali mnie, że od pół roku jest Anielą Chwieduszką.

– Co?

Wacek wzruszył ramionami i skrzywił się. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Co? – powtórzył Bronek podniesionym głosem.

– Mówię tylko, co mi powiedzieli.

– Chwieduszką? Jak? Kiedy?

– Nie wiem, no. Tak mówili.

Przez następną godzinę Zaniewski siedział bez słowa, wpatrując się w wolno płynącą rzekę, w której zarysowało się odbicie księżyca. Przyjaciel kilkakrotnie próbował nawiązać z nim rozmowę, ale warszawiak zbywał go milczeniem. W końcu Maniura zrezygnował i stwierdził, że musi zostawić go samego.

Bronkiem targają skrajne emocje. W pierwszym odruchu miał ochotę zerwać się i pobiec do Chwieduszki, po czym obić mu twarz. Po chwili zreflektował się, że, po pierwsze, nie ma do tego moralnego prawa, a po drugie, niedawno pozbawił kolegę nogi. Stwierdził jednak, że sam wolałby żyć bez nogi niż bez Anieli.

Zaczął zastanawiać się, jak do tego mogło dojść i wywnioskował, że swoim zachowaniem przed ślubem uruchomił ciąg zdarzeń, który dwa lata później doprowadził do małżeństwa Chwieduszki z Anielą.

Nie miał pojęcia, kiedy tamten mógł odwiedzić Baranowicze, ale w sumie nie było w tym nic dziwnego, jako że nie utrzymywali ze sobą przyjacielskich relacji. Zorientował się, że wrogość chorążego zapewne była podyktowana tym, że czuł zagrożenie ze strony Bronka. Po chwili zmienił zdanie, stwierdzając, że taki wniosek byłby trafny, gdyby nie miał okazji poznać Chwieduszki przez ostatnie miesiące.

Doszedł do wniosku, że zapewne jego niechęć wynikała z tego, jak Zaniewski potraktował Anielę.

Rozważał też, czy nie rozmówić się z chorążym, ale szybko stwierdził, że skoro do tej pory tamten nie czuł takiej potrzeby, to on też nie będzie sam zaczynał rozmowy, szczególnie zważając na aktualny stan kompana. Teraz jego prośby, by przekazać Anieli, iż ją kocha, nabrały dla Bronka większego sensu.

Maniura wrócił po pewnym czasie chwiejnym krokiem, niosąc ze sobą drugą butelkę.

– Znajdzie ją – powiedział.

– Nie wiem, czy mam jeszcze prawo szukać.

– No jak nie, jak tak!

Spędzili pół nocy na rozważaniach, aż w końcu Bronek uciął:

– Nie zamierzam już jej szukać, chyba że Chwieduszko poprosi o pomoc.

– Aha – odparł Wacek, a jego głowa zaczęła kołysać się na lewo i prawo, sygnalizując, że jej właściciel gwałtownie potrzebuje snu.

– Jadę do Francji.

– Bardzo dobrze. Będziemy walczyć. Ja też jadę. Teraz, już, zbieramy się!

– Teraz? Ledwo potrafisz na nogach ustać.

– Ale pojedę! – zaoponował Maniura najpoważniejszym głosem, na jaki było go stać.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– To co teraz? – spytał.

– Teraz, ty brzydki skurczybyku, opróżnimy tę butelkę. – odparł warszawiak i poklepał go mocno po plecach.

Nazajutrz pożegnali rodziców Maniury oraz Chwieduszkę i Wiektora, którzy postanowili zostać w bezpiecznym schronieniu, jakie oferował Sołoniów. Rosjaninowi nawet przez myśl nie przeszło, by ruszyć z Polakami do Francji, za to chorążego długo musieli przekonywać, że w takim stanie nie da rady tam dotrzeć. Kiedy już się uspokoił, przyznał im w duchu rację, poza tym najważniejsze było dla niego dotarcie do Baranowicz.

Ku zaskoczeniu Zaniewskiego, Osmund Kremmer zadeklarował, że uda się z nimi i pomoże polskiej armii w każdy możliwy sposób.

– Dbaj o nią – powiedział Bronek do Chwieduszki, kiedy po wzruszających pożegnaniach Maniury z rodzicami opuszczali ich dom.

Chorąży popatrzył na niego i pokiwał głową, po czym uśmiechnął się lekko i rzekł:

– A ty dbaj o siebie, Zaniewski.

Warszawiak podszedł i uściśnął mu dłoń, po czym dołączył do reszty.

Trzech Polaków udało się do Palikrów, by odszukać ludzi, którzy mogli zorganizować im transport do Rumunii. We wsi, obok mogiły Cecylii Nester i jej syna, odnaleźli grób podpisany „NN”. Pomodlili się chwilę, po czym odnaleźli znajomych Cecylii, którzy potwierdzili, że

pomogą im dostać się do Rumunii.

**OKOLICE LOUVIGNY, FRANCJA,
POŁOWA LISTOPADA 1939 ROKU**

– Marvin! – krzyknął Leitner, wywołując tym zdumienie Rodemeyera. Podporucznik nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej doświadczył tak emocjonalnej reakcji przyjaciela. Momentalnie z całej siły nadepnął na pedał hamulca. Zrobił to zbyt gwałtownie i wpadli w poślizg, ale udało mu się opanować kierownicę.

– Zawracaj, szybko – powiedział Christian rozentuzjasmowanym głosem.

– Tak jest, kapitanie – odparł Rodemeyer, czekając aż ten poprawi go, mówiąc, że został zdegradowany. Zamiast tego nastąpiła przejmująca cisza, gdy Leitner wiercił wzrokiem tylną szybę samochodu policyjnego, do którego szybko się zbliżali. Jednocześnie odpiął kaburę i wyciągnął mausera. Wychylił się przez okno i kazał przyjacielowi trzymać kierownicę najbardziej stabilnie, jak tylko potrafi. Rodemeyer po chwili stwierdził, że jego kompan chyba zemdłał z nadmiaru emocji, gdyż wystawiał na zewnątrz głowę i ramię z pistoletem, a nic się nie działo. I wtedy rozległ się strzał, a po nim dźwięk, jak gdyby wybuchła bomba.

Maria krzyknęła, kiedy Holzer, nie przebierając w słowach, poinformował Pierre’a Copina, że znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Co się dzieje?! – spytała Elisa.

– Ten samochód, który nas minął... – powiedziała Maria, przełykając głośno ślinę, po czym dodała: – To żołnierze Wehrmachtu. Musimy uciekać. Każ temu idiocie jechać do najbliższego posterunku policji. Cholera, gdziekolwiek, gdzie będziemy bezpieczni.

Jej kuzynka, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, pospiesznie przetłumaczyła jej słowa. Holzer w tym samym czasie obrócił się nerwowo do tyłu i gdy niebezpiecznie blisko zobaczył szeroko otwarte oczy oficera SS, poczuł zimny dreszcz. Wyjął jeden z pistoletów, które zdobył, będąc jeszcze w Rawitschu.

„Runda druga, Leitner” – pomyślał, przywołując w pamięci pojedynek na noże, jaki stoczyli pod Chemnitz. Tym razem nie miał zamiaru grać fair. Postanowił zrobić wszystko, by wygrać.

– Proszę się uspokoić – odparł Pierre Copin i powoli przeniósł nogę z pedału gazu na hamulec. W tym samym momencie rozległ się dźwięk wystrzału, który przerodził się w przeraźliwy huk. Samochód skręcił nagle w lewo, a żandarm stracił nad nim kontrolę. Wjechali na pole i trochę się potłukli, kiedy pojazd zaczął szaleńczo podskakiwać na nierównej powierzchni. Gdyby nie powolna jazda Copina, byłoby w znacznie gorszej sytuacji, wypadając z drogi.

– Co za precyzja, Christian – powiedział Rodemeyer z uśmiechem, kiedy zauważył, że Leitnerowi udało się trafić w tylną oponę.

– Zatrzymaj się przed nimi, szybko.

Marvin wykonał polecenie, po czym obydwaj wyskoczyli z czarnego renault, trzymając pistolety wycelowane w wysiadających z policyjnego samochodu ludzi. Holzer, trzymając się za głowę, dezorientowany wypadł przez drzwi, gubiąc po drodze pistolet, który jeszcze przed

chwilą trzymał w ręce.

Christian kątem oka dostrzegł, że człowiek w mundurze sięga po broń, wycelował więc w jego głowę i oddał strzał. Francuz padł na pole jak kukła.

Kiedy Rodemeyer podszedł do Torstena i przyłożył mu lufę pistoletu do głowy, Leitner wbił wzrok w Marię.

– Nie pożegnałaś się, Gino.

– Christian – odparła i po chwili zreflektowała się, że niczemu to nie służyło.

Stała zszokowana jego obecnością i nagłą śmiercią flegmatycznego żandarma.

– Długo zamierzasz tak do mnie celować? – spytała, patrząc na jego mausera.

– Jeszcze przynajmniej przez dwie sekundy – odparł chłodnym tonem, a po dwóch sekundach przesunął broń, skierowując ją na Elisę, która ocierała z czoła strużkę krwi.

– Moja kuzynka.

– To niezbyt dobra rekomendacja – odparł Leitner, po czym dodał, patrząc dziwnie na Marię:

– Nie masz nic do powiedzenia?

– Chciałbyś usłyszeć przeprosiny?

– Nie wiem, czy bym chciał, ale z pewnością wypadałoby jakieś zaoferować.

Spojrzała na Holzera, który leżał bez ruchu na ziemi, z obawy przed celującym w niego Rodemeyerem.

– Wszystko, co teraz powiem, może zabrzmieć nieprawdziwie. W końcu trzymasz na muszce moją kuzynkę i wiesz, że zrobię i powiem wszystko, żeby ją uratować.

Christian pokiwał głową i wykonał kilka ruchów pistoletem. Obie dziewczyny zrozumiały, że człowiek, od którego zależy teraz ich życie, chce, żeby usiadły obok Holzera, co też uczyniły.

Maria nie wyobrażała sobie, by Leitner potrafił ją zastrzelić, obawiała się jednak o kuzynkę. Wzięła ją za rękę, gdy zauważyła, że ta trzęsie się ze strachu. Najpewniej po raz pierwszy w życiu ujrzała na własne oczy śmierć człowieka. A ten, który bez wahania tego dokonał, stał teraz naprzeciwko i celował do niej z pistoletu.

– Marvin, popilnuj pań – powiedział do przyjaciela, po czym ruszył w stronę Torstena. Nie zamierzał dłużej bawić się z tym człowiekiem. W tym samym momencie, kiedy Leitner i Rodemeyer zamieniali się miejscami, Holzer błyskawicznie się odwrócił.

W rękę trzymał drugi z pistoletów, które zabrał dwójce żołnierzy w Rawitschu. Zanim błysk słońca zdążył odbić się od srebrnej lufy, oddał strzał w kierunku nieprzygotowanego na to Christiana.

Kiedy ten podchodził do Torstena, w jego głowie echem rozbrzmiewał aksamitny głos Giny, dlatego nie mógł się na niczym skupić. Spotkanie z nią wyzwoliło tak dużo emocji, których się nie spodziewał, że potrzebował chwili, by dojść do siebie. Nawet jednak gdyby zachował największą czujność, prawdopodobnie nie pomyślałby o drugim pistolecie, którego w Rawitschu brakowało przy zwłokach.

Kiedy Leitner padał na ziemię, wzniesając tuman kurzu, Maria, nie zastanawiając się ani sekundy, rzuciła się z furią na Rodemeyera. Podjęła jedyną decyzję, która w jej przekonaniu mogła uratować im życie. Marvin, zaskoczony wystrzałem i szaleńczym atakiem kobiety, wypuścił z ręki pistolet. Kiedy z Marią na piersi wylądował na ziemi, wiedział, że zaraz rozlegnie się dźwięk drugiego wystrzału, tym razem skierowanego w niego. Zamykając oczy,

krzyknął:

– *Don't shoot! I'm a MI6 agent!*

Maria popatrzyła na niego zdziwiona. Wstała, a Rodemeyer powoli podniósł się z uniesionymi rękoma. Spodziewał się zobaczyć Holzera, który będzie celował do niego ze swojego pistoletu. Zamiast tego ujrzał, jak tamten pochyla się nad Leitnerem.

Blankenburga nie interesowało nic innego – ani Maria, ani Elisa, ani nawet ten cały Rodemeyer, który mógł go zastrzelić. Liczyło się dla niego tylko i wyłącznie to, by zobaczyć, jak gaśnie życie w oczach tego skurwiela. Nachylił się nad ofiarą i uśmiechnął szeroko, obnażając zęby.

Leitner, leżąc na plecach, utkwiał wzrok w chmurze, która niespiesznie przesuwała się po niebie. Starał się przełknąć ślinę, ale okazało się to niemożliwe. Łapał oddech na raty, jakby krztusił się powietrzem.

Usłyszał głos mówiący po angielsku i rozpoznał, że należy do Marvina Rodemeyera. Dotarł do niego tylko skrót „MI6”. Zachłystując się powietrzem, obrócił głowę w stronę Marii. Stała obok Marvina, udało mu się wyłapać jej spojrzenie.

Mimowolnie popatrzył w górę i zobaczył szpetne oblicze człowieka, który do niego strzelił. Jednocześnie dotarła do niego nieprzyjemna woń jego oddechu.

– Moja... rodzina...

– Co? – spytał Holzer z uśmiechem, nachylając się coraz niżej.

– Uwolnij...

– Chciałbym, Christian. Naprawdę chciałbym, ale nie ja ich uwięziłem. Chciałem tylko dzięki twojej pomocy znaleźć się w bezpiecznym kraju.

Leitner lekko kręcił głową, jakby nie wierzył.

– Mój braciszek ściągnął ich z dworca w Breslau. Nie mam bladego pojęcia, gdzie są.

W tym samym momencie Marvin doskoczył do Leitnera, jednocześnie odpychając Torstena. Zdecydował się na to, bo ocenił, że bandyta zrobił już, co miał zrobić i nie stanowił dla niego zagrożenia.

– Trzeba go zabrać do szpitala, natychmiast – oświadczył, patrząc na Marię i Elisę.

– Róbcie, co chcecie, ja muszę wyrównać jeszcze jeden rachunek – odparł Holzer, po czym ruszył w stronę renault, którym przyjechała dwójka Niemców.

– Stój! – krzyknął Rodemeyer. Torsten szybko podniósł rękę i wycelował w niego broń, więc ten przyjął zrezygnowany wyraz twarzy i uklęknął obok Leitnera, mówiąc coś do niego.

Zupełnie zdezorientowane Elisa i Maria obserwowały, jak Holzer odjeżdża. Po chwili Polka podeszła do Christiana. Sprawiał wrażenie, jakby na przemian tracił i odzyskiwał świadomość.

Minął horyzont zdarzeń i zbliżał się do miejsca, z którego nie było powrotu.

Ciąg dalszy w tomie trzecim

Przypisy

[1] W latach 20. i 30. tak nazywano I wojnę światową (*przyp. red.*).

[2] W przedwojennej niemieckiej policji ranga wyższego podoficera, odpowiednik sierżanta sztabowego w wojsku (*przyp.red.*).

[3] Wyższy stopień podoficerski w *Schutzpolizei* (Policji Ochronnej), odpowiednik najwyższej rangi wachmistrzowskiej (*przyp. red.*).

[4] Rosyjski odpowiednik podporucznika (*przyp. red.*).